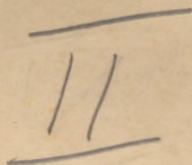


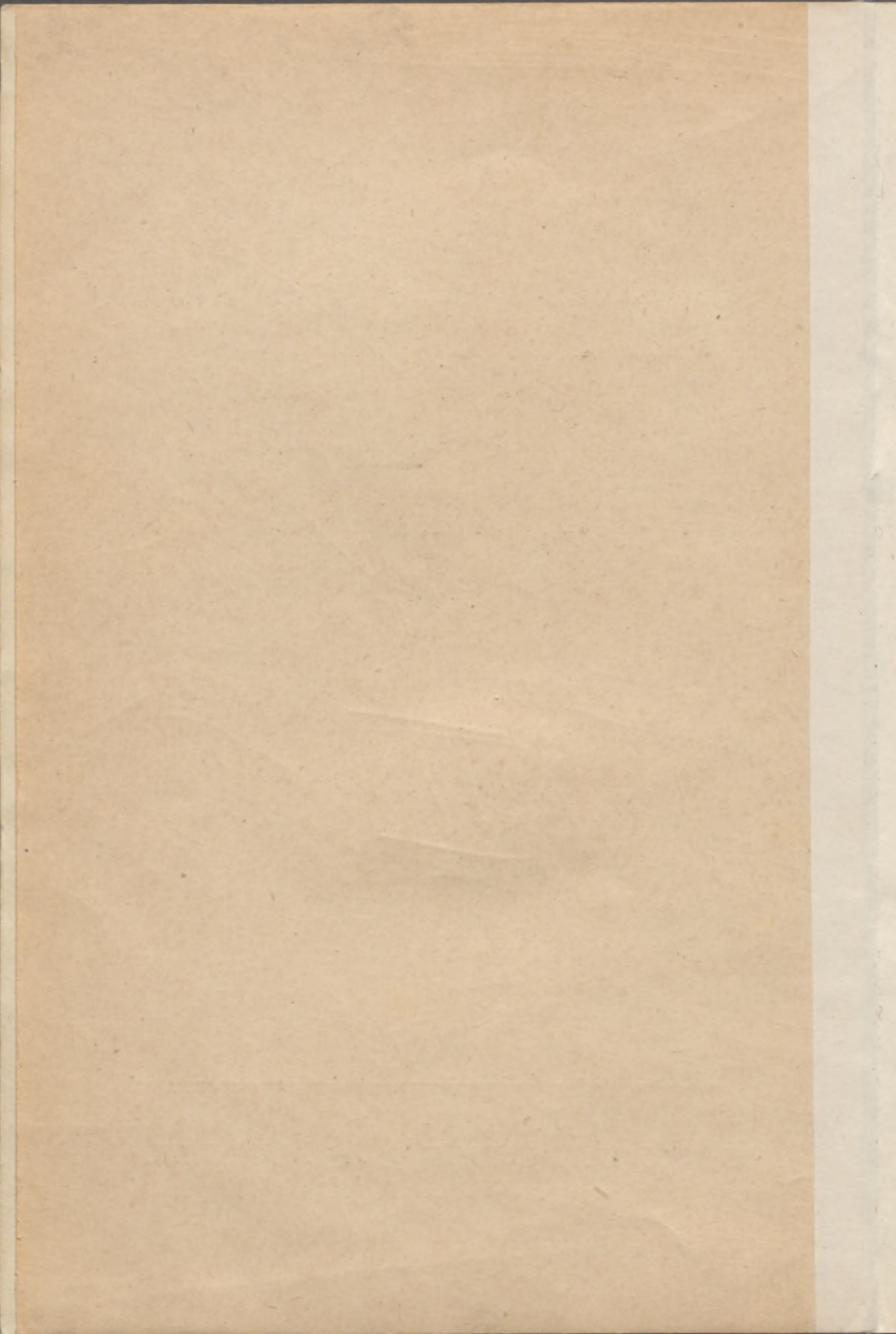
OSKAR WILDE

SZCZĘŚLIWY
KSIĄŻĘ
I INNE OPOWIADANIA

PRZEKŁAD
MARJI FELDMANOWEJ



W A R S Z A W A — 1 9 2 2
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

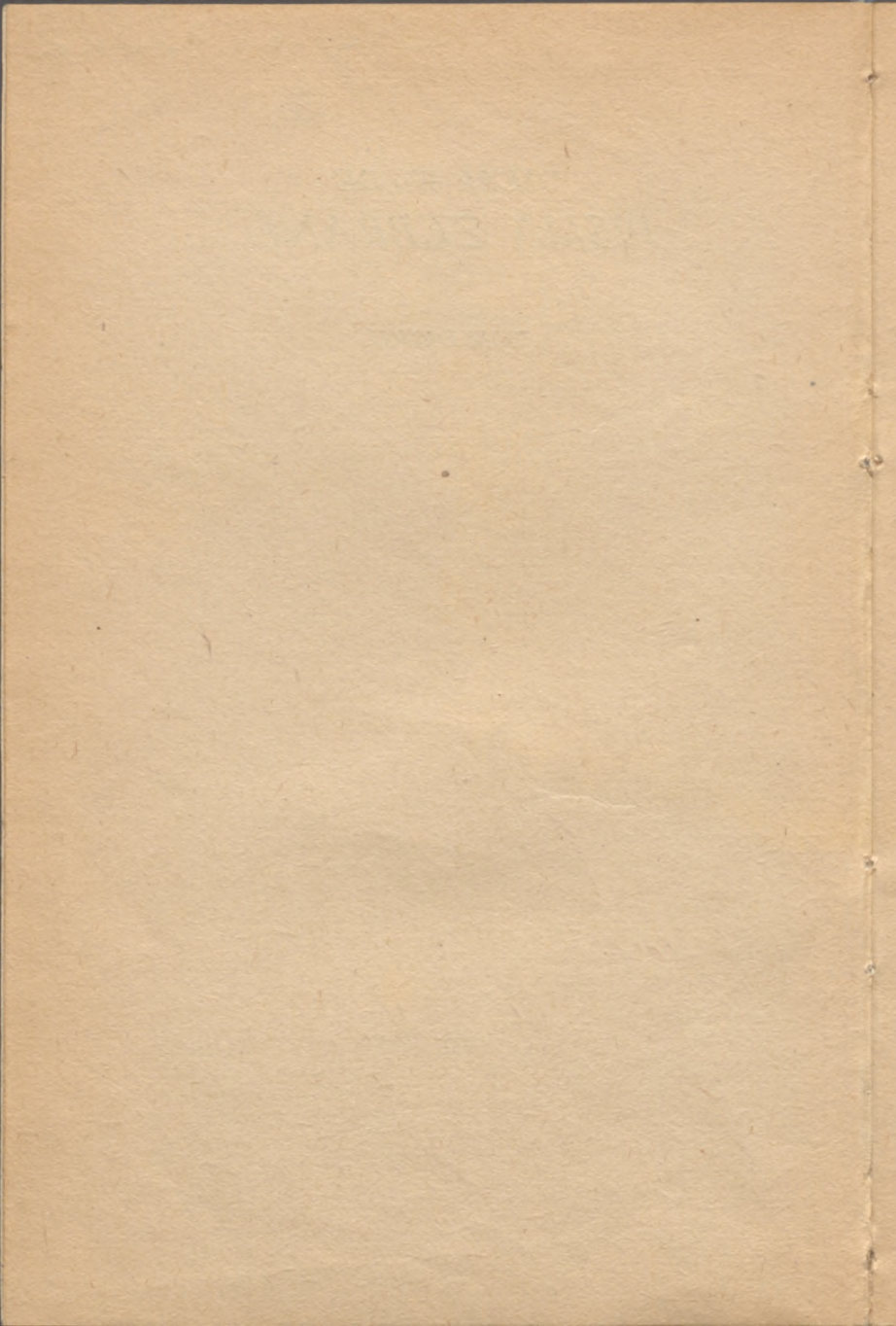


Reg. No 3522.
do,

OSKAR WILDE
PISMA ZEBRANE

TOM DRUGI

Li. 2. 78



39340

OSKAR WILDE

SZCZĘŚLIWY KSIAŻĘ
I INNE OPOWIADANIA

PRZEKŁAD

MARJI FELDMANOWEJ

W A R S Z A W A — 1 9 2 2
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

163221/2



CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.

K. 310/63

SZCZĘŚLIWY KSIĄŻĘ.

Na wysokim cokole, górując nad miastem, wznosił się pomnik szczęśliwego księcia. Cały był pokryty delikatnymi listeczkami, oczy miał z dwóch błyszczących szafirów, a na pochwie jego miecza świecił olbrzymi rubin.

Ogromnie go też podziwiano — ogromnie.

— Jest tak piękny, jak kurek na dachu — zauważył jeden z radców miejskich, usiłujący przez okazywanie artystycznych skłonności zdobyć sobie dobre imię. — Tylko mniej użyteczny od kurka — dodał, obawiając się, by go nie posądzono o brak zmysłu praktycznego... co wcale nie byłoby zgodne z prawdą.

— Czemu nie jesteś takim, jak szczęśliwy książę? — pytała czuła matka swego synka, który płakał, by mu zdjęto księżyc z nieba. — Szczęśliwy książę nigdy o nic nie płacze.

— Jestem kontent, że przynajmniej jeden człowiek na świecie jest całkiem szczęśliwy — mruknął zawiedziony w swych nadziejach przechodzień, rzucając okiem na pomnik.

— Wygląda jak anioł — mówiły chłopczyki-

sieroty, wychodząc z katedry w purpurowych płaszczkach i śnieżno-białych kryzach.

— Skąd wiecie, jak wygląda anioł? — spytał profesor matematyki. — Przecieżeście go nigdy nie widzieli.

— O, widzieliśmy... we śnie! — odpowiedziały dzieci.

A profesor matematyki zmarszczył czoło i gniewnie zsunął brwi, z zasady będąc przeciwnikiem wszelkich snów dziecińczych.

Pewnej nocy przelatywała nad miastem jaskółeczka... Towarzyszki jej przed sześciu tygodniami odfrunęły już do Egiptu, ona jedna tylko została, zakochawszy się w prześlicznej trzciny. Po raz pierwszy ujrzała ją była na wiosnę, uganiając nad rzeką za dużym, żółtym motylem, wówczas to, zachwycona smukłością trzciny, nieruchomo zawisała w powietrzu i wszczęła rozmowę.

— Czy wolno cię kochać? — spytała jaskółka, przyzwyczajona zmierzać zawsze wprost do celu. A trzcina głęboko się przed nią pochyliła.

Więc jaskółeczka poczęła fruwać dokoła trzciny, skrzydełkami muskając wodę, na której tworzyły się lekkie fale. Był to rodzaj zalotów, trwających całe lato.

— Śmieszny związek — świegotały inne jaskółki — toż ta trzcina niema żadnego majątku, a tak liczną rodzinę. Bo w istocie brzegi rzeki całkiem były porośnięte trzcina.

Z nadejściem jesieni wszystkie jaskółki odleciały za morze. Wówczas jaskółeczka uczuła się bardzo osamotnioną, i miłość do trzciny poczęła ją niecierpliwieć.

— Niepodobna z nią prowadzić porządnej rozmowy — mówiła — przytem zaczynam ją podejrzawać o brzydką kokieterję, bo wszak najwidoczniej flirtuje z wiatrem. I istotnie, za każdym powiewem wiatru, trzcina wykonywała przed nim najwdzięczniejsze dygi!

— Przyznaję, że jest gospodarna i lubi zacisze domowe — mówił ptak — ale ja lubię podróżować, więc i moja żona musi to lubić.

— Pójdiesz ze mną? — spytała wreszcie jaskółka. Ale trzcina przecząco potrząsnęła głową — zbyt była przywiązana do ojczyzny.

— Więc igrałaś mem uczuciem — zawołała jaskółka. — Dobrze! Ja lecę teraz na piramidy. Żegnaj! I odfrunęła.

Niez mordowanie szybowiała przez cały dzień, a wieczorem doleciała do jakiegoś miasta.

— Gdzie teraz zamieszkam? — mówiła do siebie. — Sądzę, że miasto poczyniło przecież odpowiednie przygotowania.

Wtem zobaczyła pomnik na wysokim cokole. — Tu pozostanę — zawołała radośnie — doskonały będę mieć nocleg na świeżem powietrzu. To rzekłszy, wygodnie usiadła w zagłębieniu u stóp księcia.

— Mam złocistą sypialnię — mówiła do siebie

z zadowoleniem, rozglądając się dokoła. W chwili jednak, gdy, ukrywszy główkę pod skrzydełkiem, zabierała się do snu, spadła na nią duża kropla deszczu.

— Dziwne! — zawołała jaskółka, otrząsając się — na niebie niema najlżejszej chmurki, gwiazdy świecą i migocą, a jednak deszcz pada. Klimat północnej Europy jest istotnie okropny! Trzcina lubiła wprawdzie deszcz, ale powodował ją najwyklejszy egoizm.

Wtem padła na nią druga kropla deszczu.

— Do czego służy właściwie taki pomnik, skoro nie może nawet dać schronienia przed deszczem? Obejrzę się raczej za jakim dobrym kominem — szepnęła do siebie, zabierając się do lotu.

Ale zanim jeszcze rozwinęła skrzydełka, uczuła na sobie trzecią kroplę deszczu. Podniosła więc wzrok i zobaczyła... co zobaczyła?

Oczy szczęśliwego księcia były napełnione łzami, i łzy spływały mu po złotych policzkach. Twarz jego w świetle księżyca tak była piękna, że serce jaskółeczki zadrżało współczuciem.

— Kto jesteś? — spytała.

— Jestem szczęśliwym księciem.

— Więc czemu płaczesz? — spytała jaskółka. — Całkiem przemokłam od twych łez.

— Kiedy jeszcze żyłem i miałem ludzkie serce — mówił pomnik — nie wiedziałem, co znaczą łzy, mieszkalem bowiem w pałacu Sans-Souci, do którego troska nie miała przystępu. Dnie spędzałem na zabawach z towarzyszami, a wieczorem aran-

zowałem tańce i zabawy w wielkiej sali balowej. Dokoła ogrodu biegł bardzo wysoki mur, ale mnie nigdy nie przyszło na myśl zapytać, co się za nim znajduje, tak mi było dobrze i wesoło. Dworzanie nazywali mnie szczęśliwym księciem, i istotnie byłem szczęśliwy — o ile radość oznacza szczęście. Tak żyłem i tak umarłem. A teraz, kiedy nie żyję, umieszczono mnie na tym cokole, tak wysoko, że mogę widzieć całą rozpacz i nędzę mojego miasta, i serce moje, aczkolwiek z ołowiu, bezustannie płakać musi.

— Co? Więc nie jest cały ze złota? — szepnęła do siebie jaskółka. Zbyt była uprzejma, by głośno czynić podobne osobiste uwagi.

— Daleko stąd — mówił pomnik swym cichym, melodyjnym głosem — daleko stąd, w wąskiej uliczce, stoi nędzny, stary dom. Jedno z okien jest otwarte — mogę przeto widzieć siedzącą przy stole kobietę, ma bladą zmęczoną twarz i szorstkie czerwone ręce, a palce pokłute igłą, gdyż jest hafciarką. Haftuje złote lilje na aksamitnej sukni, którą nosić będzie na balu dworskim najpiękniejsza dama honorowa królowej. Na wąskim łóżeczku, w ciemnym kącie izdebki, leży chory chłopczyk. Zrywa się w niespokojnym śnie gorączkowym i błaga o pomarańcze. Ale matka nie może mu nic dać, prócz wody studziennej, więc chłopczyk płacze i jęczy. Jaskółeczko, jaskółeczko, czy nie zechciałabyś jej zanieść ten rubin, świecący w pochwie mego

miecza, bo moje nogi tak są mocno przytwierdzone do tego cokołu, że nie mogę się ruszyć.

— Kiedy mnie oczekują w Egipcie — odparła jaskółka. — Towarzyszeki moje lecą wzdłuż Nilu i rozmawiają z wielkimi kwiatami lotosu. Niezadługo ułożą się do snu w grobie wielkiego króla. Ubrany jest w kosztowne żółte szaty i zabalsamowany. Na szyji ma łańcuch z bladozielonego nefrytu, a ręce zeschnęły niby żółte liście.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — czy nie możesz zostać u mnie przez tę jedną noc i być moją wysłanniczką? Chłopczyk taki spragniony, a matka jego tak smutna.

— Kiedy ja w gruncie rzeczy nie wiele sobie robię z chłopców — odparła jaskółka — bo gdy zeszłego lata mieszkalam nad rzeką, dwaj niedobrzy chłopcy, synowie młynarza, ustawicznie rzucali za mną kamieniami. Wprawdzie mnie nie trafili, bo my, jaskółki, latamy zbyt szybko, a ja pochodzę z rodziny sławnej nawet zagranicą z chyżego lotu, ale w każdym razie był to z ich strony pewien rodzaj lekceważenia.

— Szczęśliwy książę miał jednak minę tak smutną, że jaskółeczka szczerze się zmartwiła.

— Bardzo tu zimno — rzekła — ale mimo to zostanę u ciebie przez dzisiejszą noc i będę twą wysłanniczką.

— Dziękuję ci, jaskółeczko — rzekł książę.

Więc jaskółka wydziobała z pochwyt księcia

olbrzymi rubin, i trzymając go w dzióbku, wbiła się wysoko ponad dachy miejskie.

Przeleciała koło wieży katedry, strzeżonej przez białe aniołki z marmuru, przeleciała koło zamku, z którego dochodziły dźwięki muzyki tanecznej. Prześliczna dziewczyna wyszła na balkon ze swym ukochanym.

— Jak cudnie migocą gwiazdy — szepnął młodzieniec — i jak czarodziejską jest potęgą miłości.

— Czy też moja suknia będzie gotowa na bal — odparła — kazałam na niej wyhaftować złote lilje.

— Ale te hafciarki takie są leniwe!

Jaskółeczka pofrunęła nad rzekę i zobaczyła latarnie, wiszące u masztów okrętowych, i pofrunęła w stronę ghetta i zobaczyła starych żydów, jak się targują i pieniądze ważą na wagach miedzianych. Wreszcie doleciała do starego nędznego domu i przez otwarte okno zajrzała do wnętrza mieszkania. Chory chłopczyk rzucał się niespokojnie w śnie gorączkowym, a matka zdrzemnęła się nad haftem, tak była znużona. Więc jaskółeczka wleciała do izby i położyła olbrzymi rubin na stole, obok napairstka kobiety. Potem cichutko podleciała do łóżeczka i skrzydełkami poczęła chłodzić rozpalone czoło chłopczyny.

— Jak mi chłodno — szepnął chłopczyk — zdaje mi się, że wnet wyzdrowieję. — I popadł w sen głęboki, pokrzepiający.

— Wówczas jaskółeczka ruszyła z powrotem

do szczęśliwego księcia i opowiedziała mu, co uczyniła.

— Dziwne — rzekła — tak zimno na świecie, a mnie nagle zrobiło się całkiem ciepło.

— To dlatego, że spełniłaś dobry uczynek — rzekł książę, a jaskółka zamyśliła się nad jego słowami i zasnęła. Myślenie zawsze ją przyprawiało o senność.

O świcie zerwała się i poszybowała w stronę rzeki, by się wykapać.

— Co za rzadki fenomen — zadziwił się profesor ornitologii, właśnie przechodzący przez most. — Jaskółka w zimie! — I napisał o tem długi artykuł i umieścił go w jednym z najpoczytniejszych dzienników. Artykuł wzbudził ogólne zainteresowanie, obfitował zresztą w taki balast słów, że prawie nikt nie wiedział, o co chodzi.

— Dziś wieczór lecę do Egiptu — powiedziała sobie jaskółka, a myśl ta sprawiała jej rozkosz królewską. Tymczasem odwiedzała wszystkie pomniki, aż wreszcie spoczęła na szczycie wieży kościelnej. Gdziekolwiek się ukazywała, dolatywał ją świągot wróbli: Co za dostojna cudzoziemka! I jaskółka świetnie się bawiła.

Gdy księżyc ukazał się na niebie, pofrunęła do szczęśliwego księcia.

— Czy dasz mi jakie zlecenie do Egiptu? — zapytała — bo właśnie jestem na odlocie.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — czy nie mogłabyś zostać u mnie jeszcze przez jedną noc?

— Oczekują mnie w Egipcie — odparła jaskółka — jutro moje towarzyszki ruszą do drugiego wodospadu. Tam hipopotam spoczywa wśród słońca, a na olbrzymim tronie siedzi bóg Memon. Całą noc spogląda na gwiazdy, a ukazanie się gwiazdy porannej wita przeciągłym okrzykiem radości, poczem znów popada w milczenie. W południe żółte lwy przychodzą gasić pragnienie nad brzegami rzeki, oczy mają zielone jak beryl, a ryk ich głośniejszy jest od huku wodospadu.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — daleko, daleko stąd, na drugim krańcu miasta, widzisz młodego człowieka w ciasnej izdebce na poddaszu. Siedzi przy biurku, pochylony nad papierami, a przed nim, w szklance z wodą, wiązaneczka zwieńczonych fiołków. Włos ma ciemny i jedwabisty, usta ponsowe jak owoc granatu, oczy duże rozmarzone. Próbuje dalej pisać rozpoczęty dramat, ale palce mu drętwieją z zimna. Ogień dawno wygasł w piecu, a młodzieniec zemdlał już raz z głodu.

— Więc jeszcze przez dzisiejszą noc zostanę u ciebie — rzekła jaskółka, która istotnie miała dobre serce. — Czy mam mu także zanieść rubin?

— Ach, Boże! — westchnął książę — ja już nie mam drugiego rubina, oczy mi tylko zostały, lecz są one z drogocennych szafirów, przed tysiącem lat przywiezionych z Indyj. Wydziób mi jedno

i zanieś je głodnemu młodzieńcowi. Sprzeda go jubilerowi, kupi sobie za niego pożywienia i opał i dokończy swój dramat.

— Kochany książę — rzekła jaskółka — tego uczynić nie mogę. I poczęła płakać.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — zrób, jak ci powiedziałem.

Więc jaskółeczka wydziobała księciu jedno oko i uleciała z niem do izdebki na poddaszu. Łatwo się tam dostała, bo w dachu była ogromna dziura, i przez nią jaskółka wleciała do wnętrza domu. Młody człowiek, z głową wspartą na dłoniach, dumiał tak głęboko, że wcale nie słyszał szelestu skrzydeł ptaka i dopiero po jego odlocie zobaczył wśród zwiędłych fjołków cudnie błyszczący szafir.

— Zaczynają mnie wreszcie uznawać — zawołał.

— Niewątpliwie podarek od jakiegoś gorącego wielbiciela. Teraz będę mógł skończyć mój dramat — szeptał, — a twarz jego jaśniała radością.

Nazajutż jaskółka poleciała do portu. Usiadła na maszcie wielkiego okrętu i przyglądała się, jak majtkowie na grubych linach wloką skrzynie i paki z towarami.

— Ohoj! ohoj! — krzyczeli za każdym pociągnięciem liny.

— Odjeżdżam do Egiptu — zawołała jaskółka, ale nikt na nią nie zwracał uwagi, więc z nadzieją nocy odfrunęła do szczęśliwego księcia.

— Przyleciałam, by cię pożegnać — zawołała.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — czy nie mogłabyś zostać u mnie jeszcze przez noc dzisiejszą?

— Już zima — odparła jaskółka — i za parę dni spadnie zimny, szkaradny śnieg. A w Egipcie słońce gorące pieści teraz zielone palmy, a krokodyle leżą w kałuży i leniwie się przeciągają. Towarzyszek moje budują gniazda w świątyni Baalbek, a białe i różowe gołąbki, gruchając z sobą, przyglądają się ich robocie. Kochany książę, muszę cię teraz opuścić, ale nigdy cię nie zapomnę i zaraz z wiosną przylecę tu do ciebie i przyniosę ci dwa cudowne kamienie, na miejsce tych, które darowałeś. Rubin będzie czerwieńszy od róży czerwonej, a szafir tak błękitny, jak wielkie morze, dzielące mnie od Egiptu.

— Tam w najdalszej dzielnicy miasta — odparł szczęśliwy książę — stoi mała dziewczynka, sprzedająca zapalki. Ale zapalki wysypały się jej na ulicę i przemokły, i nikt ich nie chce kupować. Ojciec ją obije, jeśli nie przyniesie do domu pieniędzy, i dlatego biedactwo płacze. Nóżki ma bose i główkę odkrytą na tym strasznym wicherze. Wydziób mi drugie oko i zanieś jej, to ojciec jej nie ukarze.

Jeszcze przez dzisiejszą noc zostanę u ciebie — rzekła jaskółka — ale oka ci nie wydziobię, bo byłabyś już przecie całkiem ślepy.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — zrób jak ci powiedziałem.

Więc jaskółka wydziobała księciu drugie oko i uleciała z niem ku miastu. Zatoczyła krąg nad głową dziewczynki z zapalkami i wypuściła z dzióbka klejnot, który padł prosto na zziębniętą rączkę dziecka.

— Jakie śliczne szkieleko! — radośnie zawołała dziewczynka i, zapominając o wszystkim, pobiegła do domu.

A jaskółka napowrót przyleciała do księcia i rzekła:

— Teraz jesteś ślepy, więc na zawsze już zostanę z tobą.

— Nie, jaskółeczko, — odparł biedny książę — ty musisz odejść do Egiptu.

— Na zawsze zostanę z tobą! — powtórzyła jaskółka, zasypiając u stóp księcia.

Cały dzień następny siedziała na ramieniu księcia i opowiadała mu dziwne historie o wszystkim co widziała w dalekich krajach. Opowiadała mu o wszystkim, co widziała. Opowiadała o czaplach, jak w długim szeregu stoją nad brzegami Nilu, dziobami łowiąc złote rybki, i opowiadała o sfinksie, co jest tak stary, jak świat i żyje w pustyni i wie o wszystkim, i opowiadała o kupcach, jak powoli kroczą obok swych wielbłądów, niosąc w rękach bryły bursztynu, i o królu Gór księżycowych, czarnym jak heban i modlącym się do olbrzymiego kryształu, i o zielonym wężu, który śpi na palmie, a dwudziestu kapłanów karmi go plackami z mio-

dem, i o karzełkach, co na szerokich listkach przepływają wielkie morze i wiecznie prowadzą wojnę z motylami.

— Jaskółeczko kochana — rzekł książę — cudowne mi opowiadasz historie, ale nad wszystko zajmujące jest ludzkie cierpienie. Żadna tajemnica nie jest tak wielka i potężna, jak niedola człowieka. Wzleć nad miasto, jaskółeczko, a później mi opowiedz, co tam widziałas.

Więc jaskółeczka szybowiała nad miastem i widziała bogaczy, opływających w zbytkach i rozkoszy, podczas gdy żebracy ginęli u ich progów. I szybowiała nad ciemnymi uliczkami i widziała blade twarzyczki zgłodniałych dzieci, posępnie patrzących na smutne, ponure ulice. Pod arkadami mostu zobaczyła dwóch chłopczyków, wzajem oplatali się ramionkami, chcąc się rozgrzać.

— Tak nam się chce jeść — jęczeli.

— Niewolno tu leżeć — burknął policjant przechodząc koło mostu, i biedne dzieci w mroku i deszczu musiały szukać innego schronienia.

A jaskółeczka poleciała do księcia i opowiedziała mu, co widziała.

— Cały jestem pokryty złotem — rzekł książę — musisz ze mnie zdejmować listek po listku i rozdawać je moim ubogim. Wszyscy ludzie żyjący sądzą, że złoto daje szczęście.

Więc jaskółeczka odejmowała dzióbkiem jeden złoty listek po drugim, aż wreszcie szczęśliwy



książę, ogołocony z wszystkich ozdób, stał się zupełnie szary. I jeden listek po drugim jaskółeczka nosiła ubogim, a twarzyczki dzieci zaróżowiły się i rozweseliły.

— Teraz mamy co jeść! — szczebiotały na ulicach.

A później nadszedł śnieg, a za nim mróz. Ulice wyglądały, jakoby były całe ze srebra, tak się świeciły i migotały. Długie sople lodu, niby sztylety kryształowe, zwieszały się z dachów, ludzie chodzili otuleni w ciężkie futra, a chłopczyki w czapkach naciśniętych na uszy ślizgali się, gdzie tylko napotkali zamarzniętą sadzawkę.

Biednej jaskółeczce było z każdym dniem zimniej i zimniej, ale zbyt kochała księcia, by go mogła porzucić. Zbierała okruszynki przed piekarnią, gdy piekarz się oddalał, i starała się rozgrzać, ustawicznie trzepocząc skrzydełkami.

Ostatecznie jednak uczuła, że zbliża się jej koniec. Tyle jeszcze miała sił, by podlecieć na ramię księcia.

— Żegnaj, kochany książę — szepnęła — czy mogę ucałować twą rękę?

— Ciesz się, jaskółeczko, że wreszcie odlatujesz do Egiptu, zbyt długo się już tu zatrzymywałaś — rzekł książę. — Ale musisz mnie pocałować w usta, bo cię kocham.

— Ja nie odlatuję do Egiptu — odparła jaskółka — lecz do krainy Śmierci. Śmierć jest siostrą snu, nieprawdaż?

I ucałowała szczęśliwego księcia w usta i nieżywa padła u jego stóp. W tejże chwili z wnętrza pomnika wydobył się dziwny dźwięk, jakby coś pękło. I istotnie pękło w nim serce ołowiane. Bo też mróz był straszliwy...

Nazajutrz wczesnym rankiem burmistrz przechadzał się po mieście w towarzystwie radców miejskich. Przechodząc koło pomnika, rzucił nań okiem i krzyknął:

— Na Boga! Jakże nędznie wygląda szczęśliwy książę!

— Jak nędznie! -- zawtórowali jednogłośnie radcy, którzy zawsze dzielali zdanie burmistrza i bliżej podeszli do pomnika.

— Rubin wypadł mu z pochwy i oczu już niema, ani pozłótki — rzekł burmistrz — wygląda teraz jak ostatni żebrak.

— Jak ostatni żebrak — powtórzyli radcy.

— I nawet nieżywy ptak leży u jego nóg — oburzył się burmistrz. — Będziemy musieli co prędzej wydać rozporządzenie, że ptakom wzbronione na tem miejscu umierać. A sekretarz burmistrza na poczekaniu wniosek ten zaprotokółował.

Wkrótce usunięto pomnik szczęśliwego księcia. — Nie jest już ładny, więc niema też żadnego celu istnienia — objaśnił profesor historii sztuki.

Następnie przetopiono pomnik w giserni, a burmistrz zwołał zgromadzenie, celem obrady co począć z metalem.

— Oczywiście musimy mieć inny pomnik — rzekł burmistrz — niechże więc będzie mój!

— Mój! — równocześnie zawołali wszyscy radcy i rozpoczęli sprzeczkę. Gdy o nich słyszałem po raz ostatni, sprzeczka ta ciągle jeszcze nie była ukończoną.

— Dziwne — mówił inspektor giserni — to pęknięte serce z ołowiu, w żaden sposób nie da się przetopić. Musimy je odrzucić. — I odrzucił je na śmietnik, gdzie leżała martwa jaskółka.

— Przynieś mi dwie najkosztowniejsze rzeczy z mojego ogrodu — rzekł Bóg do jednego z aniołów, a anioł przyniósł ołowiane serce i martwego ptaka.

— Dobry zrobiłeś wybór — rzekł Bóg — bo ptak ten wiecznie będzie śpiewał w mych rajszych ogrodach, a szczęśliwy księżę po wieki chwalić mnie będzie w moim złotym grodzie.

S Ł O W I K I R Ó Ź A.

Powiedziała, że będzie ze mną tańczyć, jeśli jej przyniosę czerwoną różę — mówił młody student — a tu w całym ogrodzie niema ani jednej czerwonej róży.

Z gniazdka swojego na dębie słowik usłyszał te słowa i wyrzwał z poza listków zdumiony.

— Ani jednej czerwonej róży w całym ogrodzie! biadał student, a piękne jego oczy zasłzyły łzami. — Ach, od jakichże marnych rzeczy zależne jest szczęście ludzkie! Czytałem wszystko, cokolwiek uczeni napisali, przyswoiłem sobie wszystkie tajemnice filozofji, a oto całe moje życie będzie złamane przez brak czerwonej róży.

— Oto nareszcie prawdziwy kochanek — ozwał się słowik. — Noc po nocy śpiewałem o nim, jakkolwiek go nie znałem, noc po nocy mówiłem o nim gwiazdom, a oto go widzę. Włos ma ciemny jak kwiecie hjacentu, a usta czerwone jak róża, której pragnie, ale namiętność okryła jego lice błałością kości słoniowej, a troska przyłożyła pieczęć swą na jego czoło.

— Księżę wydaje bal jutro wieczór — mamrotał młody student — a moja ukochana też tam bę-

dzie. Jeśli jej przyniosę czerwoną różę, będzie ze mną tańczyć aż do świtu. Jeśli jej przyniosę czerwoną różę będę ją trzymał w swych objęciach, a ona oprze główkę na mem ramieniu, a dłoń jej spocznie w mej dłoni. Ale w całym tym ogrodzie niema czerwonej róży, więc będę siedział sam, i ona nie zwróci na mnie uwagi. Przejdzie mimo mnie obojętna, i serce mi pęknie z żalu.

— Oto istotnie prawdziwy kochanek — rzekł do siebie słowik. — Cierpieniem czuje to, co ja śpiewam, co dla mnie jest radością, jemu sprawia ból. Zaiste, Miłość jest dziwna, przedziwna. Cenniejsza jest od szmaragdów i droższa od cudnych opali. Nie można jej nabyć za perły i granaty, ani też sprzedać na targu. Nie kupują jej kupcy, i niepodobna jej też wymienić na złoto.

— Muzykanci będą siedzieć na swem podwyższeniu — mówił dalej młody student — i będą grać na świeżo nastrojonych instrumentach, a moja ukochana będzie tańczyć przy dźwięku harf i skrzypiec. Będzie tańczyć tak lekko, że stopy jej za ledwie dotkną ziemi, a dworzanie w świetnych kostjumach będą się cisnąć do niej. Ale ze mną tańczyć nie będzie, ponieważ nie mogę jej dać czerwonej róży. — I rzucił się na trawę i, ukrywszy twarz w dłoniach gorzko zapłakał.

— Czemu on płacze? spytała jaszczureczka, przebiegając koło niego z podniesionym do góry ogonkiem.

— Tak, dlaczego? powtórzył motyl, uganiający się za promieniem słońca.

— No, czemu? szepnęła stokrótka do swej sąsiadki, głosem cichym, łagodnym.

— Płacze z powodu czerwonej róży — objaśnił słowik.

— Z powodu czerwonej róży? — krzyknęli. — Jakież to śmieszne! A mała jaszczureczka, z natury trochę cyniczna, w głos się nawet zaśmiała.

Słowik jednak zrozumiał powód troski studenta i, siedząc w swem gniazdku na dębie, w milczeniu rozważał tajemnicę Miłości.

Nagle rozpiął do lotu ciemne skrzydełka i wzbił się w powietrze. Jak cień przemknął przez gaik i jak cień poszybował w stronę ogrodu.

W pośrodku zielonego gazonu rósł piękny krzew różany, a gdy słowik go ujrzał, przyfrunął ku niemu i usiadł na jednej z gałązek.

— Daj mi czerwoną różę — prosił — a zaśpiewam ci najpiękniejszą moją pieśń.

Ale krzew przecząco potrząsnął głową.

— Moje róże są białe — odparł; — tak białe, jak piana morska, i bielsze, niż śnieg na szczytach gór. Idź jednak do mego brata, co rośnie koło starego zegara słonecznego, a może on ci da, czego potrzebujesz.

Więc słowik frunął w stronę krzewu różanego, co rósł w pobliżu starego zegara słonecznego.

— Daj mi czerwoną różę — prosił — a zaśpię-
wam ci najśłodsza moją pieśń.

Krzew jednak potrząsnął głową.

— Moje różę są żółte — odparł, — tak żółte,
jak włosy wodnic, co siedzą na tronie z ambry,
i żółtsze od jaskrów, co kwitną na łące, zanim
kosiarz przyjdzie ze swą kosą. Idź jednak do mego
brata, rosnącego pod oknem studenta, a może on
ci da, czego potrzebujesz.

I słowik frunął w stronę krzewu, co rósł pod
oknem studenta.

— Daj mi czerwoną różę — prosił — a zaśpię-
wam ci najśłodsza moją pieśń.

Krzew jednak potrząsnął głową.

— Moje różę są czerwone — odparł — tak czer-
wone, jak nóżki gołębia, i czerwienście od dużych
wachlarzy koralowych, co się chwieją i kołyszą
w otchłaniach oceanu. Ale zima zmroziła mi żyły,
mróz zwarzył pączki, a burza połamała gałązki
moje, i nie będę mieć róż tego roku.

— Jednej tylko róży czerwonej potrzebuję —
prosił słowik — tylko jednej czerwonej róży! Czy
w żaden sposób nie mógłbym jej dostać?

— Jest jeden sposób — odparł krzew — ale spo-
sób tak straszny, że nie śmiem ci powiedzieć.

— Powiedz — prosił słowik — ja się nie prze-
rażę.

— Jeśli potrzebujesz czerwonej róży — rzekł
krzew — musisz ją wyczarować pieśnią przy świetle

księżycą i zabarwić własną krwią serdeczną. Musisz mi śpiewać, piersią wbity na cierń. Całą noc musisz mi śpiewać, a cierń musi się wdzierać w twą pierś, a krew twoja musi płynąć w me żyły i stać się moją.

— Życie za jedną czerwoną różę, cena to zbyt wygórowana — zawołał słowik — bo wszyscy zbyt je kochają. Przyjemnie jest siedzieć wśród zieleni i spoglądać, jak słońce pędzi w swym złotym rydwanie z pereł. Słodka jest woń głogu i słodki zapach dzwonków, ukrytych w dolinie, i wrzosu, co kwitnie na wzgórzu. Ale Miłość lepsza jest od Życia, a czymże jest serce ptaka w porównaniu z sercem człowieka?

I rozpostarł do lotu swe ciemne skrzydełka i wzbił się w powietrze. Jak cień przemknął ponad ogrodem i jak cień przeleciał ponad gajem.

Student tymczasem ciągle jeszcze leżał na trawie, jak go był pozostawił, a łzy nie zaschły wcale w jego pięknych żrenicach.

— Bądź dobrej myśli — zawołał słowik — bądź dobrej myśli, gdyż będziesz miał czerwoną różę. Wyczaruję ją pieśnią przy świetle księżycą i zabarwię własną krwią serdeczną. A w zamian zadam od ciebie tylko tego, abyś był prawdziwym kochankiem, albowiem Miłość mędrsza jest od filozofji, pomimo że ta jest tak mądra, i silniejsza od potęgi, mimo że ta jest tak silna. Płomienne są jej skrzydła i koloru płomieni jej ciało. Usta

jej słodkie jak miód, a oddech — niby woń macierzanki.

Student podniósł oczy od trawy i słuchał, nie rozumiejąc co mu mówi słowik, gdyż rozumiał tylko to, co napisane w księgach.

Dąb jednak zrozumiał i zasmucił się, będąc szczerze przywiązany do słowika, co usłwał gniazdeczko w jego gałęziach.

— Zaśpiewaj mi ostatnią pieśń — szepnął. — Będzie mi bardzo samotno po twym odlocie.

Więc słowik począł śpiewać dla dębu, a głos jego brzmiał niby szmer wody, sączącej się ze srebrnego puhara.

Gdy skończył swą pieśń, student dźwignął się z trawy i wyjął z kieszeni notes i ołówek.

— Formę opanował — mówił do siebie, odchodząc z gaju — tego mu odmówić niepodobna ale czy ma też uczucie? Obawiam się, że tego mu brak. Tak, istotnie, podobny jest do przeważnej części artystów, wszystko u niego jest stylem — bez wszelkiej szczerości. Nie umiałby się poświęcić dla innych. Myśli tylko o śpiewie, a każdemu wiadomo, że sztuka jest egoistyczną. A jednak przyznać należy, że ma kilka tonów przecudnych. Szkoda tylko, że nie mają żadnego znaczenia i nie dają też korzyści realnej. I poszedł do swego pokoju i, rzuciwszy się na wąski tapczanik, zaczął myśleć o swej ukochanej, a niezadługo zasnął.

A gdy księżyc zaświecił na niebie, słowik przy-

frunął do krzewu różanego i pierś przycisnął do ciernia. Przez całą noc śpiewał, z piersią opartą o cierni, a zimny księżyc kryształowy spłynął na skraj horyzontu i słuchał. Przez całą noc słowik śpiewał, a cierni coraz głębiej i głębiej wdzierał się w jego pierś, z której wraz z krwią uchodziło też życie.

Śpiewał najpierw o narodzinach Miłości w sercu młodzieńca i dziewczyny. A na najwyższej gałęzeczce krzewu różanego wykwiłała cudowna róża, listek za listeczkiem, w miarę jak pieśń nowa następowała po pieśni przebrzmiałej. Błądą była róża początkowo, jak mgły wiszące nad rzeką — błądą, jak palec jutrzeńki porannej i srebrną, jak skrzydła zmierzchu. Niby cień róży w srebrnym zwierciadle, niby cień róży w wodnym kryształ, była owa róża na najwyższej gałęzeczce krzewu różanego.

Ale krzew nalegał na słowika, aby mocniej przytulił się do ciernia. — Mocniej się przytul, słowiczku — wołał krzew — inaczej dzień nastanie, za nim róża się rozwinie.

Więc słowik mocniej przytulił się do ciernia, a śpiew jego potężniał z każdą chwilą, gdyż śpiewał o narodzinach namiętności w duszy mężczyzny i kobiety.

I delikatny cień purpury zabarwił płatki róży, niby fala krwi, rumieniąca twarz narzeczonego, gdy całuje usta narzeczonej. Ale cierni nie dotarł jeszcze do serca, więc i serce róży pozostało białe, bo

tylko serdeczna krew słowika zdolna jest zabarwić purpurą serce róży.

A krzew nalegał na słowika, by się mocniej przytulił do ciernia. — Mocniej się przytul, słowiczku — wołał krzew — inaczej dzień nastanie, zanim róża się rozwinie.

Więc słowik mocniej przytulił się do ciernia, aż cierni dotarł do serca, przeszywając je ostrym bólem. Gorzkim, gorzkim był ból słowika i coraz namiętniejszym był jego śpiew, śpiewał bowiem o Miłości udoskonalonej przez śmierć, o Miłości, sięgającej poza grób.

I cudowna róża stała się szkarłatną, jak purpura wschodzącego słońca. Szkarłatnem było obrzeżenie jej płatków i szkarłatnym rubin jej serca.

Ale głos słowika słabł z każdą chwilą i skrzydełka poczęły trzepotać, a mgła przesłoniła mu oczy. Coraz słabiej brzmiał jego śpiew, a śpiewak coraz wyraźniej czuł, że go coś dusi w krtani.

I wtedy wydobył z siebie melodię najgłębszą. Białe księżyc ją usłyszał i, zapominając o świcie, przystanął na niebie zasłuchany. Czerwona róża usłyszała i cała zadrżała dreszczem ekstazy i rozchyliła stulone listeczki na zimny chłód poranka. Echo poniosło pieśń ku swym purpurowym jaskiniom w górach, budząc śpiących pastuchów. Popłynęło ponad trzciny nadbrzeżne, a te poniosły jego wieść ku morzu.

— Patrz! patrz! — krzyknął krzew — oto róża

skończona! Słowik jednak nic już nie odpowiedział, gdyż martwy leżał w bujnej trawie, z cierniem w rozdartem sercu.

A w południe student otworzył okno i wyrzał na ogród.

— Cóż to! — krzyknął. — Jakiż szczęśliwy traf! Czerwona róża! Nigdy w życiu nie widziałem podobnej. Jest tak precudna, że najpewniej musi mieć długą nazwę łacińską. I, wychyliwszy się z okna, zerwał kwiat.

Następnie chwycił kapelusz i pobiegł do domu profesora, trzymając w ręku czerwoną różę.

Córka profesora siedziała przed domem, zwijając w kłębek błękitny jedwab, a u stóp jej spoczywała duża doga.

— Powiedziałaś, że będziesz ze mną tańczyć, jeśli ci przyniosę czerwoną różę — zawołał student. — Oto róża tak czerwona, jak żadna inna na całym świecie. Dziś wieczór będziesz ją nosić przy sercu, a, gdy będziemy tańczyć, ona ci powie, jak bardzo cię kocham.

Ale dziewczyna zmarszczyła brew.

— Zdaje mi się, że kolor ten nie będzie się zgadzał z moją toaletą — odparła, — zresztą, siostrzeniec szambelana przysłał mi prawdziwe klejnoty, a każdy przecież wie, że klejnoty znacznie są droższe od kwiatów.

— Tak więc? Zaprawdę, jesteś pani bardzo niewdzięczna! — wybuchnął student oburzony.

I rzucił różę na ulicę, aż potoczyła się do rynsztoku, gdzie ją zmiażdżyło koło przejeżdżającego właśnie wozu.

— Niewdzięczna! — zawołała dziewczyna. — A pan jesteś brutalny! Zresztą, czem pan jesteś właściwie? Zwykłym studentem. Ba, wątpię nawet, czy masz srebrne sprzączki przy trzewikach, jak siostrzeniec szambelana. — Rzekłszy to, zerwała się z krzesła i weszła do mieszkania.

— Cóż to za idjotyzm ta Miłość — mówił do siebie student, wracając do domu. — Nie jest ani w przybliżeniu tak użyteczna jak logika, niczego bowiem nie dowodzi, a zawsze mówi o rzeczach nieziszczonych i każe wierzyć w złudę. Istotnie, zgoła jest niepraktyczną, a ponieważ w tem stuleciu należy przedewszystkiem mieć na oku względy praktyczne, więc najlepiej zrobić, wracając znów do filozofji i metafizyki.

Wrócił więc do swego pokoju i, zdjawszy z półki dużą, okurzoną księgę, zatopił się w czytaniu.

SAMOLUBNY OLBRZYM.

Każdego południa wracając ze szkoły, dzieci zwykły były chodzić i bawić się w ogrodzie olbrzyma.

Był to duży, prześliczny ogród, zaścielony miękką, zieloną trawą. Tu i ówdzie ponad trawą wznosiły się piękne kwiaty niby jasne gwiazdy, a rosło tam także dwanaście drzew brzoskwiniowych, które na wiosnę okrywały się delikatnem kwieciami, koloru blad różowego i perłowego, a w jesieni darzyły owocami. Na drzewach siedziały ptaki i śpiewały tak słodko, że dzieci często przedstawiały się bawić, by słuchać głosów ptaszczych. — Jak nam tu dobrze! — mówiły do siebie.

Pewnego dnia olbrzym powrócił. Odwiedzał był swego przyjaciela, ludożercę w Kornwalji i bawił u niego przez siedm lat. W ciągu tych siedmiu lat powiedziałszy mu wszystko, co miał do powiedzenia, gdyż w ogóle miał niewiele do mówienia, postanowił wrócić do swego zamku. Za przybyciem do swej siedziby, zobaczył dzieci bawiące się w jego ogrodzie.

— Co wy tu robicie? krzyknął głosem tak szorstkim, że dzieci uciekły przerażone.

— Mój ogród jest moim ogrodem — rzekł olbrzym — każdy to chyba może zrozumieć i dlatego nie pozwolę, by ktokolwiek, oprócz mnie, mógł się tu bawić. — Wybudował tedy dokoła ogrodu wysoki parkan i umieścił tablicę z napisem

Przekraczający ten parkan będą karani!

Był to olbrzym bardzo samolubny.

Biedne dzieci nie miały się teraz gdzie bawić. Próbowaly się bawić na gościńcu, ale gościniec był pełen kurzu i twardych kamieni, więc go nie lubiły. Po wyjściu ze szkoły przechadzały się więc dokoła parkanu, rozmawiając o cudnym ogrodzie po drugiej stronie parkanu. — Jak nam tam było dobrze — mówiły do siebie.

A później nastawa wiosna i cały kraj pełen był kwiatków i ptasząt. Tylko w ogrodzie samolubnego olbrzyma panowała jeszcze zima. Ptaki nie miały ochoty śpiewać w nim, skoro nie było dzieci, a drzewa zapomniały, że czas zakwitnąć. Razu pewnego jakiś kwiatek wysunął swą główkę z pod trawy, ale zobaczywszy tablicę z zakazem, tak się zmartwił o dzieci, że napowrót cofnął się do ziemi, i poszedł spać. Jedyne istoty zadowolone z tego stanu rzeczy były Śnieg i Mróz. — Wiosna zapomniała o tym ogrodzie — wołały — więc będziemy tu żyć przez cały rok. Śnieg nakrył

trawę swym dużym białym płaszczem, a Mróz pomalował wszystkie drzewa na kolor srebrny. Następnie zaprosiły do siebie Wiatr Północny, który też przybył niezadługo. Otulony był we futra i przez cały dzień dął w ogrodzie, zdmuchując kominy. — Cóż to za rozkoszne miejsce — mówił przybyły — musimy jeszcze zaprosić Grad. I przybył Grad. Co dnia przez trzy godziny stukał w dach zamku, dopóki nie porozbijał większej części dachówek, poczem pędził dokoła ogrodu, jak mógł najszybciej. Ubrany był na szaro, a oddech jego był lodowaty.

Nie rozumiem dlaczego wiosna się tak spażnia tego roku — mówił samolubny olbrzym, siedząc przy oknie i patrząc przez nie na swój zimny ogród. — Myślę, że rychło już chyba nastąpi zmiana pory roku.

Tymczasem wiosna nie nadeszła nigdy, ani też lato. Jesień przyniosła złote owoce wszystkim ogrodom, lecz ogród olbrzyma nie obdarzyła niczem. — Zbyt jest samolubny — orzekła. Tak więc zawsze tam panowała zima, a Wiatr Północny i Grad i Mróz i Śnieg tańczyły w zawody pośród drzew.

Pewnego ranka olbrzym leżał w łóżku, nie śpiąc już jednak, gdy nagle posłyszał jakąś cudną muzykę. Brzmiała mu ona tak słodko, że pomyślał, iż chyba orkiestra królewska przechodzi koło jego ogrodu. W rzeczywistości była to tylko mała malkogwa, śpiewająca za jego oknem; od tak dawna już jednak nie słyszał w swym ogrodzie śpiewu ptasząt, że wydał mu się najpiękniejszą muzyką

na świecie. Niebawem Grad przestał mu stukać nad głową, i Wiatr Północny nie dał już w ogrodzie, a rozkoszny zapach wniknął do pokoju przez otwarte okna. — Zdaje mi się, że wiosna przyszła nareszcie — rzekł olbrzym, i wyskoczył z łóżka, by się o tem przekonać.

I co zobaczył?

Oto najdziwniejszy widok przedstawił się jego oczom. Przez małą dziurę w parkanie dzieci wsunęły się do ogrodu i siedziały teraz na gałęziach drzew. Na każdym drzewie, jakie tylko mógł dostrzec, siedziało małe dziecko. A drzewa były tak uradowane powrotem dzieci, że okryły się kwieciami i delikatnie powiewały gałązkami nad głowami dzieci. Ptaki przelatywały z drzewa na drzewo świegocąc rozkosznie, a kwiaty śmiejąc się, wychylały główki z zielonej trawy. Widok był prześliczny, lecz w jednym rogu ogrodu była jeszcze zima. Był to najdalszy kątek i tam stał mały chłopczyk. Tak był jeszcze mały, że nie mógł dosięgnąć gałęzi drzewa, więc krążył tylko dookoła niego, płacząc żałośnie. Biedne drzewo było jeszcze okryte śniegiem i grudkami lodu, a Wiatr Północny dał i szumiał w jego gałęziach. — Spróbuj się wspiąć chłopczyku! mówiło drzewo, pochylając swe gałęzie jak tylko mogło, ale chłopczyk zbyt był drobny, by mógł to uczynić.

Serce olbrzyma wzruszyło się na ten widok. — Jakże byłem samolubnym! zawołał — Teraz już

wiem, dlaczego wiosna tu nie przychodziła. Wsadzę tego chłopczyka na wierzchołek drzewa, a potem rozwalę parkan i ogród mój będzie już na zawsze miejscem zabaw dla dzieci. Bo istotnie żałował bardzo swego postępu.

Powoli zszedł ze schodów, i cicho otworzył drzwi wiodące do ogrodu. Ale dzieci ujrzawszy go, tak się przeraziły, że co prędzej uciekły, a w ogrodzie znów zapanowała zima. Tylko mały chłopczyk nie uciekł, gdyż oczy miał całkiem zalane łzami, więc nie widział nadchodzącego olbrzyma. A olbrzym zbliżył się doń ukradkiem i delikatnie wziął go na ręce i wsadził na drzewo. W jednej chwili drzewo okryło się kwieciami i ptaki przyfrunawszy, zaczęły śpiewać radośnie, a chłopczyk wyciągnął obydwie ramionka, zarzucił je na szyję olbrzyma i pocałował go w twarz. A inne dzieci widząc, że olbrzym nie jest już zły, co tchu przybiegły z powrotem, a z niemi przyszła wiosna. — Odtąd ogród ten należeć będzie do was, dzieciaki — rzekł olbrzym i wielkim toporem rozwalił parkan. A w południe idąc na targ, ludzie zobaczyli olbrzyma, bawiącego się z dziećmi w ogrodzie tak pięknym, jakiego nigdy jeszcze nie widzieli.

Dzieci bawiły się przez cały dzień, a wieczorem poszły do olbrzyma, by się z nim pożegnać.

— Ale gdzie jest wasz mały towarzysz? — spytał olbrzym. — Ten chłopczyk, którego wsad-

dziłem na drzewo? Olbrzym kochał go najbardziej, ponieważ go pocałował.

— Nie wiemy — odpowiadały dzieci. — Musiał widocznie odejść do domu.

— Musicie mu powiedzieć, aby się niczego nie obawiał i przyszedł tu jutro — rzekł olbrzym. Dzieci powiedziały jednak, że nie wiedzą, gdzie on mieszka i że nigdy go przedtem nie widziały, co olbrzymu bardzo zasmuciło.

Każdego południa, po skończonej nauce, dzieci przychodziły do ogrodu i bawiły się z olbrzymem. Ale mały chłopczyk, którego olbrzym kochał, nigdy się już nie pokazał. Olbrzym był bardzo dobrym dla wszystkich dzieci, ale tęsknił za swym małym przyjacielem i często o nim mówił. — Tak bardzo pragnę go zobaczyć! — powtarzał niejednokrotnie.

Lata upływały, a olbrzym postarzał się bardzo i stracił siły. Nie mógł się już bawić z dziećmi, więc siedział tylko w ogromnym fotelu, przyglądając się ich zabawom i podziwiając swój cudny ogród. — Mam dużo pięknych kwiatów — mawiał — ale najpiękniejsze z kwiatów, to dzieci.

Pewnego zimowego ranka wyglądał oknem, kończąc się ubierać. Nie nienawidził już teraz zimy, ponieważ wiedział, że jest to tylko wiosna uśpiona, i że kwiaty wypoczywają.

Nagle zaczął sobie przecierać zdumione oczy, raz po raz skierowując wzrok w tym samym kierunku. Bo widok był istotnie przedziwny. W naj-

dalszym rogu ogrodu było drzewo, całe okryte białem kwieciami. Gałęzie miało złote i zwisały z nich srebrne owoce, a pod drzewem stał chłopczyk, którego był umiłował.

Olbrzym zbiegł ze schodów z wielkiej radości, i poprzez trawnik jak tylko mógł najspieszniej zdążył ku dziecku. A zbliżywszy się, poczerwieniał z gniewu i rzekł: — Kto śmiał cię zranić? Bo na dłoniach dziecka widniały ślady dwóch gwoździ, a ślady dwóch gwoździ były też na nóżkach.

— Kto śmiał cię zranić? — krzyknął olbrzym — Powiedz, kto to uczynił, a wezmę mój duży miecz i zabiję go.

— Nie! — odparło dziecko — to rany Miłości.

— Kto jesteś? — spytał olbrzym — i dziwna go ogarnęła trwoga i ukląkł przed dzieckiem.

A dziecko uśmiechnęło się do olbrzymia i rzekło: — Pozwoliłeś mi się kiedyś bawić w swym ogrodzie, dziś pójdziesz ze mną do mego ogrodu, który jest rajem.

A gdy dzieci przybiegły tego południa, ujrzały olbrzymia martwego pod drzewem i osypanego białem kwieciami.

PRAWDZIWY PRZYJACIEL.

Pewnego razu stary szczur wodny wystawił głowę ze swej dziury. Miał duże krągłe oczy i szorstkie siwe bokobrody, a ogon podobny do podłużnego kawałka czarnej gumy. Właśnie pływały po stawie młode kacząta, wyglądające jak stado żółtych kanarków, a matka ich, całkiem biała, o prawdziwie czerwonych nogach, uczyła je stać na głowie.

— Nigdy się nie dostaniecie do dobrego towarzystwa, dopóki nie nauczycie się stać na głowie — mówiła do nich po raz niezliczony, pokazując jak się to robi. Ale pisklęta nie zwracały na nią uwagi. Były tak młode, że wcale nie rozumiały, co to za korzyść znaleźć dostęp do towarzystwa.

— Co za nieposłuszne dzieci! — krzyknął stary szczur. — Zasługują doprawdy, by je potopić.

— Wcale nie — odparła kaczka — każdy początek jest trudny, a rodzice nie mogą nigdy być dość cierpliwi.

— Ach! Nie znam zupełnie tych uczuć rodzicielskich — rzekł stary szczur — bo nie mam rodziny. Istotnie, nigdy nie byłem ożeniony i nigdy też nie myślę się żenić. Miłość jest wcale dobrą

rzeczą, ale przyjaźń jest znacznie wznioslejszą. Zaprawdę, nie znam na świecie nic równie szlachetnego i wzniosłego, jak prawdziwą przyjaźń.

— A jakież, proszę, są wasze pojęcia o obowiązkach prawdziwej przyjaźni? — zagadnęła zielona makolągwa, co siedząc na pobliskiej wierzbie, słyszała poprzednią rozmowę.

— Tak, tego właśnie i ja pragnęłabym się dowiedzieć — rzekła kaczka. I przypłynąwszy nad brzeg stawu, stanęła na głowie, aby dzieciom swym dać dobry przykład.

— Go za głupie pytanie! — krzyknął szczur. — Oczywiście, że od przyjaciela wymagałbym, aby się dla mnie poświęcał.

— A jakim byłbyś ty względem niego? — spytał ptaszek, kołysząc się na srebrnej gałązce i trzepocząc skrzydełkami.

— Nie rozumiem twego pytania — odparł.

— Więc pozwól, a opowiem ci historję na ten temat — rzekła makolągwa.

— Czy ta historja mnie dotyczy? — spytał szczur. — Jeśli tak, to chętnie posłucham, gdyż nadzwyczajnie lubię opowiadania.

— Da się do ciebie zastosować — odparła makolągwa, i, sfrunąwszy z gałązki, usiadła nad brzegiem stawu i opowiedziała historję o prawdziwym przyjacielu.

— Razu pewnego — poczęła makolągwa — żył sobie poczciwy chłopiec, Janek.

— Czy był bardzo zdolny? — spytał szczur.

— Nie — odparła makolągwa. — Nie sędzę, aby był posiadał jakiekolwiek wybitne zdolności, bo odznaczał się tylko dobrem sercem i wesołą, krągłą, zawsze pogodną twarzą. Mieszkał w mizernej chałupce, sam jeden tylko, i po całych dniach pracował w swym ogrodzie. Ale też w całej okolicy nie było ogrodu równie uroczego. Rosły tam stokrotki, i kaletki, i hjacenty różnokolorowe. Kwitły róże damasceńskie i duże krokusy liljowe i złote, fiołki ciemne i białe. Orliki kwitły i bazylijki, majoranek i pierwiosniki, barwinki błękitne i purpurowe piwonie; — wszystkie kwitły kolejno, w odpowiedniej porze, jedno po drugich, tak że zawsze ogród przedstawiał się pięknie i miłe w okół siebie roztaczał wonie.

Janek miał wielu przyjaciół, ale najserdeczniejszym ze wszystkich był Hugo, młynarz. Istotnie, bogaty młynarz tak bardzo był dlań serdecznym, że ani razu nie przeszedł koło jego ogrodu, aby się nie oparł o parkan i nie zerwał dużej wiązanki kwiatów lub pęku jarzyn, zależnie od tego, jakie były właśnie dojrzałe.

— Prawdziwi przyjaciele powinni wszystko posiadać wspólnie — zwykł był powtarzać młynarz, a Janek potakiwał i uśmiechał się, dumny, że ma przyjaciela o tak szlachetnych przekonaniach.

Czasami, co prawda, sąsiedzi bardzo się dziwili, że bogaty młynarz niczem się nie odwzajemnia

Jankowi, pomimo, że w młynie miał setki wozów pełnych mąki i sześć krów mleko-dajnych i całe stado wełnistych owiec. Janek jednak nigdy nie zadawał sobie podobnych pytań, i nic mu nie sprawiało takiej rozkoszy, jak przysłuchiwanie się tym cudownym uwagom, jakie młynarz wygłaszał o bezinteresowności prawdziwej przyjaźni.

Poza tem ciągle pracował w swym ogrodzie. Podczas wiosny, lata i jesieni czuł się bardzo szczęśliwym, ale gdy zima nadeszła i nie miał kwiatów ni owoców, by je wynosić na targ, nieraz cierpiał wtedy od głodu i chłodu i często udawał się na spoczynek bez kolacji, posiliwszy się paru suchemi gruszkami i twardemi orzechami. Przytem był też przez całą zimę bardzo osamotniony, gdyż młynarz nigdy go wtedy nie odwiedzał.

— Nie powinienem odwiedzać Janka, dopóki śnieg leży — mawiał młynarz do swej żony — albowiem ludzi strapionych należy pozostawiać samych, a nie naprzykrzać się im wizytami. Takie jest przynajmniej moje zapatrywanie co do przyjaźni i jestem pewny, że mam słuszność. Wolę przeto poczekać do wiosny, wtedy go odwiedzę i przyjmę od niego duży koszyczek pierwiosnków, czem mu wielką sprawię przyjemność.

— Doprawdy, jak ty zawsze myślisz i troszczysz się o innych — odparła żona, siedząc wygodnie w dużym fotelu, przed trzaskającym na kominku ogniskiem. — Rozkosz prawdziwa słyszeć cię

mówiącego o przyjaźni. Jestem pewna, że sam pastor nie powiedziałby tak pięknych rzeczy, pomimo że mieszka w domu trzechpiętrowym i nosi złoty pierścień na małym palcu.

— Ale czy nie moglibyśmy zaprosić Janka do nas? — zagadnął najmłodszy synek młynarza. — Skoro Janek jest teraz w biedzie, to ja odstąpię mu połowę mej zupy i pokażę białe króliki.

— Jakież z ciebie głuptas! — krzyknął młynarz. — Nie wiem istotnie, poco cię posyłam do szkoły. Zdaje się, że wcale tam nie korzystasz. Jakto, więc nie wiesz, że gdyby Janek tu przyszedł i zobaczył nasz ogień na kominku i smaczną kolację i dużą beczkę czerwonego wina, musiałby uczuć zazdrość, a zazdrość jest uczuciem strasznym, mogącem wypaczyć najlepszą nawet naturę. A ja absolutnie nie dopuszczę, by natura Janka została wypaczoną. Jestem najlepszym jego przyjacielem i zawsze będę czuwał, by nie był narażony na zgubne pokusy. Zresztą, gdyby Janek tu przyszedł, mógłby też zażądać, bym mu dał trochę mąki na kredyt, a tego uczynićbym nie mógł. Mąka co innego, a przyjaźń także co innego, i nigdy nie należy brać jednego za drugie. Tak, zupełnie to różne słowa i różne też mają znaczenie. To przecież widoczne.

— Jak ty świetnie mówisz! — ozwała się żona, nalewając sobie szklankę gorącego *alé'u*, — do prawdy, że o mało nie zasypiam. Tak samo, jak gdybym była w kościele.

— No tak — odparł młynarz — bardzo wielu ludzi postępuje dobrze, ale bardzo niewielu umie dobrze mówić, z czego wynika, że mówienie jest rzeczą trudniejszą i bardziej dystygowaną. — Co powiedziawszy, rzucił surowe spojrzenie na najmłodszego synka, który uczuł się tak zawstydzonym, że zwiesił głowę i oblał się purpurowym rumieńcem, wreszcie rozbeczał się nad swą herbatą. Był jednak tak młody, że należy go usprawiedliwić.

— Czy to już koniec historii? — spytał szczur.

— Skądże! — oburzyła się makolągwa — to dopiero początek.

— W takim razie jesteś bardzo zacofaną — rzekł szczur. — Każdy dobry nowelista opowiada teraz od końca ku początkowi, a kończy środkiem. Tak nakazuje nowa metoda. Dużo o tem słyszałem temi dniami od pewnego krytyka, który przechadzał się z jednym młodzieńcem dokoła stawu, rozmawiając o tej kwestji. Jestem przekonany, że miał słusność; nosił bowiem błękitne okulary i miał dużą łysinę, a ilekroć młodzieniec robił jakąś uwagę, on odpowiadał: phi! Ale proszę, opowiadaj dalej swą historję. Niezmiernie lubię tego młynarza. Ja sam posiadam mnóstwo pięknych przymiotów, i dlatego tak wielką dla niego uczuwam sympatię.

— Otóż — poczęła znów makolągwa, przestępując z nóżki na nóżkę — skoro tylko zima minęła i wiosna zaczęła otwierać swe blade gwiaz-

deczki, młynarz oznajmił swej żonie, że pójdzie odwiedzić Janka.

— Jakie ty masz dobre serce! — wykrzyknęła żona. — Ustawicznie myślisz tylko o drugich. A nie zapomnij zabrać z sobą dużego kosza na kwiat.

Więc młynarz związał skrzydła wiatraka silnym łańcuchem żelaznym i wyszedł z domu z dużym koszem na ręku.

— Dzień dobry, Janku — przywitał młynarz przyjaciela.

— Dzień dobry — odpowiedział Janek, wsparty na łopacie, śmiejąc się radośnie od ucha do ucha.

— I jakże ci się wiodło przez zimę? — spytał młynarz.

— Ach, istotnie! — wykrzyknął Janek, — jakże jesteście dobrzy, że o to pyacie. Niestety, miałem dość ciężkie czasy, ale na szczęście nadeszła już wiosna, i jestem znów wesół, i wszystkie moje kwiaty dobrze się rozwijają.

— Często o tobie mówiliśmy tej zimy — mówił znów młynarz — i dziwiliśmy się, jak sobie dajesz radę.

— To bardzo ładnie z waszej strony — radośnie zawołał Janek — obawiałem się bowiem, żeście o mnie zapomnieli.

— Janku, jestem zdumiony! — odparł młynarz. — Przyjaźń nie zna zapomnienia. To właśnie stanowi największy jej urok. Ale boję się, czy ty

wogóle rozumiesz poezję życia. Śliczne atoli, widzę, masz pierwiosniki!

— Naprawdę są bardzo ładne, i szczęście dla mnie, że tyle ich zakwitło — odparł Janek. — Właśnie je zamierzam zerwać i sprzedać w mieście córce burmistrza, a za te pieniądze odkupić sobie taczkę.

— Odkupić taczkę! Wszak nie chcesz przez to powiedzieć, że ją sprzedałeś? Byłoby to wielkiem głupstwem z twojej strony!

— Tak — przyznał Janek — byłem jednak zmuszony to uczynić. Bo wiecie, zima ta była dla mnie bardzo ciężka, i nie miałem zaco kupić kęsa chleba. Więc naprzód sprzedałem srebrne guziki od mej odświętnej kapoty, następnie srebrny łańcuszek, później dużą fajkę, a wreszcie zmuszony byłem sprzedać taczkę. Ale teraz wszystko to odkupię napowrót.

— Janku — rzekł młynarz — ja ci odstąpię moją taczkę. Wprawdzie w niezbyt dobrym znajduje się stanie, jedna strona całkiem odpadła i kółka także połamane, ale mimo to robię ci z niej podarek. Wiem, że to z mej strony bardzo wspaniałomyślnie, i niejednen będzie mnie z tego powodu uważał za głupca, ale ja nie jestem, jak inni ludzie. Mojem zdaniem, wspaniałomyślność jest istotą przyjaźni, zresztą dla siebie kupiłem już nową taczkę. Tak, możesz być co do tego całkiem spokojny — dostaniesz moją taczkę.

— Tak, istotnie, to bardzo wspaniałomyślnie z waszej strony! — wykrzyknął Janek, a jego krągła, pogodna twarz zapłonęła radością. — Ja z łatwością naprawię tę taczkę, bo właśnie mam w domu nową deskę.

— Nową deskę! — krzyknął młynarz, — właśnie tego mi potrzeba do naprawy dachu na stole. Ogromna się w nim zrobiła dziura, i zboże całkiem mi zamoknie, jeśli jej nie naprawię. Jak to dobrze, że mi o tem przypomniałeś! Dziwne zaiste, jak jeden dobry czyn natychmiast wywołuje drugi. Ja ci dałem taczkę, a ty zaraz obdarzasz mnie deską. Wprawdzie taczka znacznie większą ma wartość, niż deska, lecz prawdziwa przyjaźń nie zważa na takie drobnostki. Proszę cię, daj mi zaraz tę deskę, a jeszcze dziś zabiorę się do roboty.

— Zgoda! — wykrzyknął Janek, natychmiast wybiegając po deskę.

— Niezbyt wielka ta twoja deska — rzekł młynarz, obejrzawszy ją — i zdaje mi się, że po naprawieniu dziury w moim dachu nic chyba nie zostanie do naprawy taczki, ale przyznasz, że to już nie moja wina. A teraz, skoro ja ci przyrzekłem taczkę, sądzę, że w zamian ty mi dasz trochę kwiatów. Oto kosz, i sądzę, że mi go napełnisz.

— Mam go napełnić? — spytał Janek mocno zakłopotany. Kosz bowiem był bardzo duży, i biedny chłopak wiedział, że jeśli go napełni, nie będzie już

miał żadnych kwiatów do sprzedania, a tak bardzo pragnął odzyskać swe srebrne guziki.

— Oczywiście! — odparł młynarz. — Przyznasz przecie, że za taczkę mogę chyba żądać od ciebie trochę kwiatów. Może się mylę, ale mojem zdaniem, przyjaźń, prawdziwa przyjaźń, winna być wolna od wszelkiego egoizmu.

— Mój drogi przyjacielu! — wybuchnął Janek. — Z chęcią oddaję wam wszystkie kwiaty z mego ogrodu. Więcej mi zależy na waszem dobrem mnie-
maniu, niż na odzyskaniu kiedykolwiek tych guzików. I co prędzej pomknął w głąb ogrodu, zerwał wszystkie pierwiosnki i napełnił nimi kosz młynarza.

— Do widzenia, Janku! — żegnał go młynarz, odchodząc w stronę wzgórza, z deską na ramieniu i dużym koszem kwiatów w ręku.

— Do widzenia! — odparł Janek, żwawo zabierając się znów do roboty, tak był uradowany taczką.

Nazajutrz zajęty był przywiązywaniem opadających pędów bluszczu nad bramą, gdy usłyszał głos młynarza, który go wołał po imieniu. Zbiegł więc szybko z drabiny i przez parkan wyrzwał na ulicę.

Istotnie zobaczył młynarza, dźwigającego na plecach ogromny wór mąki.

— Mój drogi Janku — rzekł młynarz — czy nie chciałbyś odnieść mi do miasta tego wora mąki?

— Och, bardzo mi przykro — począł Janek — ale doprawdy jestem dziś ogromnie zajęty w ogrodzie. Postanowiłem przywiązać wszystkie pnące i podlać kwiaty i skosić trawę.

— Tak — odparł młynarz — ale wobec tego, że ja ci dałem taczkę, nieuprzejmie to z twojej strony odmawiać mi drobnej przysługi.

— Ach, nie mówcie tak! — zawołał Janek. — Ja dla wszystkich pragnąłbym być uprzejmym. — I chwyciwszy czapkę, wziął na ramiona ciężki wór i powlókł się z nim w stronę miasta.

Dzień był bardzo skwarny, a droga tak pełna kurzu, że zanim Janek przebył sześć mil, uczuł się strasznie znużonym, i musiał usiąść i wypoczywać. Przewyciężył się jednak i ostatecznie dodał do miasta. Sprzedawszy mąkę po bardzo dobrej cenie, spieszenie wracał do domu, gdyż obawiał się, że w nocy mogliby go napaść rabusie.

— Ciężki miałem dzień — mówił do siebie Janek, udając się na spoczynek. — Jestem jednak zadowolony, że nie odmówiłem młynarzowi, który jest przecież najlepszym moim przyjacielem, a oprócz tego darował mi jeszcze taczkę.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, młynarz przybiegł, by odebrać pieniądze za wór mąki, ale Janek był tak zmęczony, że leżał jeszcze w łóżku.

— Dalibóg! — zawołał młynarz — widzę, że jesteś bardzo leniwy. Mając zamiar obdarzyć cię taczką, sądziłem istotnie, że energiczniej umiesz

pracować. Lenistwo jest wielkim grzechem, i nie ścierpiałbym, aby którykolwiek z mych przyjaciół był opieszały lub niedbały. Nie powinno cię dziwić, że mówię z tobą tak otwarcie. Nie przyszłoby mi do głowy postępować w ten sposób, gdybym nie był twym przyjacielem. Ale jakaż byłaby korzyść z przyjaźni, gdyby nie można było mówić otwarcie, co się myśli? Każdy może prawić komplementa i schlebiać i starać się o względy, ale prawdziwy przyjaciel zawsze mówi nieprzyjemne prawdy i nie waha się sprawić przykrości. I jeśli jest prawdziwie szczerym przyjacielem, to często nawet tak postępuje, wiedząc, że postępuje dobrze.

— Bardzo mi przykro — usprawiedliwiał się Janek, przecierając oczy i zrywając z głowy nocną czapkę — ale byłem ogromnie znużony, więc postanowiłem poleżeć dziś trochę dłużej w łóżku i słuchać śpiewu ptaków. Czy wiecie, że ilekroć słucham śpiewu ptaków, lepiej następnie pracuję?

— Bardzo mnie to cieszy — szybko odparł młynarz, klepiąc Janka po ramieniu — bo właśnie chcę cię zabrać z sobą, skoro tylko się ubierzesz, abyś mi naprawił dziurę w dachu.

Biednemu Jankowi bardzo było spieszno do roboty w ogrodzie, gdyż kwiaty już od dwóch dni nie były podlane; nie śmiał jednak odmówić młynarzowi — tak dobremu swemu przyjacielowi.

— A czy uważalibyście za nieuprzejmość, gdy-

bym odpowiedział, że jestem dziś ogromnie zajęty? — badał cicho i nieśmiało.

— Oczywiście — odparł młynarz. — Sądzę, że niewiele chyba żądam od ciebie, wobec tego, że zamierzam ci odstąpić taczkę, ale skoro odmawiasz, to zaraz stąd odejdę i sam naprawię dziurę w dachu.

— Ach! przenigdy! — krzyknął Janek i wyskoczywszy z łóżka, spieszenie się ubrał i poszedł ku stodole młynarza.

Pracował cały dzień aż do zachodu słońca, a wtedy przyszedł doń młynarz, by zobaczyć, jak mu idzie robota.

— I cóż, Janku, czy dach już naprawiony? — spytał przyjaźnie.

— Tak, właśnie skończyłem — odparł Janek, schodząc na dół po drabinie.

— Ach! — rzekł młynarz — żadna praca nie daje tyle zadowolenia, jak ta, którą spełniamy dla innych.

— Prawdziwa rozkosz, słuchać jak ładnie mówicie — odparł Janek, siadając i ocierając pot, co mu strugami spływał z czoła — ogromna rozkosz. Ale obawiam się, że ja nigdy nie będę miał tak pięknych myśli.

— Ach! nabędziesz je z czasem — uspakajał młynarz. — Tylko oczywiście, musisz sobie zadawać więcej trudu niż dotychczas. Teraz uczysz się dopiero praktycznej strony przyjaźni, kiedyś przyswoisz sobie także teorię.

— Czy naprawdę sądzicie, że ją sobie kiedyś przyswoję? — pytał Janek.

— Bezwątpienia! — potwierdził młynarz. — Ale teraz, skoro już dach naprawiony, najlepiej będzie, gdy pójdziesz do domu i wypoczniesz. Jutro bowiem, wczesnym rankiem musisz mi wygnać owce na pastwisko.

Janek nie miał odwagi dać jakkolwiek odpowiedź, a nazajutrz wczesnym rankiem młynarz stał już przed jego chałupą z dużym stadem owiec, z którym Janek niebawem ruszył w góry. Strawił cały dzień na wypędzaniu owiec na paszę i zapędzaniu ich napowrót do obory, a gdy wieczorem wrócił do swej izdebki, był tak znużony, że zasnął na krześle i zbudził się dopiero nad ranem.

— Śliczną będę dziś miał pogodę — rzekł do siebie, szybko zabierając się do roboty w ogrodzie.

Wszelako nigdy już nie miał czasu zająć się naprawdę kwiatami, gdyż młynarz co dnia wysyłał go za swemi sprawami do miasta, lub posługiwał się nim przy młynie. Biedny Janek był chwilami bardzo strapiiony i obawiał się, czy jego kochane kwiaty nie pomyślą, że o nich zapomniął; pocieszał się tylko tem, że młynarz jest jednak najlepszym jego przyjacielem. — Zresztą — powtarzał sobie — daje mi taczkę, a to już dowodzi czystej wspaniałomyślności.

Tak więc Janek dalej pracował dla młynarza, a młynarz mówił rozmaite piękne rzeczy o przy-

jażni, które Janek notował w notatniku i odczytywał wieczorem, będąc bardzo obowiązkowym uczniem.

Pewnego wieczora zdarzyło się, że Janek siedział właśnie przed kominkiem, na którym płonęły drzazgi, gdy za drzwiami rozległo się głośnie pukanie. Noc była bardzo burzliwa, a wiatr tak świszczął i wył straszliwie, że w pierwszej chwili Janek pomyślał, iż wiatr tak trzaska drzwiami. Niebawem jednak pukanie ozwało się po raz drugi i trzeci, silniejsze niż poprzednio.

— Zapewne jakiś biedny podróżny — pomyślał Janek, biegnąc ku drzwiom.

Otworzywszy je, ujrzał młynarza z latarnią w jednej, a dużą laską w drugiej ręce.

— Mój drogi Janku — zawołał młynarz — jestem w wielkim kłopotcie. Mój najmłodszy syn spadł z drabiny i potłukł się tak mocno, że muszę wezwać lekarza. Ale on mieszka daleko, przytem noc tak okropna, i właśnie mi przyszło do głowy, że lepiej będzie, jeśli ty pójdziesz zamiast mnie. Wiesz przecie, że ci oddam taczkę, więc słusznem jest, byś się w jakikolwiek sposób odwzajemnił.

— Naturalnie! — żywo potwierdził Janek. — Uważam to za zaszczyt dla siebie, że do mnie się zwracacie, i natychmiast ruszam w drogę. Tylko musicie mi pożyczyć swej latarni, bo noc jest tak ciemna, że mógłbym wpaść do fosy.

— Bardzo mi przykro — odparł młynarz — ale

to jest nowa latarnia, i wielka byłaby szkoda, gdyby się zepsuła.

— W takim razie obejdę się bez niej — rzekł Janek, i włożywszy duży kozuch i ciepłą czapkę szkarłatną, obwiązał szyję ciepłym szalem i ruszył w drogę.

Jakże szalała burza! Noc była ciemna, że Janek zaledwie mógł rozeznaczyć drogę, a wiatr dął tak silny, że trudno było utrzymać się na nogach. Janek jednak dzielnie maszerował naprzód, a po trzechgodzinnem borykaniu się z wiatrem i burzą, stanął u drzwi doktora i zapukał.

— Kto tam? — zawołał doktor, wysuwając głowę przez okno.

— Janek, panie doktorze.

— Czegoż ty potrzebujesz, Janku?

— Synek młynarza spadł z drabiny i mocno się potłukł, więc młynarz prosi, by pan doktor zaraz do niego przybył.

— Dobrze! — odparł doktor, polecając osiodłać konia i podać sobie grube obuwie. Po chwili z latarnią w ręku zszedł ze schodów i pojechał w kierunku młyna, Janek zaś biegł za nim pieszo, wśród ciemności.

Burza jednak wzmagala się z każdą chwilą, a deszcz lał strumieniami, że biedny Janek nie widział już dokąd iść i nie mógł zdążyć za koniem. Wreszcie zupełnie stracił drogę i zabłąkał się wśród trzęsawiska, gdzie też biedak utonął. Zwłoki jego

zostały nazajutrz znalezione przez kilku pastuchów, którzy, zobaczywszy jakąś masę, pływającą po czarnej kałuży, podeszli bliżej i, poznawszy biednego Janka, martwe jego ciało zanieśli do chałupki w ogrodzie.

Janek był ogólnie lubiany, to też tłumy ludzi odprowadziły go na cmentarz, a na czele orszaku żałobnego kroczył młynarz.

— Byłem najlepszym jego przyjacielem — mówił młynarz — słuszną więc, bym miał najprzedniejsze miejsce w pochodzie. Szedł więc na czele w długim, czarnym płaszczu, od czasu do czasu wycierając sobie oczy dużą jaskrawą chustką.

— Szkoda bardzo tego biednego Janka — mówił kowal wiejski, gdy po pogrzebie cała gromada wygodnie rozsiadła się w karczmie, gorącym winem zapijając słodkie pierniki.

— Dla mnie jest to istotnie szkoda poważna — odparł młynarz. — Miałem bowiem odstąpić mu starą taczkę, a teraz nie wiem doprawdy, co z nią począć. W domu mi tylko zawadza, a tak jest zepsuta, że nikomu nie mógłbym jej odsprzedać. W przyszłości nigdy już nie będę nikomu czynił podarków. Człowiek tylko cierpi z powodu swej wspaniałomyślności.

— Co dalej? — spytał szczur wodny po dłuższej pauzie.

— Nic. To już koniec — odparła makolągwa.

— Ale co się stało z młynarzem? — spytał szczur.

— Ach! tego doprawdy nie wiem — odparła makolągwa — i wcale mnie to nawet nie obchodzi.

— Widzę z tego, że wzajem jakoś nie macie dla siebie sympatji — zauważył szczur.

— Zdaje mi się, że wcale nie pochwyciłeś morału tej historii — odcięła się makolągwa.

— Czego? — zapiszczał szczur.

— Morału.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że w historii tej tkwi jakiś morał?

— Naturalnie — potwierdziła makolągwa.

— W takim razie — wybuchnął szczur tonem bardzo rozdrażnionym — w takim razie powinnaś mnie była o tem uprzedzić, zanim zaczęłaś opowiadać. Gdybyś to była zrobiła, nie byłbym się wcale przysłuchiwał, lecz z góry byłbym ci powiedział: phi! taksamo jak ów łysy krytyk w błękitnych okularach. Na szczęście mogę to jeszcze powiedzieć teraz. I szczur najcieńszym swym głosem pisnął: phi! zakręcił ogonem i napowrót uciekł do swej dziury.

— Jakże ci się podobał szczur wodny? — zagadnęła kaczka, w parę minut później nadpływając ku brzegowi. — Niewątpliwie posiada on pewne zalety, ale co do mnie, to mam tak silne instynkta macierzyńskie, że nie mogę się powstrzymać od łez na widok zatwardziałego starego kawalera.

— Boję się, że go znudziłam — odparła mako-
lągwa. — Bo fakt jest, że opowiedziałam mu hi-
storję z morałem.

— Ach! To eksperyment zawsze wielce nie-
bezpieczny — rzekła kaczka.

A ja się z nią zgadzam.

NADZWYCZAJNA RAKIETA

Królewicz się miał żenić, i w całym kraju panowała z tego powodu wielka radość. Cały rok czekał na swą narzeczoną, która nareszcie przybyła. Była to szwedzka księżniczka, co daleką drogę odbyła w saniach, ciągnionych przez sześć reniferów. Sanie te miały kształt ogromnego złotego łabędzia, a pomiędzy skrzydłami łabędzia spoczywała mała księżniczka. Długi płaszcz podbity gronostajami spływał aż do jej stóp, głowę osłaniała czapeczka z delikatnej srebrnej tkaniny, a z pod niej wyglądała twarzyczka tak biała jak Śnieżny Pałac, w którym dotychczas żyła. Była tak biała że gdy przejeżdżała ulicami, ludzie spoglądali za nią w zdumieniu. — Wygląda jak biała róża! — wołali, rzucając jej kwiaty pod stopy.

U bram pałacu czekał na nią książę. Miał marzycielskie fiołkowe oczy, a włosy jak roztopione złoto. Na widok księżniczki przyklęknął i ucałował jej rękę.

— Portret twój był cudny, ale ty piękniejsza jesteś od portretu — szepnął — a mała księżniczka się zapłoniła.

— Była przedtem jak biała róża, a teraz wygląda jak ponsowa róża — zauważył paź do swego towarzysza, a cały dwór zachwycony był tą uwagą.

W ciągu następnych trzech dni na ustach wszystkich krążyło: »biała róża, ponsowa róża, biała róża, ponsowa róża,« a król wydał rozkaz by podwojono pensję pazia. Wprawdzie nie pobierając żadnej pensji, nie miał też wielkiej korzyści z jej podwojenia, jednakowoż wielki to był zaszczyt zwłaszcza, że polecenie królewskie ogłoszono w gazetce dworskiej.

Po trzech dniach odbył się ślub młodej pary. Była to chwila bardzo uroczysta, gdy oboje trzymając się za ręce, stanęli pod baldachimem z purpury, haftowanym perełkami. Następnie urządzono ucztę dworską, która trwała pięć godzin. Książę i księżniczka zasiedli na miejscach honorowych w olbrzymiej, odświeżnie dekorowanej komnacie, i razem pili z kielicha kryształowego. Tylko prawdziwi kochankowie mogli pić z tego kielicha, bo ilekroć dotknęły go usta fałszywe, kryształ zaciemniał się i tracił blask przezroczysty.

— Rzecz jasna, że się kochają! Jasna jak kryształ! — wykrzyknął młody paź, a król po raz drugi podwoił jego pensję.

— Co za zaszczyt! — szeptali zewsząd dworzanie.

Po uczcie odbył się bal. Młoda para miała odtańczyć taniec na różach, a król przyrzekł zagrać

na flecie. Grał wprawdzie bardzo źle, ale nikt nie śmiał mu tego powiedzieć, ponieważ był królem. Istotnie, znał on tylko dwie arje i nigdy nie wiedział, którą z nich gra właściwie, bo cokolwiek grał wszyscy jednogłośnie się zachwycali: Czarujące! czarujące!

Ostatnim punktem programowym miały być wspaniałe ognie sztuczne, naznaczone punktualnie na porę północną. Księżniczka nigdy jeszcze nie widziała ognia sztucznych, dlatego król wydał rozkaz, by pirotechnik nadworny poczynił odpowiednie przygotowania na dzień ślubu.

— Jak wyglądają ognie sztuczne? pytała księżniczka swego narzeczonego, przechadzając się z nim ranną porą po tarasie.

— Jak zorza północna — objaśnił król, który zawsze miał zwyczaj odpowiadać na pytania, zadawane innym. — Tylko że wyglądają znacznie naturalniej — dodał. — Ja je nawet wolę od gwiazd ponieważ zawsze wiem, kiedy się ukazą, a są tak cudne jak moja gra na flecie. Musisz je zobaczyć.

I istotnie na końcu ogrodu królewskiego urządzono duże podjum, a gdy pirotechnik nadworny wszystko ustawił i przysposobił, ognie sztuczne wszczęły między sobą rozmowę:

— Świat jest zaiste bardzo piękny! — wykrzyknęła mała rakietka. — Spójrzcie tylko na te żółte tulipany! Gdyby były prawdziwymi fajerwerkami, nie mogłyby cudniej wyglądać! Bardzo jestem za-

dowolona, że odbyłam tę podróż. Ogromnie to kształci umysł i wyzwala z rozmaitych przesądów.

— Ogród królewski nie jest jeszcze światem, głupia raco, — ozwała się ogromna Świeca Rzymska. — Świat — to ogromny plac, i potrzebowałabyś całych trzech dni do oglądania go w całości.

— Każdy zakątek, który kochasz, jest dla ciebie światem — wyrzekło melancholijnie Koło Katarzyny, które w młodości swej przywiązane było do osi z drzewa brzozowego i dotąd szczyciło się swem złamanem sercem. — Tylko niestety miłość wyszła już z mody, odkąd ją uśmiercili poeci. Tyle o niej pisali, że nikt im nie dawał wiary, co doskonale rozumiem. Miłość prawdziwa cierpi i milczy. Pamiętam, jak kiedyś ja samo... Ale nie o tem teraz mowa. Miłość należy do przeszłości.

— Głupstwo! — krzyknęła Świeca Rzymska — miłość nie ginie nigdy. Jest jako księżyc, co żyje wiecznie. Pan młody i panna młoda naprzykład kochają się tak serdecznie. Dowiedziałam się o tem od świstka bibuły, który przypadkowo leżał w jednej szufladzie ze mną i znał wszystkie najnowsze wiadomości dworskie.

Koło Katarzyny potrząsnęło głową. Miłość umarła, miłość umarła, miłość umarła — mamrotało. — Należało do tych, co sądzą, że powtarzając często tę samą rzecz, czynią ją temsamem prawdziwą.

Nagle ozwał się tuż za nimi ostry, suchy kaszel, wszyscy się odwrócili.

Kaszel pochodził od ogromnej, zuchwale spoglądającej Rakiety, przywiązanej do długiego kija. Przed każdorazowem ozwaniem się zwykła była kaszeleć, dla zwrócenia na siebie uwagi.

— Hm! hm! — odchrząknęła, a wszyscy na stawili uszu, z wyjątkiem biednego Koła Katarzyny które ciągle jeszcze potrząsało głową mrucząc: Miłość umarła...

— Wzywa się do porządku! — krzyknął nagle Wąż Ognisty, który odgrywając zazwyczaj czynną rolę przy wyborach miejscowych, przyswoił sobie był kilka wyrażen parlamentarnych.

— Umarła — szeptało Koło Katarzyny, zasypiając.

Gdy wszystko umilkło, rakietka zakaszłała po raz trzeci i poczęła mówić. Mówiła bardzo powoli akcentując każde słowo, jakgdyby dyktowała komuś swe pamiętniki, i zawsze patrząc przez ramię osoby, z którą mówiła. Miała rzeczywiście maniery bardzo wytworne.

— Cóż to za szczęście dla królewicza, że ma wziąć ślub tego samego dnia, kiedy ja się ukazę. Doprawdy, gdyby ktoś naumyślnie tak był pokierował, nie mógłby być lepiej urządzić — zauważyła. — Ale wiadomo, że księżęta zawsze mają szczęście.

— Dalibóg! — ozwała się mała raca — a ja sądziłam że to właśnie dla uczczenia księcia nas tu przewieziono.

— Być może, że masz słuszość co do siebie —

odparła Rakietą, — nie wątpię nawet, że tak jest istotnie, że mną jednak zupełnie inna sprawa. Ja jestem niezwykłą rakieta i pochodzę też od niezwykłych rodziców. Matką moją było owe świetne Koło Katarzyny, sławne ze swego zręcznego lotu. Ilekroć ukazywało się publicznie, zataczało zawsze dziewiętnaście kręgów, zanim zgasło, a za każdym kręgiem wyrzucało w powietrze siedm płomiennych gwiazd. Miało ono średnicę na trzy i pół stopy i zrobione było z najlepszego prochu. Ojciec był rakieta, tak samo jak ja pochodzenia francuskiego. Wylatywał w powietrze tak wysoko, że ludzie obawiali się, czy wogóle powróci. Powracał jednak, będąc usposobienia spokojnego, a temu jego zlotowi na ziemię towarzyszył błyszczący deszcz złocisty. Dzienniki wyrażały się o jego występach najpochlebniej. Istotnie, gazeta dworska nazywała go wprost arcydziełem pilotechniki.

— Pirotechniki chciałaś zapewne powiedzieć — zawołał Ognik Bengalski. — Wiem, że się mówi pirotechnika, bo przeczytałem na własnym grzbiecie.

— Otóż ja chcę mówić pilotechnika — odparła Rakietą tonem tak stanowczym, że Ognik Bengalski uczuł się całkiem zgnębiony i natychmiast począł strzelać iskrami, chcąc młodszej swej braci okazać, że jest mimo wszystko znakomitą osobistością.

— Mówiłam — zaczęła znów Rakietą — mówiłam... Co ja to mówiłam?

— Mówiłaś o sobie samej — przypomniła Świeca Rzymska.

— Naturalnie! Pamiętałam, że mówiłam o czemś bardzo zajmującym, gdy mi tak brutalnie przerwano. Nienawidzę brutalności i złych manier, gdyż jestem nadzwyczajnie wrażliwa. Niema w świecie osoby równie wrażliwej — jestem pewna.

— Co to znaczy osoba wrażliwa? — zagadnął Ognik Bengalski.

— Osoba wrażliwa jest taka, która każdemu nadeptuje na palce, ponieważ sama ma nagniotki — szepnęła Świeca Rzymska, a Ognik Bengalski omal nie pękł ze śmiechu, usłyszawszy takie objaśnienie.

— Proszę, a z czegoż się tak śmiesz? — spytała Rakietka. — Ja bo nie śmieję się nigdy.

— Śmieję się, bo jestem szczęśliwy — odparł Ognik.

— To dopiero egoista! — mruknęła Rakietka obrażona. — Jakie masz prawo do szczęścia? Powinieneś myśleć o drugich. Istotnie, powinienbyś myśleć o mnie. Ja zawsze myślę o sobie i sędzę, że wszyscy na świecie powinni myśleć o mnie. To się nazywa sympatją. Jest ona piękną cnotą, a ja ją posiadam w wysokim stopniu. Pomyśl na przykład, gdyby mnie tej nocy spotkała jakaś przygoda, czyżby to nie było nieszczęściem dla całego świata? Książę i księżniczka nigdyby już nie odzyskali szczęścia w małżeństwie, a co do króla, to pewna jestem,

żeby tego nie przeżył. Doprawdy, że, myśląc o ważności swego stanowiska, czuję się wzruszoną do łez.

— Jeśli masz sprawiać radość innym — zauważyła Świeca Rzymska — to powinnabyś raczej unikać wilgoci.

— Bez wątpienia! — zawołał Ognik Bengalski, który znów odzyskał humor pierwotny — to przecież nakazuje zwykły rozsądek.

— Zwykły rozsądek! — pogardliwie rzekła Rakietka — zapominasz tylko, że ja jestem pod każdym względem niezwykła i nadzwyczajna. Każdy może się zdobyć na zwykły rozsądek, do którego nie potrzeba wcale fantazji. Ja natomiast mam fantazję, gdyż nigdy nie wyobrażam sobie rzeczy, jakimi są istotnie, lecz zawsze wręcz przeciwnie. A co do rady, bym unikała wilgoci, to widocznie nie ma tu nikogo, co by był zdolnym do zrozumienia natury uczuciowej. Na szczęście jednak, nic sobie z tego nie robię. Jedyne, co jeszcze człowieka podtrzymuje w życiu, to poczucie ogromnej niższości innych, a uczucie to ja żywiłam zawsze. Ale nikt z was nie ma serca. Śmiejecie się i radujecie, jak gdybyście nie wiedzieli, że właśnie teraz księżę bierze ślub z księżniczką.

— Więc cóż? — zawołała mała Kulka Płomienna. — Wszak to właśnie bardzo stosowna chwila do weselenia się, a gdy wylecę w powietrze, opowiem gwiazdom tę wieść radosną. Zobaczycie jak

będą mrugać, słuchając mego opowiadania o pięknej narzeczonej.

— Ach, cóż to za trywialny pogląd na życie! — oburzyła się Rakieta — ale nie spodziewałam się też innego. Płytki jesteś i głupia. Czyż nie przyszło ci na myśl, że książę i księżniczka mogą zamieszkać w pięknym zamku nad głęboką rzeką, i mogą mieć jedynego synka, jasnowłosego, o fioletowych oczach jak książę, i pewnego dnia chłopczyk może wyjść z piastunką na przechadzkę, i piastunka może zasnąć pod rozłożystym wiązem, a chłopczyk wpadnie do głębokiej rzeki i utonie. Co za straszne nieszczęście! Biedni rodzice! Stracić swego jedynaka! To przecież okropne! Nigdy się chyba nie uspokoją!

— Ale wszak nie stracili swego jedynaka! krzyknęła Świeca Rzymska — i żadne im się jeszcze nie zdarzyło nieszczęście.

— Nigdy nie twierdziłam, że im się zdarzyło — odparła Rakieta. — Mówiłam tylko, że mogłoby się im zdarzyć. Gdyby byli utracili swego jedynaka, nie wartałoby już tracić z tego powodu bodaj jednego słowa. Nienawidzę ludzi, biadających nad stłuczonym garnkiem. Ale na myśl, że mogliby utracić swego jedynaka, czuję się istotnie niezmiernie wzruszoną.

— Bo też nią jesteś! — krzyknął Ognik Bengalski. — Doprawdy, że w życiu nie spotkałem istoty równie czulej.

— Jesteś największym brutalem, jakiego kiedykolwiek spotkałam — rzekła Rakietka — i nie możesz oczywiście rozumieć mej przyjaźni dla księcia.

— Jaki! Wszak go nawet nie znasz! — mruknęła Świeca Rzymska.

— Nigdy nie twierdziłam, że go znam — odparła Rakietka. — Przeciwnie, śmiem nawet twierdzić, że gdybym go znała, nie mogłabym już być jego przyjaciółką. Bardzo to niebezpiecznie znać swych przyjaciół.

— Lepiej zrobiłabyś unikając wilgoci — przestrzegła Kulka Płomienna. — To teraz najważniejsze.

— Najważniejsze dla ciebie, bezwątpienia — pogardliwie odparła Rakietka — ja jednak mogę płakać, jeśli mam do tego ochotę. I rzeczywiście zalała się strumieniem łez, które spłynęły wzdłuż jej drążka, zatapiając dwa chrząszczyki, co, siedząc obok siebie, rozglądały się właśnie za suchym kątem, gdzieby mogły założyć sobie siedzibę.

— Jakaś prawdziwie romantyczna natura — rzekło Koło Katarzyny — zawsze wylewa łzy, gdzie niema do tego powodu. I westchnąwszy głęboko, pogрузyło się we wspomnieniach o osi brzozywej.

Natomiast Świeca Rzymska i Ognik Bengalski nie mogły już dłużej hamować swego oburzenia i raz po raz powtarzały: Humbug! humbug! Były nadzwyczajnie praktyczne, i, ilekroć się czemuś sprzeciwiały, nazywały to humbugiem.

Niebawem ukazał się księżyc, niby cudna tarcza srebrzysta; i gwiazdy zaczęły migotać, a w pałacu zabrzmiała muzyka.

Księżę z księżniczką tańczyli w pierwszej parze. Tańczyli tak ślicznie, że białe lilje zaglądały przez okno, pełne zachwyty, a duże czerwone maki pochylały się w takt melodji tanecznej.

Wybiła godzina dziesiąta, później jedenasta, wreszcie dwunasta, a za ostatniem uderzeniem zegara, obwieszczającego północ, wszyscy goście weselni wyszli na taras, a król posłał po nadwornego pirotechnika.

— Zapalić ognie bengalskie! — rzekł król, a pirotechnik nadworny głęboko pochylił głowę i ruszył w głąb ogrodu. Miał na swe rozkazy sześciu pomocników, a każdy z nich niósł na drążku zapaloną pochodnię.

Był to istotnie widok olśniewający.

Bzz! bzz! uleciało Koło Katarzyny, zataczając niezliczone kręgi świetlne. Bum! bum! strzeliła w górę Świeca Rzymska. I niezliczone mnóstwo małych rakiet zawirowało w powietrzu, a ogniki bengalskie szkarłatem oblały całe otoczenie. Do widzenia! krzyknęła Kulka Płomienna, wzlatując wysoko i pryskając dokoła błękitnemi iskrami. Przyjemnej podróży! odpowiedziały małe race, niezmieśnie rozbawione. Jednem słowem sukces był nadzwyczajny, z wyjątkiem Nadzwyczajnej Rakiety. Taka była wilgotna od płaczu, że nie mogła

wystrzelić. Najlepszym jej przymiotem był proch, lecz, mokry od łez, stracił całą swą wartość. Wszystkie jej biedne krewnie, z którymi nie chciała wcale mówić, wystrzeliły w powietrze, niby cudne złote kwiaty o płomiennych sercach. Brawo! brawo! zachwycił się cały dwór królewski, a księżniczka w głos się śmiała, oczarowana cudnym widokiem.

— Zapewne mnie rezerwują na jakąś uroczystą chwilę — rzekła do siebie Rakietka, jeszcze dumniejszem wodząc dokoła spojrzeniem.

Nazajutrz przyszli robotnicy, by uprzątnąć plac. — Zapewne deputacja — pomyślała Rakietka. — Przyjmę ich z odpowiednią godnością! Zadarła więc nos do góry i zmarszczyła brwi, jak gdyby rozmyślała nad bardzo ważnem zagadnieniem. Ale robotnicy wcale na nią nie zwracali uwagi. Dopiero na odchodnem, dostrzegłszy ją, zawołali: Jakaś kiepska rakietka! I przez parkan wrzucili ją do rowu.

— Kiepska rakietka! Kiepska rakietka! powtarzała, wirując ponad rowem. — Niepodobna! Chcieli zapewne powiedzieć: świetna rakietka! Świetna i kiepska, to brzmi dość podobnie i często ma to samo znaczenie. Z temi słowy wpadła do kałuży.

— Niezbyt tu wygodnie — zauważyła — ale bezwątpienia musi to być jedna z modnych miejscowości kąpielowych, dokąd mnie wysłano dla odzyskania zdrowia. Moje nerwy są istotnie bardzo rozstrojone i potrzebują spokoju.

W tejże chwili mała żabka o dużych, błyszczących oczach i w zielonym, nakrapianym płaszczu, podpłynęła ku zadumanej Rakiecie.

— Nowy gość, jak widzę! rzekła żabka. — Niechaj mówią, co chcą, a jednak nic lepszego nad kałużę! Dajcie mi kałużę i deszcz, a nic mi nie braknie do szczęścia. Czy nie sądzisz, że powinienby deszcz spaść popołudniu? Spodziewam się i pragnę tego, ale niebo jest na nieszczęście całkiem błękitne i czyste. Jakaż szkoda!

— Hm! hm! odkasznęła Rakietka, przygotowując się do przemowy.

— Jakież masz cudny głos! wykrzyknęła żaba. — Zupełnie podobny do rechotania, a wiadomo przecież, że rechotanie jest najcudniejszą muzyką na świecie. Usłyszysz wieczorem chór naszego klubu. Siedzimy w starym stawie kaczym koło domku właściciela i z ukazaniem się księżycy rozpoczynamy koncert. Jest tak porywający, że wszyscy się budzą ze snu i słuchają. Wczoraj dopiero słyszałam, jak żona właściciela mówiła do swej matki, że przez całą noc nie zmrużyła oka dzięki naszej muzyce. Jednak to wielka satysfakcja być tak popularnym.

— Hm! hm! odkasznęła Rakietka, mocno wzburzona. Irytowało ją, że nie mogła wtrącić choćby jednego słowa.

— Cudny głos, istotnie! znów poczęła żaba. — Spodziewam się, że przyjdiesz wieczorem nad

staw kaczy. Ja już muszę odejść do córek. Mam sześć prześlicznych córek i tak się zawsze trwożę, by ich nie napadł szczupak. Potwór to okropny i wcale by się nie wahał połknąć je na śniadanie. Do widzenia zatem: bardzo mi było przyjemnie z tobą porozmawiać.

— Piękna rozmowa! burknęła Rakietka. — Wszak przez cały czas ty tylko mówiłaś. Tego nie nazywam rozmową.

— Trudno! Zawsze potrzeba kogoś do słuchania, a ja już wolę mówić. Zaoszczędza to dużo czasu i argumentów — odparła żaba.

— Ja jednak lubię dysputę — zauważyła Rakietka.

— Czyż podobna? ze zdumieniem podjęła żaba. — Dysputy są zawsze rzeczą plebejuszy, bo wszak w dobrem towarzystwie wszyscy dzielają te same opinie. Żegnam więc raz jeszcze, bo oto widzę opodał moje córki.

Z temi słowy żaba odpłynęła.

— Nieznośna jesteś — rzekła Rakietka — i bardzo źle wychowana w dodatku. Nie znoszę osób, wciąż mówiących o sobie, jak ty na przykład, gdy ja właśnie chciałabym mówić o sobie. Uważam to za egoizm, a egoizm jest wadą najobrzydliwszą, zwłaszcza dla ludzi mego usposobienia, bo wiesz zapewne, że znana jestem z nadzwyczajnej czułości. Mogłabyś sobie istotnie wziąć przykład ze mnie, bo bardzo wątpię, czy znajdziesz gdziekolwiek wzór

tak godny naśladowania. A skoro ci się nadarza tak szczęśliwa sposobność, powinnaś z niej korzystać jak najrychlej, gdyż niezadługo wracam na dwór królewski. Jestem tam ulubienicą, a wczoraj dopiero książę i księżniczka połączyli się węzłem małżeńskim, dla uczczenia mej obecności. Ty oczywiście nie będziesz znała tych stosunków, będących tajemnicą dla prowincjonalnych gąsek.

— Szkoda twych słów — ozwała się wodna szarańcza, siedząca na najwyższym szczycie trzciny nadbrzeżnej — szkoda twych słów, bo żaba dawno już odpłynęła.

— Ona na tem traci, nie ja — wyniosłe odparła Rakietą. — Wcale bo nie mam ochoty przestać mówić, tylko dlatego, że nikt mnie nie słucha. Lubię przysłuchiwać się sobie samej. To jedna z największych mych przyjemności. Nieraz prowadzę z sobą długie rozmowy i bywam często tak wymowną, że nie rozumiem ani jednego słowa z tego, co mówię.

— W takim razie powinnyś właściwie wyklądać filozofję — rzekła szarańcza. I rozpostarłszy cudne skrzydełka z przejrzystej gazy, wzbila się ku niebu.

— Jakże głupio z jej strony, że nie zatrzymała się dłużej! rzekła Rakietą. — Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu nadarzy się jej równie szczęśliwa sposobność pogłębienia umysłu. Zresztą, cóż mnie to obchodzi. Taki genjusz, jak ja, musi pew-

nego dnia doczekać się należytej oceny — zakończyła, coraz głębiej zapadając w kałużę.

Pó pewnym czasie przypłynęła do niej duża biała kaczka. Miała żółte nogi i błonką spojone palce, a uchodziła za wielką piękność z powodu kołyszącego się chodu.

— Kwa! kwa! kwa! zawołała na przywitanie. — Jaką masz dziwną postać! Czy wolno pytać, żali się taką urodziłaś, lub jestże to dziełem przypadku?

— Widać, że całe życie spędziłaś na prowincji — odparła Rakietka — w przeciwnym razie, wiedziałabyś, kim jestem. Wybaczam ci jednak twą ignorancję. Trudno wymagać od drugich, by byli tak znakomici, jak ja. Zdziwisz się zapewne, gdy ci powiem, że umiem ulatywać w niebiosa, skąd wracam wśród topieli złotego deszczu.

— Nie mogę się nad tem zbyt zbytnio zastanawiać — odparła kaczka — gdyż nie widzę w tem wszyskiem żadnego pożytku. Co innego, gdybyś umiała orać jak wół, lub ciągnąć wóz jak koń, albo strzec trzody jak pies pasterski.

— Moja pocziwino — rzekła Rakietka tonem pobłażliwie wyniosłym — widzę już, że należysz do niższej sfery. Osoba z mojej klasy nigdy nie jest użyteczną. My posiadamy pewne talenty, wyższe nad zwykły pożytek. Co do mnie, to wcale nie sympatyzuję z żadną gałęzią przemysłu, a już najmniej z temi, które ty zdajesz się zalecać. Istotnie, zawsze byłam zdania, że ciężka praca jest stwo-

rzona dla ludu, który w innym razie nie wiedziałby, co począć z życiem.

— Zapewne, zapewne — rzekła kaczką, która, będąc zgodnego usposobienia, nigdy się z nikim nie sprzeczała. — Każdy ma przecież inny gust. Sądzę jednak, że zamierzasz tu osiąść.

— Ach! przenigdy! krzyknęła Rakietą. — Bawię tu tylko chwilowo, jako gość — bardzo znakomity gość. Nudna to jednak miejscowość. Ani tu towarzystwa, ani samotności właściwej mieć nie można. Prawdziwie małomiejska atmosfera. Prawdopodobnie wrócę niedługo na dwór królewski, bo wiem, że mam odegrać w świecie wielką rolę.

— I ja nosiłam się niegdyś z myślą poświęcenia się karierze publicznej — zauważyła kaczką. — Tyle rzeczy wymaga rychłej reformy. Brałam nawet raz udział w zgromadzeniu publicznem, i wtedy uchwaliliśmy potępić wszystko, czego nie lubimy. Tylko że nasze rezolucje nie odniosły jakoś skutku. Obecnie przenoszę życie familijne nad sprawy publiczne i żyję dla swej rodziny.

— Ja jestem stworzona do życia publicznego — rzekła Rakietą — a taksamo wszyscy moi krewni, nawet najdalsi. Ilekroć też występujemy publicznie, wywołujemy zachwyt ogólny. Obecnie ja nie biorę udziału, ale gdy się ukażę, sukces będzie wspaniały. Co do życia familijnego, to bardzo szybko utracą się przez nie młodość, a także wyższe aspiracje.

— Ach tak! Wyższe aspiracje! Jakże one są ponętne! zawołała kaczka. — Ale to mi przypomina, że jestem bardzo głodna. I odpłynęła w kierunku stawu, krzycząc: kwa! kwa! kwa!

— Wróćno jeszcze! wróć jeszcze! wrzasnęła za nią Rakieta — mogę ci opowiedzieć mnóstwo zajmujących rzeczy. Kaczka jednak nie zwracała uwagi na jej wołanie.

— Jestem zadowolona, że odeszła — mruknęła Rakieta. — Typowa małomieszczanka — mruknęła po chwili i, zagłębiwszy się jeszcze bardziej w kałuży, poczęła właśnie rozmyślać nad osamotnieniem geniusza, gdy nagle nadbiegło dwóch chłopczyków w białych ubiorkach, niosąc mały kociołek i wiązane czkłę chrustu.

Zapewne deputacja do mnie — rzekła Rakieta, usiłując przybrać minę pełną godności.

— Hallo! zawołał jeden z chłopców — spójrzno na ten stary kij! Nie wiem doprawdy, skąd się tu wziął! I ostrożnie, aby się jak najmniej zabłocić, wyciągnął rakieta z kałuży.

— Stary kij! powtórzyła Rakieta — niepodobna! Chciał zapewne powiedzieć: złoty kij. Złoty kij, to wcale pochlebne dla mnie. Tak, bezwątpienia wziął mnie za jedną z dam dworskich.

— Dorzućmy ten kij do naszego ogniska, to się prędzej woda zagotuje — krzyknął chłopczyk.

Ułożyli więc ognisko z chrustu, na sam wierzch dali Rakieta i podpalili.

— Wspaniale! krzyknęła Rakieta — chcą mnie widocznie puścić w biały dzień, aby mnie wszyscy widzieli.

— Prześpijmy się teraz — rzekł jeden chłopiec do drugiego — zanim się zbudzimy, woda będzie już kipieć.

I położyli się na trawie i przymknęli oczy.

Rakieta była tak wilgotna, że przez długą chwilę nie mogła się zająć. Ostatecznie jednak objął ją płomień.

— Teraz wystrzelę! krzyknęła, prostując się. — Wiem, że wylecę ponad gwiazdy, ponad księżyc, ponad słońce. Zaiste, wylecę tak wysoko, że...

— Frr! frr! frr! i wystrzeliła w górę.

— Rozkosznie! zawołała. — Chciałabym tak lecieć w nieskończoność. Jakąż wywołam sensację!

Ale nikt jej nie widział.

Po chwili opanowało ją uczucie dziwnego niepokoju.

— Teraz nastąpi wybuch — krzyknęła. — Cały świat podpalę i takiego narobię huku, że przez cały rok nie będą mówić o niczem innem, tylko o mnie. I w istocie nastąpiła eksplozja. Puf! puf! puf! trząskał proch.

Nikt jednak nie słyszał, bo nawet dwaj chłopcy spali snem twardym.

I jedyną rzeczą, która została z Rakiety był drążek, a ten upadł na grzbiet gęsi, przechadzającej się właśnie nad kałużą.

— Wielkie nieba! krzyknęła gęś. — Drągi spadają teraz z chmur, zamiast deszczu. I oburzona, sunęła na wodę.

— Wiedziałam, że wywołam ogromną sensację
— ostatnim tchem szepnęła Rakieta, gasnąc.

MŁODY KRÓL.

Było to w ostatnią noc przed koronacją, i młody król siedział sam w swej pięknej komnacie. Wszyscy dworzanie odeszli, pochyliwszy w pierw czoła do ziemi — zgodnie z ceremonjałem owych czasów — i udali się do wielkiej sali pałacowej, by otrzymać ostatnie wskazówki od mistrza ceremonji, niektórzy bowiem zachowywali się jeszcze dość naturalnie, a nie potrzebując chyba mówić, że na dworze coś podobnego wielkie wywołuje zgorszenie.

Chłopiec — bo chłopcem jeszcze był przy swych szesnastu latach — wcale się nie smucił, że odeszli, i z głębokiem westchnieniem ulgi rzucił się na miękkie wezgłowie swego haftowanego łoża, leżał na niem z płonącemi i otwartemi usty niby smagły faun leśny, lub młody zwierz puszczy, schwytany przez myśliwych. I istotnie został on schwytany przez myśliwych. Spotkali go niemal przypadkiem, gdy bosy, z fletem w ręku szedł za trzodą biednego owczarza, który go wychował, i za którego syna uważał się być aż do owej pory. Owoc potajemnego małżeństwa jedynej córki starego króla z człowiekiem niskiego pochodzenia — z cudzoziemcem, jak niektórzy powiadali, który cudownemi

dźwiękami swego fletu zaczarował królowną i zmusił, by go pokochała, gdy inni wymieniali pewnego artystę z Rimini, któremu królowna wyświadczyła wiele, może zbyt wiele zaszczytu, a który nagle zniknął był z miasta, nie wykończywszy powierzonych mu prac w katedrze — chłopiec został, mając zaledwie ośm dni, porwany od łona śpiącej matki i powierzony na wychowanie prostemu chłopu i jego żonie, ludziom bezdzietnym, mieszkającym w odległej części lasu, o dzień podróży od miasta. Zgryzota czy zaraza, jak skonstatował lekarz nadworny, lub, jak twierdzili inni, szybko działająca trucizna włoska, podana w kieliszku wina, już w godzinę po przebudzeniu zabiła białą dziewczynę, co go urodziła. W chwili gdy wierny wysłannik, co na siodle przeniósł dziecię, zsiadał ze zziąjanego konia i pukał do drzwi owczarza, równocześnie na zapomnianym cmentarzu, poza bramami miasta, zwłoki królownej składano do grobu, w którym, jak powiadano, inne już spoczywały zwłoki — zwłoki młodego człowieka, o cudnej a egzotycznej piękności, którego ręce grubemi powrozami skrępowane były na plecach, a pierś wykazywała mnóstwo krwawych ran.

Taka przynajmniej obiegała wieść, którą potajemnie podawano sobie do ucha. To jednak pewna, że król leżąc na łożu śmierci, czy to żałując swego wielkiego grzechu, czy tylko może powodowany pragnieniem, by korona pozostała przy

jego dynastji, kazał sprowadzić chłopca i w obecności Rady uznał go swym spadkobiercą.

I zdaje się, że od pierwszej chwili tego uznania, chłopiec okazywał namiętne ukochanie piękna, co tak wielki wpływ uzyskać miało nad jego życiem. Dygnitarze, którzy go oprowadzali po szeregu komnat, dla niego przeznaczonych, nieraz opowiadali, jaki okrzyk radości wyrwał mu się z piersi, na widok przysposobionych dla niego wspaniałych szat i kosztowności, i z jak dzikiem niemal uniesieniem zrzucił był z siebie ordynarny kabat skórzany i gruby kozuch barankowy. Chwilami, co prawda, uczuwał żal za piękną swobodą życia leśnego i zawsze był rozdrażniony nudnym ceremonjałem dworskim; niemniej jednak przecudny pałac — zwany Joyeuse — którego był panem, wydawał mu się nowym światem, specjalnie ku jego rozkoszy stworzonym. I ilekroć tylko mógł się wymknąć ze zgromadzenia rady, lub z sali audjencyjnej, natychmiast zbiegał dużemi schodami z lśniącego porfiru, na których straży stały lwy ze złoconego bronzu, i gorączkowo przebiegał komnatę po komnacie, korytarz po korytarzu, jak człowiek, szukający w pięknie balsamu na ból — uleczenia choroby.

W tych podróżach naokoło świata — jak je zwykł był nazywać — a istotnie były to dla niego podróże po krainie cudów — często towarzyszyli mu smukli, jasnowłose paziowie dworscy, w po-

wiewających pelerynach i wesoło fruwających wstęgach; częściej jednak pozostawał sam, nawpół przeczuwając czy odgadując, że tajemnice sztuki najłatwiej się przenika w ciszy — i że Piękność, zarówno jak Mądrość kocha samotnego wielbiciela.

Rozmaite krążyły o nim historie z owego czasu. Opowiadano sobie, że pewien poczciwy, przysadkowaty burmistrz, który przybył na dwór w celu wygłoszenia płomiennej mowy imieniem obywateli miasta, widział go w prawdziwej ekstazie klęczącego przed dużym malowidłem, właśnie sprowadzonym z Wenecji, a zdającym się przedstawiać Adorację nowych jakichś bóstw. Innym razem zauważono jego kilkugodzinną nieobecność, a po długim szukaniu odkryto go w małej izdebce na jednej z północnych wieżyczek, jak, podobny do człowieka bezprzytomnego z zachwyty, wpatrywał się w kameję grecką, w której rzeźbiona była postać Adonisa. Widziano go, niosła wieść, jak gorące usta przyciskał do marmurowego czoła starożytnego posągu, odkrytego w łóżysku rzeki przy budowie mostu; na posągu owym wyryte było imię bityńskiego niewolnika, Hadrjana. Raz znowu czuwał przez całą noc, obserwując załamywanie się promieni księżyca na srebrnym posątku Endymiona.

Wszystkie rzadkie, a kosztowne tkaniny miały dlań urok niezmierny, a party żądzą ich posiadania, wysyłał kupców na wszystkie strony świata,

jednych na północ, by u rybaków zamorskich zakupowali bursztyn, innych do Egiptu, za owemi rzadkimi, zielonemi turkusami, co znajdują się tylko w grobach królów, a posiadają podobno moc czarodziejską, innych do Persji, po malowane naczynia z gliny i jedwabne kobierce, a jeszcze innych do Indji, celem zakupienia gazy i cieniowanej kości słoniowej, kamieni księżycowych i branzolet z nefrytów, cyndału, błękitnych emalii i szali z kosztownej wełny.

Ale najwięcej zajmowała go szata, którą miał nosić podczas koronacji — szata z tkanego złota i korona, wysadzana rubinami, i berło, lśniące rzędami pereł. Tak, o tem myślał dzisiejszego wieczora, leżąc na pysznem swem łożu, wpatrzony w płonące na kominku polana jedliny. Przed wielu miesiącami przedłożono mu wzory, narysowane przez najsławniejszego współczesnego artystę, a wówczas wydał rozkaz, by rzemieślnicy dniem i nocą pracowali nad ich wykonaniem, i aby przestrągnięto cały świat za klejnotami, godnemi ich pracy. W myśli widział się już przy wielkim ołtarzu w katedrze, a na chłopięcych jego ustach igrał uśmiech, zapalając błyski w dużych, ciemnych oczach...

Po chwili wstał i, wsparty o rzeźbiony marmur kominka, począł się rozglądać po słabo oświetlonej komnacie. Ściany były okryte drogocennymi gobelinami, przedstawiającemi triumf Piękności. Duża

framuga, wyłożona agatem i lazurem, wypełniała jeden kąt, a naprzeciwko okna stała dziwnego kształtu szafa o systematycznie nakreślonych polach z laku, złotego proszku i złotej mozaiki, na niej zaś rzędami ustawione błyszczały delikatne kubki z weneckiego szkła i filiżanka z ciemno-żółtowanego onyksu. Na kapie, okrywającej jego łożę, były wyhaftowane blade maki, rzucone niedbale, jakoby się wysunęły były ze znużonych dłoni Snu, a wysokie rżnięte sztabki z kości słoniowej podtrzymywały baldachim aksamitny, z którego, niby biała piana, falowały pęki strusich piór, wznośząc się ku matowemu srebru pokratkowanego sufitu. Uśmiechnięty Narcyz z zielonego bronzu trzymał nad głową lśniące zwierciadło. Na stole stała płytka czara z ametystu.

Przez okno mógł widzieć potężną kopułę katedry, niby mydlana bańka zawieszoną ponad mrocznymi domami, a także znużone straże, kroczące tam i napowrót po mglistym tarasie nad rzeką. Daleko w ogrodzie śpiewał słowik. Lekka woń jaśminu wpływała przez otwarte okno. Odsunął z czoła ciemne pukle włosów, ujął lutnię i palcami przesunął po jej strunach. Ciężkie jego powieki zsunęły się na oczy, i ogarnęło go dziwne znużenie. Nigdy tak wyraźnie i z tak intensywną radością nie odczuwał czaru i tajemnicy Piękna.

Gdy z wieży biła północ, zadzwonił. Weszli jego paziowie i wśród wielu ceremonij zdjęli z niego

szaty i wodą różaną skropili mu ręce i kwieciami umaili poduszki. W parę minut po ich odejściu, zasnął.

A kiedy zasnął, miał sen dziwny, a sen ten był taki:

Zdawało mu się, że jest na pokładzie olbrzymiej galery, wiosłowanej przez stu niewolników. Obok niego na kobiercu siedział właściciel galery. Czarny był jak heban i nosił turban z czerwonego jedwabiu. W grubych jego uszach tkwiły zwisające kolce srebrne, a w rękach trzymał dwie mistrne wagi z kości słoniowej.

Niewolnicy całkiem nadzy, tylko skórzanym łańcuchem obwiązani dokoła bioder, skuci byli po dwóch jednym łańcuchem. Żar słoneczny palił ich odkryte czaszki, a murzyni biegając tam i napowrót, smagali ich rzemiennymi postronkami. Wyciągali chude, zczerniałe ramiona, zanurzając we wodzie ciężkie wiosła. Słona piana bryzgała wysoko w powietrze.

Wreszcie zawinęli do zatoki. Wiatr lekki dał od wybrzeża, pokrywając pokład i żagle grubą warstwą czerwonego kurzu. Na dzikich osłach nadjechało od lądu trzech arabów i poczęli godzić w nich oszczepami. Właściciel galery chwycił pomalowany łuk i jednego z nich trafił w gardło. Wpadł do wody z ciężkim pluskiem, a towarzysze jego szybko odjechali. Kobieta w żółtej zasłonie

zwolna za nimi podążyła na wielbłądzie, od czasu do czasu oglądając się za tonącym trupem.

Zarzuciwszy kotwicę, murzyni przynieśli drabinę sznurkową, obwieszoną ołowianemi ciężarkami. Właściciel galery przymocował jej końce do dwóch żelaznych haków i przerzucił przez pokład. Wówczas murzyni pochwycili najmłodszego z niewolników, zerwali z niego okowy, zatkali woskiem nos i uszy, a dokoła bioder obwiązali wór z ciężkim kamieniem. Znużony, powoli zstępował po drabinie, aż zniknął w morzu. W miejscu gdzie zniknął, woda zabulkotała na powierzchni. Inni niewolnicy z ciekawością spoglądali za nim z pokładu. Na przedzie galery rozsiadł się zaklinacz ludojadów, monotonnie uderzając w bęben.

Po pewnym czasie nurek wyłonił się z wody i, ciężko dysząc, uczeplił się drabiny. W prawej ręce trzymał perłę. Murzyni wyrwali mu ją i na powrót zepchnęli go w morze. Niewolnicy posnęli, schyleni nad wiosłami.

Nurek wypływał raz po raz, przynosząc za każdym razem cudną perłę. Właściciel galery wazył ją i wkładał do woreczka z zielonej skóry.

Młody król chciał przemówić, lecz język przysechł mu niejako do podniebienia, a wargi odmówiły posłuszeństwa.

Murzyni gadali wciąż ze sobą, wreszcie zaczęli się kłócić o sznur lśniących pereł. Dwa żórawie ustawicznie okrażały galereę.

Wreszcie nurek wypłynął po raz ostatni, a perła, którą przyniósł, piękniejsza była nad wszystkie perły Ormuza, kształtem podobna do pełnej tarczy księżyca i jaśniejsza od jutrenki. Ale twarz jego była dziwnie blada, a gdy padł na pokład, krew mu się rzuciła nosem i uszyna. Przez kilka chwil drgał konwulsyjnie, poczem zeszytniał. Murzyni wrzucyli ramionami i wrzucili trupa do wody.

A właściciel galery zaśmiał się i wyciągnął rękę po perłę, a ujrzawszy ją, przycisnął do czoła i pochylił się głęboko.

— Będzie zdobić berło młodego króla — rzekł z zadowoleniem, dając murzynom znak do podniesienia kotwicy.

A gdy młody król to usłyszał, wydał głośny krzyk i przebudził się, a, wyjrzawszy oknem, zobaczył, jak świt długimi szaremi palcami sięga ku gasnącym gwiazdom.

I znowu zasnął i znów miał sen, a sen ten był taki: Zdawało mu się, że chodzi po ciemnym lesie, pełnym rzadkich, wspaniałych owoców i trujących kwiatów. Żmije za nim syczały, gdy przechodził, a pstre papugi z krzykiem przelatywały z gałęzi na gałąź. Olbrzymie żółwie spały na gorącym mule. A drzewa były pełne małp i pawi.

Szedł dalej i dalej, aż zaszedł na skraj lasu i ujrzał nieprzeliczone gromady ludzi, pracujących w zaschłym łożysku rzeki. Jak mrówki uwijał się

na skale. Kopali w ziemi głębokie doły i spuszcza-
li się w nie. Inni czekanami rozbijali skałę, a jeszcze
inni ryli w piasku. Wrywali kaktusy wraz z ko-
rzeniami, deptając po szkarłatnych kwiatach. Bie-
gali wokół, nawołując się wzajem, i nikt nie był
bezczylny.

Z mroku pieczary obserwowała ich Śmierć
i Chciwość. A Śmierć rzekła:

— Jestem znużona, odstęp mi trzecią ich część,
a odejdę.

Ale Chciwość potrząsnęła głową.

— To moje sługi — odparła.

A Śmierć spytała:

— Co tam trzymasz w dłoni?

— Trzy ziarna zboża — odparła — ale co to
ciebie obchodzi?

— Daj mi jedno z nich, abym je zasadziła
w moim ogrodzie, jedno mi tylko daj, a odejdę.

— Nic ci nie dam — rzekła Chciwość, ukry-
wając rękę w fałdach sukni.

A Śmierć się roześmiała i chwyciła czarę i za-
nurzyła ją w bagno, a z czary wyszła zimnica.
Przeszła przez mrowie ludzi, a trzecia ich część
padła trupem. Za nią snuły się zimne mgły i czoł-
gały węże wodne.

A Chciwość ujrawszy, że trzecia część ludzi
nie żyje, poczęła się bić w pierś i płakać. Biła się
w bezpłodną pierś i krzyczała w niebogłosy.

— Zabiłaś trzecią część mej służby — krzy-

czała. — Teraz odejdz! W górach Tartarji sroży się wojna, a królowie obydwu zwaśnionych ple-
mion przyzywają cię! Afganie zabili czarnego byka
i ruszają w bój! Oszczepami uderzyli w tarcze
i włożyli hełmy żelazne. Cóż ci zależy na mej
dolinie, byś w niej miała pozostać? Odejdz stąd
i nie wracaj nigdy!

— Tak — odparła Śmierć — ale nie ruszę się
stąd, dopóki mi nie dasz jednego ziarna.

Chciwość potrząsnęła głową przecząco.

— Nic nie dam — mruknęła.

A Śmierć się zaśmiała i podniosła czarny ka-
mien i rzuciła nim w las, a z gęstwiny dzikiego
szaleju wyszła malarja w płomiennej szacie. I wmie-
szała się między mrowie ludzi, a kogo dotknęła,
umierał. Nawet trawa więdła pod śladem jej stóp.

A Chciwość się wstrząsnęła i głowę posypała
popiołem.

— Jesteś okrutna — krzyknęła. — Jesteś okrutna.
W warownych miastach Indji panuje głód, i cy-
sterny wyschły w Samarkandji. W warownych
miastach Egiptu panuje głód a z pustyni nadcią-
gnęła szarańcza. Nil nie wystąpił z brzegów, i ka-
płanie przeklęli Izydę i Ozyrysa. Idź do tych, co
cię potrzebują i zostaw mi moje sługi.

— Tak — odparła Śmierć — nie odejdę jednak,
dopóki mi nie dasz jednego ziarna.

— Nic nie dam — odrzekła Chciwość.

A Śmierć się zaśmiała i gwizdnęła przez palce,

i w powietrzu ukazała się postać kobieca. Na czole jej płonął napis: *Zaraza*, a gromady wychudłych sępów trzepotały nad jej głową. Roztoczyła nad doliną ogromne skrzydła, i ani jeden człowiek nie pozostał przy życiu.

A Chciwość z krzykiem uciekła do lasu, zaś Śmierć skoczyła na swego płomiennego rumaka i pomknęła, a rumak był chyży jak wicher najszybszy.

A z bagnisk doliny wypełzły smoki i potwory ohydne, okryte łuską, i szakale przybiegły przez piaski i nozdrzami wciągały powietrze.

A młody król zapłakał i spytał:

— Kto byli tamci ludzie i czego szukali?

— Rubinów do korony młodego króla — odpowiedział ktoś, stojący tuż za nim.

A młody król wzdrygnął się przerażony i odwrócił oczy i ujrzał człowieka w szacie pielgrzyma, trzymającego w ręku srebrne zwierciadło.

Więc zbladł gwałtownie i spytał:

— Dla którego króla?

A pielgrzym odparł:

— Spojrz w to zwierciadło, a ujrzysz go.

I spojrzał w zwierciadło, a, zobaczywszy własną swą twarz, wydał okrzyk grozy i przebudził się, a jasne promienie słońca wpływały do komnaty, a z drzew w ogrodzie dochodził śpiew ptaków.

A kanclerz i najwyżsi dygnitarze państwa złożyli mu hołd, a paze przynieśli szatę złotem tkaną i położyli przed nim berło i koronę. A młody król spojrział na jedno i drugie i widział, że wszystko było cudne. Stokroć piękniejsze nad wszystko, co widział był dotychczas. Ale wspomniał swe sny i rzekł do dygnitarzy:

— Zabierzcie te rzeczy, gdyż ja ich nosić nie będę.

A nimi ogarnęła trwoga; inni zaś się zaśmiali, biorąc słowa jego za żart.

Ale on raz jeszcze surowym tonem powtórzył:

— Zabierzcie te rzeczy i usuńcie je z przed moich oczu. Pomimo że to dzień mej koronacji, ja ich nosić nie będę. Gdyż na krosnach Nędzy i Białemi rękami Bólu tkana jest moja szata. Krew jest w sercu rubinu, a w sercu perły śmierć. I opowiedział im swoje dwa sny.

A dworzanie wysłuchawszy, zamienili z sobą znaczące spojrzenia i poczęli szeptać:

— Niezawodnie oszalał, bo wszak sen nie jest niczem więcej jak snem, a widzenie niczem, jak widzeniem. Niema w nich nic realnego, więc poco się o nie troszczyć? Co zresztą obchodzić nas może życie tych, którzy dla nas pracują? Żali człowiekowi nie wolno już jeść chleba, dopóki nie zobaczy siewcy, i nie wolno pić wina, zanim się nie rozmówi z winiarzem?

A kanclerz zwrócił się do młodego króla i rzekł:

— Władco mój, proszę, porzuć czarne myśli i włóż tę piękną szatę i koronę na głowę. Bo jakże lud będzie wiedzieć, że jesteś królem, jeśli nie przywdziejesz królewskiego stroju?

A młody król spojrzał nań i spytał:

— Żali tak jest istotnie? Żali mnie nie uznają królem, jeśli nie przywdzieję królewskiego stroju?

— Nie poznają cię, władco — zapewnił kanclerz.

— Sądzę, że istnieli już ludzie królewscy bez szaty królewskiej — odparł król — ale być może, że masz słuszość. Mimo to jednak, nie włożę tej szaty i nie pozwolę się ukoronować tą koroną, lecz wyjdę z tego pałacu tak, jak do niego przybyłem.

I kazał wyjść wszystkim obecnym, z wyjątkiem jednego pazia, który był o rok tylko młodszy od niego samego. Jego pozostawił przy sobie dla usługi, a wykapawszy się w czystej wodzie, otworzył dużą, starą skrzynię i wyjął z niej ordynarny kabat skórzany i kozuch barankowy, które był nosił ongi, pasąc na wzgórzu kędzierzawe owce pasterza. Ten prosty ubiór przywdział teraz, a do ręki wziął gruby kij pastuszy.

A mały paź rozszerzył w zdumieniu swe błękitne źrenice i rzekł z uśmiechem:

— Władco, widzę twą szatę i berło, ale gdzież korona?

A król zerwał gałąź dzikiego krzewu, pnącą

się na balkon i zrobił z niej wieniec i włożył na głowę.

— To będzie moja korona — odparł.

Tak przybrany, udał się do wielkiej sali, gdzie nań czekali dygnitarze państwa.

A ci, zobaczywszy go, poczęli szydzić, a kilku zawołało:

— Władco, lud oczekuje króla, a ty mu ukazujesz żebraka. A inni sarkali:

— Zaprawdę, hańbą okrywa nasz kraj i nie godzien jest być naszym królem.

On jednak nie odrzekł ani słowa, lecz zbiegłszy z lśniących schodów porfirowych, w bronzowej bramie skoczył na swego wierzchowca i pojechał do katedry, a obok niego biegł mały paź. A lud zgromadzony na ulicy śmiał się i drwił:

— Oto przejeżdża błazen królewski!

A król ściągnął uzdeczkę i przystanął i odparł:

— Nie, gdyż ja to jestem królem. I opowiedział im swoje dwa sny.

A z tłumu zebranych wystąpił mężczyzna i rzekł z goryczą:

— Panie, żali nie wiesz, że zbytki bogacza żywią ubogiego? Żyjemy z waszego przepychu, a wasze występki dają nam chleb. Gorzko jest pracować dla twardego pana, ale bardziej gorzko nie mieć dla kogo pracować. Czy sądzisz, że krucy przyniosą nam pożywienie? I jakże chcesz te rzeczy zmienić na lepsze? Żali powiesz kupującemu:

Tyle masz płacić, a sprzedajęmu: za tę cenę masz sprzedawać? Nie sędzę. Wracaj więc do swego pałacu i okryj się cenną purpurą i delikatną tkaniną. Co cię obchodzi nasza niedola i nasze cierpienia?

— Alboż bogaty nie jest bratem ubogiego? spytał młody król.

— Tak — odparł człowiek — a imię brata bogatego — Kain.

A oczy młodego króla napełniły się łzami i dalej ruszył wśród pomruku i szmeru ludu, a mały paź, trwogą zdjęty, uciekł i porzucił go.

A w bramie katedry, żołnierze zagrodzili mu drogę włóczniami, krzycząc:

— Czego tu szukasz? Przez te drzwi nikomu wchodzić nie wolno, tylko królowi.

A twarz jego rozpromieniła się gniewem i rzekł:

— Ja jestem królem! I odtrącił ich włócznie i wszedł do katedry.

A stary biskup, zobaczywszy go w stroju państwowym, powstał z tronu swego zdziwiony i spytał:

— Synu mój, zali to jest strój królewski? A jaką koronę mam cię ukoronować i jakie berło włożyć w twe dłonie? Zaprawdę, dzień dzisiejszy powinien być dla ciebie dniem radości, a nie poniżenia.

— Czyż radość ma się stroić w to, co stwo-

rzyła zgryzota? spytał młody król. I opowiedział mu swoje dwa sny.

A biskup, wysłuchawszy, zmarszczył czoło i rzekł:

— Synu mój, jestem starcem, przeżywającym już zimę żywota, i wiem, że wiele złego dzieje się na świecie. Dzicy rabusie przychodzą z gór i porywają drobne dzieci i sprzedają je murzynom. Lwy zaczajone czyhają na karawany, i rzucają się na wielbłądów. Dzikie odyniec ryje zboże w dołynie, a lisy obgryzają na wzgórzach winną łąkę. Piraci grasują wzdłuż wybrzeży i palą łodzie rybaków i zabierają im sieci. W słonych bagnach żyją trędowaci, w chatkach wyplatanych z trzciny, i nikomu nie wolno się do nich zbliżać. Żebracy włoką się ulicami miast i strawę spożywają razem z psami. Żali możesz temu zaradzić? Żali do łoża swego przyjmiesz trędowatego, a żebraka posadzisz przy swym stole? Żali lew i odyniec usłuchają twego rozkazu? Alboż Ten, co stworzył nędzę, nie jest mędrszy od ciebie? Przeto nie chwaleb twego postępu, lecz nakazuję: wróć do swego pałacu i rozwesel twarz i przywdziej szatę godną króla, a wówczas ukoronuję cię złotą koroną i berło perłami wysadzone włożę do twojej dłoni. A o snach swoich zapomnij! Niedola tego świata zbyt jest ciężka dla jednego człowieka, a cierpienia zbyt wielkie, by jedno serce mogło im poddać.

— I ty to mówisz w tym domu? spytał młody król i, przeszedłszy mimo biskupa, wstąpił na

schodki ołtarza i stanął przed wizerunkiem Chrystusa.

Stał przed wizerunkiem Chrystusa, a po obu jego stronach błyszczały cudne naczynia złociste: kielich z złotem winem i czara z świętym olejem. Ukląkł przed wizerunkiem Chrystusa, a duże świece płonęły przed ołtarzem, wysadzonym klejnotami, a dymy kadzidła w cienkich, błękitnych smugach wznosiły się nad jego głową. Pochylił głowę w kornej modlitwie, a kapłani w swych sztywnych komzach powoli cofnęli się od ołtarza.

Nagle na ulicy wszczął się zgiełk i wrzawa, i do kościoła wtargnęli rycerze z obnażonemi mieczami i powiewającemi pióropuszcami na błyszczących hełmach.

— Gdzież jest ten marzyciel, ten opowiadacz snów? krzyczeli. — Gdzież jest ten król w łachmanach żebraczych? Ten młokos, hańbą okrywający nasz kraj? Postanowiliśmy go uśmiercić, albowiem niegodzien jest władać nami.

A młody król pochylił głowę i dalej się modlił, a, skończywszy modły, wstał z klęczek i powiodł po nich spojrzeniem pełnem żalu.

I patrz! przez kolorowe witraże wpłynęła światłość słoneczna i otoczyła go aureolą, i utkała na nim szatę ze złotych promieni, piękniejszą od tej którą miał nosić przy koronacji. Suchy kij pastuszy puścił świeże pędy i zakwitnął liljami, biel szemi od pereł. Gałąź z dzikiego krzewu, którą

oplótnął głowę, okryła się różami, czerwieńszemi nad rubiny. Bielsze od pereł były lilje, a łodyżki ich były z błyszczącego srebra. Czerwieńsze od rubinów były róże, a listki ich były z lanego złota. I oto stał w szacie królewskiej, a klejnotami wysadzone skrzydła ołtarza roztworzyły się, a z kryształu błyszczącej monstrancji spłonęła nań cudowna jasność mistyczna. Stał oto w szacie królewskiej, i chwała boża nappełniała cały przybytek, a święci w rzeźbionych nyszach zdawali się poruszać. Stał przed nimi w pysznej szacie królewskiej, a z organów wypłynęły potężne dźwięki, i zabrzmiały fanfary, a chór chłopców zaintonował hymn uroczysty.

A lud w zbożnej trwodze padł na kolana, rycerze ukryli w pochwach miecze i złożyli mu hołd, a twarz biskupa zbladła i ręce mu drżały.

— Wyższy odemnie cię ukoronował — zawołał, klękając przed nim.

A młody król zstąpił ze stopni ołtarza i poprzez tłumy ludu skierował się w stronę pałacu. Ale nikt nie śmiał spojrzeć na jego oblicze, gdyż było niby oblicze anioła.

URODZINY INFANTKI.

Było to w dzień urodzin infantki. Skończyła właśnie rok dwunasty, a słońce świeciło jasno w ogrodzie pałacowym.

Pomimo, że była prawdziwą księżniczką i infantką Hiszpanji, to jednak tylko raz w roku obchodziła urodziny, tak samo jak dzieci całkiem zwykłych ludzi. I dlatego ważnem było oczywiście dla całego kraju, aby przy tej okoliczności miała dzień prawdziwie piękny. I istotnie, dzień był prawdziwie piękny. Duże, prążkowane tulipany stały wyprostowane na swych łodyżkach, niby długie szeregi żołnierzy, i wyzywająco patrzyły przez ogród na róże, mówiąc: — Jesteśmy teraz tak samo piękne, jak wy. Purpurowe motyle fruwały wokoło ze złotym pyłkiem na skrzydełkach i kolejno odwiedzały wszystkie kwiaty, jaszczureczki wyłaziły ze szczelin murów, leżały w białym żarze słonecznym i wygrzewały się rozkosznie, a granaty pękały i rozpryskiwały się w upale, ukazując krwawe, czerwone serca. Nawet blade, żółte cytryny, tak bujnie zwisające wzdłuż próchniejących parkanów i ciemnych arkad, zdawały się ssąć intenszywniejszą

barwę z cudownych promieni słońca, a magnolie rozchyłały swe duże krągłe kwiaty zwiniętej kości słoniowej, nasycając powietrze ciężką, słodką wonią.

Mała księżniczka przechadzała się z towarzyszami po tarasie, bawiąc się przytem w »chowanego« około kamiennych waz i starych omszałych posągów. W zwykłe dni wolno się jej było bawić wyłącznie z dziećmi, równemi jej rangą, a zatem musiała się zawsze bawić sama, dzień urodzin jednak stanowił wyjątek i król wydał rozkaz, aby z młodych swych przyjaciół i przyjaciółek zaprosiła kogo tylko zechce, do wspólnej zabawy. Jakiś dostojny wdziek owiewał te smukłe dzieci hiszpańskie, gdy się tak przemykały tu i ówdzie; chłopcy w kapeluszach o długich piórach i krótkich fruujących na wietrze mantylach; dziewczątka unosząc treny swych powłóczyстых szat brokatowych i dużemi, czarno=srebrnymi wachlarzami zasłaniając oczy przed słońcem. Ale najwdzięczniejsza ze wszystkich była infantka i najgustowniej też ubrana, jakkolwiek podług uciążliwej mody ówczesnej. Nosiła suknię z szarego jedwabiu; obramowanie i duże, bufiaste rękawy były bogato haftowane srebrem, a sztywny gorset wyszyty sznurami prześlicznych pereł. Drobne trzewiczki z sutemi kokardami różowemi wyglądały z pod sukni, gdy się przechadzała. Koloru różowo=perłowego był też jej ogromny wachlarz gazowy, a we włosach, co niby aureola z matowego złota

sztynnie okalały jej bladą twarzyczkę, nosiła cudną białą różę. Przez jedno z okien pałacowych, król na nich spoglądał melancholijnym wzrokiem. Za nim stał brat jego, Piotr Aragoński, którego nie-
nawidził, a obok niego siedział spowiednik, Wielki Inkwizytor z Grenady. Król smutniejszy był niż zwykle, patrząc bowiem na infantkę, jak z dzie-
cinną powagą oddawała ukłony zgromadzonym dworzanom, lub z poza wachlarza śmiała się ze srogiej księżnej Albuquerque, nieodstępnej swej to-
warzyszki, musiał myśleć o jej matce, młodej kró-
lowej, która — takie miał wrażenie — niedawno do-
piero przybyła z wesołej Francji, by uwiędnąć w posępnej wspaniałości dworu hiszpańskiego, zmarła bowiem w pół roku po urodzeniu dziecka, zanim zdołała po raz drugi zobaczyć kwitnące w ogrodzie drzewa migdałowe i drugi zerwać owoc ze starego, trzeszczącego drzewa figowego w po-
środku trawą zarośniętego podwórza. Tak wielką była jego miłość ku niej, że nie pozwolił nawet ukryć jej przed sobą w grobie. Została więc za-
balsamowana przez maurytańskiego lekarza, któ-
remu za tę usługę darowano życie, należące już do Świętej Inkwizycji za zbrodnię kacerstwa i cią-
żące na nim podejrzenia o czarnoksiężstwo. Zwłoki jej dotąd jeszcze leżały na haftowanych marach w kaplicy pałacowej z czarnego marmuru, tak jak je ułożyli byli mnichy w ów wietrzny dzień mar-
cowy przed niespełna dwunastu laty. Raz na mie-

siąc, król otulony ciemnym płaszczem, z przysłońtą latarką w ręku wchodził do kapliczki, klękał u zabalsamowanych zwłok, wołając: Mirejna! Mirejna! A czasem, łamiąc formy etykiety, krępującej w Hiszpanji każdy czyn życiowy i kładącej granicę nawet cierpieniom króla, w dzikiej męce bólu chwycił blade, pierścieniami okryte ręce, obłędami pocałunkami usiłując ożywić zimne, pomalowane oblicze. Dziś, zdawało mu się, że ją znów widzi, jak ją widział był po raz pierwszy, w zamku Fontainebleau, gdy liczył lat piętnaście, a ona jeszcze mniej. Wówczas nuncjusz papieski zaręczył ich formalnie wobec króla francuskiego i całego dworu, poczem on wyjechał z pukłem złotych włosów i wspomnieniem dziecięcych ust, co się pochyliły nad jego ręką, by ją ucałować, gdy wsiadał do powozu. Później odbył się ślub, spiesznie dokonany w Burgos, małej miłościnie na pograniczu obydwu krajów, następnie publiczny wjazd do Madrytu, ze zwykłym uroczystym nabożeństwem w kościele *La Atocha* i niezwykle uroczystem Auto-da-fé, podczas którego niemal trzystu kacerzy, między nimi wielu anglików, przekazano władzy świeckiej — do spalenia.

Istotnie, kochał ją szalenie, a jak niektórzy twierdzili, na zgubę swego kraju, walczącego wówczas z Anglią o władzę nad Nowym Światem. Ani na chwilę nie chciał jej tracić z oczu, dla niej — tak się przynajmniej zdawało — zaniedbywał

poważne sprawy państwowe, w strasznem zaślepieniu, o jakie namiętność przyprawia swych niewolników, nie zauważając wcale, że wspaniałe uroczystości, któremi stara się ją rozweselić, potęgują właśnie tę straszną chorobę, która ją trawi. Gdy zmarła, był przez pewien czas jakby pozbawiony rozumu. Niewątpliwie byłby też zrezygnował z korony i schronił się do wielkiego klasztoru Trapistów koło Grenady (nosił już nawet tytuł przeora), gdyby nie obawa pozostawienia małej infantki w rękach brata, którego okrucieństwo nawet w Hiszpanji budziło oburzenie, a którego niektórzy podejrzewali, że parą zatrutych rękawiczek sprowadził był śmierć królowej, bawiącej u niego w gościnie na zamku w Aragonji. Nawet po upływie trzechletniej żałoby publicznej, zawieszanej werdyktem nad całym obszarem państwa, król nigdy nie pozwolił swym ministrom o innym wspominać mu związku, a kiedy sam cesarz przysłał doń posłów, ofiarowując mu rękę swej siostrzenicy, miłutkiej arcyksiężniczki czeskiej, rozkazał posłom, by władcy swemu powiedzieli, że król hiszpański zaślubił żałobę, a jakkolwiek zimna to oblubienica, jednak kocha ją więcej niż piękność. Odpowiedź ta pozbawiła koronę hiszpańską bogatych Niderlandów, bo wkrótce potem zbuntowały się przeciw niemu dzięki staraniom cesarza, a pod przewodnictwem kilku fanatyków zreformowanego kościoła.

Dziś miał wrażenie, że ponownie przeżywa całe dzieje swego małżeństwa, z jego dzikimi, pło-

miennemi radościami i strasznym bólem nagłego zakończenia, dziś ponownie przeżywał to wszystko, patrząc na bawiącą się na tarasie infantkę. Miała ona w swem zachowaniu cały swobodny wdzięk zmarłej królowej, ten sam kapryśny sposób odrzucania w tył głowy, te same dumnie zarysowane, piękne usta, ten sam czarowny uśmiech — *vrai sourire de France* — gdy od czasu do czasu rzucała spojrzenie w stronę okna, lub dostojnym panom hiszpańskim podawała do pocałunku drobną swą rączkę. Ale głośny śmiech dzieci boleśnie raził jego uszy, a jasne bezlitosne słońce szydziło niejako z jego zgryzoty. Zdawało mu się, że jakaś ciężka, dziwna woń myrrhy, jakiej się używa do balsamowania trupów — czyżby to było złudzenie? — przenika jasną atmosferę poranku. Ukrył twarz w dłoniach, a gdy infantka znów spojrzała w okno, story były spuszczone, a król widocznie się był oddalił.

Uczyniła gest rozczarowania i wzruszyła ramionami. Istotnie, mógłby być przecież pozostać przy niej w dniu urodzin. Co zależy na tych głupich sprawach państwowych? Czy może znów poszedł do tej ciemnej kaplicy, gdzie zawsze płonęły świece, a jej nigdy nie było wolno wejść? Czyż to nie głupio z jego strony czynić coś takiego, gdy słońce świeci tak jasno i wszyscy są tak szczęśliwi? Nie zobaczy nawet walki byków do której właśnie wzywają trąby, wcale już nie

mówiąc o przedstawieniu lalek i innych cudownych rzeczach. Jej wuj i Wielki Inkwizytor są rozsądniejsi. Wyszli na taras i prawią jej komplementa. Odrzuciła więc głowę i ująwszy za rękę Don Pedra, powoli schodziła w stronę podłużnego namiotu z purpurowego jedwabiu, ustawionego w tylnej części ogrodu, inne dzieci szły za nią, uszeregowane najściślej podług rangi: dzieci o najdłuższych nazwiskach, szły pierwsze.

Procesja chłopców szlacheckich przybranych w fantastyczne stroje toreadorów, wyszła naprzeciw niej, a młody hrabia z *Terra-Nueva*, cudownie piękny, niespełna czternastoletni chłopiec, odkrywszy głowę z całym wdziękiem hidalga i granda Hiszpanji, uroczyście poprowadził ją do krzesła ze złota i kości słoniowej, ustawionego na podwyższeniu, ponad areną. Dzieci rozsypały się dokoła i szeptały między sobą, poruszając dużemi wachlarzami, a Don Pedro i Wielki Inkwizytor, uśmiechnięci stanęli u wnijscia. Nawet księżna — nazywano ją *Camera-Major* — chuda dama o twardych rysach, w żółtej kryzie, nie wyglądała tak pochmurnie, jak zazwyczaj, i nawet coś nakształt lodowatego uśmiechu, przemknęło po jej zmarszczonej twarzy, a jej cienkie, bezkrwiste wargi zadrgały.

Walka byków była istotnie cudna, a infantka twierdziła, że jest znacznie ładniejsza od prawdziwej walki byków, którą widziała w Sewilli, gdy ksiązę z Parmy bawił w gościnie u jej ojca. Kilku

chłopców jechało na bogato przystrojonych koniach drewnianych, wymachując długimi dzirytami, na których powiewały pęki barwnych wstęg; inni, piesi, wywijali szkarłatnymi chustami przed oczyma byka, lekko przeskakując na drugą stronę baryery, gdy się na nich rzucał. A byk sam, zupełnie był podobny do prawdziwego byka, pomimo, że był zrobiony z wyplatanej łożyny, i obwleczonej skórą i nieraz uporczywie na tylnych tylko nogach pędził po całej arenie — co prawdziwemu bykowi nawet we śnie nie przyszłoby do głowy. Walczył cudnie, a dzieci były tak podniecone, że wskoczywszy na ławy, powiewały koronkowymi chustkami, wołając: *bravo toro! bravo toro!* z tem samem zrozumieniem, z jakim by to czynili dorośli. Wreszcie, po długiej walce, w której na śmierć zakłuto kilka koników i z siodła zrzuciono jeźdźców, młody hrabia z *Terra Nueva* powalił byka na kolana, a otrzymawszy zezwolenie od infantki, zadał mu *coup de grace*, z taką siłą topiąc w karku zwierzęcia drewniany swój mieczyk, że głowa byka spadła, a ukazała się z pod niej roześmiana twarz małego *Monsieur de Lorraine*, syna francuskiego ambasadora w Madrycie.

Wśród gorących oklasków uprzątnięto arenę, a dwóch paziów maurytańskich, w czarno-żółtych liberjach, uroczyście wywlokło martwe koniki. Po krótkim intermezzo, podczas którego francuski linoskoczek ukazał się na wyciągniętej linie, zapre-

zentowały się na scenie małego, na ten cel wybudowanego teatru, włoskie marionetki, w nawpół klasycznej tragedji: *Sophonisbe*. Grały tak dobrze i miały gestykulację tak naturalną, że pod koniec przedstawienia oczy infantki zaćmiły się łzami. Niektóre dzieci naprawdę płakały i musiano je pocieszać słodyczami, a nawet sam Wielki Inkwizytor był do tego stopnia wzruszony, iż wobec Don Pedra nie mógł się powstrzymać od uwagi, jakie to jednak nieznośne, aby zwyczajne lalki z drzewa i kolorowego wosku, mechanicznie poruszane na drutach, mogły być tak nieszczęśliwe, tak strasznie przywalone nieszczęściem.

Następnie wszedł kuglarz afrykański, niosąc w ręku duży, płytki kosz, nakryty czerwonym suknem. Postawił go na środku areny, poczem z turbanu wyjął dziwny flet z trzciny i zaczął na nim grać. Po kilku sekundach czerwona chusta zaczęła się poruszać, a w miarę jak dźwięki fletu stawały się coraz przenikliwsze, dwa zielonawo-złote węże wysunęły z kosza swe bryłowate łby i powoli wyprostowawszy cielską, kołysały się w takt melodji, jak roślina przechyla się w wodzie. Dzieci wszakże bały się ich plamistych czepców i szybko się poruszających języków i znacznie większe okazały zadowolenie, gdy na znak kuglarza wyrosło na piasku drzewo pomarańczowe, które w okamgnieniu okryło się białem kwieciami, a następnie prawdziwymi pękami winnego grona.

A kiedy wziął wachlarz córeczki markiza *de les-Torres* i przemienił go w błękitnego ptaka, co latał po całym namiocie, śpiewając — zdumienie i radość młodocianych widzów nie znały już granic. Także uroczysty menuet, wykonany przez dzieci z chóru kościoła *Nuestra Senora del Pitaz* był czarujący. Infantka nigdy jeszcze nie widziała tej cudownej ceremonji, jakkolwiek odbywała się ona co rok, w miesiącu maju, przed wielkim ołtarzem Madonny i na jej cześć; nikt jednak z królewskiej rodziny nie przestępował progów katedry w Saragocie, od-
 kąd szalony kapłan — niektórzy sądzili, że był on przekupiony przez Elżbietę angielską — usiłował księciu Asturji podać opłatek zatruty. Tak więc tylko z opowiadania znała tak zwany »Taniec Naszej Królowej« i istotnie było to widowisko piękne. Chłopcy nosili staroświecki strój dworski z białego aksamitu, a ich dziwaczne trójkątne kapelusze, obszyte były frendzlą i przybrane pękami powiewających piór strusich; lśniąca biel kostjumów, mieniała się w promieniach słońca, podnosiły jeszcze ich ciemno-brunatne twarzyczki i długie, czarne włosy. Całe audytorjum było zachwycone powagą i godnością, z jaką wykonywali zawołanych gestów i dumnych ukłonów; a kiedy po ukończeniu menueta pochylili przed infantką swe duże, w pióra zdobne kapelusze, ona z wielką łaskawością przyjęła ich hołd, ślubując, że na ołtarzu

Madonny z Pilaz każe zapalić dużą świecę woskową, w podziękę za przyjemność, jaką ją obdarzyła.

Następnie wszedł na arenę orszak pięknych egipcjan — tak podówczas nazywano cyganów; z podwiniętymi pod siebie nogami usiedli kołem na ziemi i poczęli grać na cytrach, kołysząc się w takt melodji i mrucząc prawie niedosłyszalnie smętną, marzycielską pieśń. Na widok Don Pedra zachmurzyli się, a niektórych ogarnęła trwoga, bo dopiero przed paru tygodniami kazał dwóch z ich gromady powiesić na rynku w Sevilli, obwinając ich o czary. Ale piękna infantka tak ich zachwyciła, gdy w tył przechylona spoglądała na nich z poza wachlarza swemi dużemi, błękitnemi oczyma, że powoli odzyskiwali równowagę, czując, że tak urocza istota nie mogłaby dla nikogo być okrutną. Dalej więc grali, cicho, delikatnie, zaledwie muskając struny długimi, spiczastemi paznokciami, kiwając przytem głowami, jakoby mieli zasnąć. Nagle jednak zerwali się z tak przeraźliwym krzykiem, że dzieci drgnęły przestraszone, a Don Pedro chwycił za agatową rękojeść miecza, oni tymczasem jak szaleni poczęli wirować po arenie, uderzając w tamburyny, i w obcych, gardłowych dźwiękach swej mowy śpiewając dziką pieśń miłosną. Na ponowny znak jednak, znów się rzucili na ziemię i tak pozostali całkiem nieruchomi, a monotonny dźwięk cytr sam jeden tylko zakłócał ciszę. Powtórzywszy to samo kilka razy, oddalili

się na chwilę, poczem wrócili, wiodąc na łańcuchu dużego, kudłatego niedźwiedzia, a na ramionach niosąc małpki berberyjskie. Niedźwiedź z największą powagą stawał na głowie, a małpki wyprawiały przeróżne figle z dwojgiem cyganiątek, które zdawały się być ich panami. Wywijały więc mieczkami i strzelały z armat, wykonywując takie same ćwiczenia wojskowe, jak przyboczna straż królewska. Jednem słowem cyganie mieli ogromne powodzenie.

Najweselszym wszakże punktem rannej zabawy był niewątpliwie taniec małego karła. Gdy potykając się co krok, wszedł na arenę, skacząc na krzywych nogach i na obydwie strony kołysząc dużą, bezkształtną głową, dzieci wydały okrzyk zachwytu, a nawet sama infantka tak się śmiała, iż *Camera* zmuszona była jej przypomnieć, że jakkolwiek istnieją pewne poszczególne wypadki, pozwalające córce króla hiszpańskiego płakać wobec swych równych, to jednak niesłychaniem jest, aby księżniczka krwi królewskiej była wobec niższych tak wesoła. Karzeł był jednak w istocie niezrównany i nawet na dworze hiszpańskim, od dawien dawna znanym z wyrafinowanego zamięłwania do rzeczy strasznych, nigdy jeszcze nie widziano tak fantastycznego potworka. Dziś był właśnie pierwszy jego występ. Odkryto go dopiero przed dwoma dniami, gdy całkiem dziki uganiał po lesie, a dwóch grandów polowało właśnie w odle-

głej części boru korkodębowego, okalającego miasto. Oni to przywieźli go do pałacu, jako niespodziankę dla infantki, gdyż ojciec karzełka, biedny węglarz, aż nadto chętnie się zgodził, by go uwolniono od tak szkaradnego i bezużytecznego dziecka. Najkomicniejszą może była u niego zupełna nieświadomość śmieszności, jaką budził swym wyglądem. Zdawał się być całkiem szczęśliwym i w doskonałym humorze. Gdy dzieci się śmiały, on również się śmiał, tak samo swobodnie i serdecznie jak każde z nich, a po skończeniu każdego tańca składał przed każdym z osobna komiczny ukłon i śmiał się i kiwał do nich głową, jakoby był jednym z ich grona, a nie małym, bezkształtnym potworkiem, stworzonym przez naturę w przystępie kaprysu humorystycznego, na pośmiewisko drugich. A infantka do reszty go już oczarowała. Nie mógł od niej oderwać oczu i dla niej tylko zdawał się tańczyć; ona zaś, przypomniawszy sobie pod koniec przedstawienia, jak wielkie damy dworskie obrzucały bukietami sławnego włoskiego tenora, Caffareliego, którego sam papież z własnej kapeli przysłał do Madrytu, by czałem swego głosu leczył króla z melancholji — przypomniawszy to sobie, wyjęła z włosów białą różę i nawpół żartem, nawpół dla irytowania Camery, z najczarowniejszym uśmiechem rzuciła ją karłowi na arenę. On jednak biorąc to wszystko bardzo serjo, przycisnął kwiat do czerwonych ust i do serca przyłożył rękę; błogi

uśmiech rozszerzył mu usta od ucha do ucha, a małe, błyszczące oczka zapaliły się z radości.

Wszystko to tak bardzo zachwiała powagą infantki, że śmiała się niepowstrzymanie, chociaż karzeł dawno już zniknął z areny, a wobec wuja wyraziła nawet życzenie, by taniec powtórzono. *Camera* jednak zadecydowała, że ze względu na niezdolność upaść lepiej będzie, jeśli Jej Wysokość zaraz wróci do pałacu, gdzie czeka już wspaniała uczta i prawdziwy piernik z inicjałami z kolorowego cukru, a nad tem wszystkiem powiewa mała chorągiewka. Przeto infantka powstała z wielką grandezzą i wydawszy rozkaz, aby karzeł raz jeszcze tańczył dla niej po sieście poobiedniej, wyraziła młodemu hrabiemu z *Terra Nueva* podziękowanie za tak cudowne przyjęcie i z powrotem udała się do swych komnat, za nią szły dzieci, w tym samym porządku, w jakim przybyły.

A mały karzeł usłyszawszy, że jeszcze raz ma tańczyć przed infantką i to na własny jej rozkaz, uczuł się tak dumnym, że pobiegł do ogrodu i w bezpamiętnej radości całował białą różę, wykonując przytem najniezgrabniejsze i najdziwniejsze gesty zachwyty.

Kwiaty były wprost oburzone, że śmiał wtargnąć do ich pięknej siedziby, a widząc, jak karzeł skacze po ścieżkach i w komiczny sposób wymachuje ramionami — nie mogły już dłużej uczuć swych hamować.

— Istotnie, zbyt jest szkaradny, abyśmy mu miały pozwolić bawić się w naszej obecności — zawołały tulipany.

— Powinienby się napić soku makowego i zasnąć na tysiąc lat — rzekły duże lilje szkarłatne, unosząc się gniewem.

— Prawdziwe straszdyśło! — krzyknął kaktus. — Cały przecież pokrzywiony jest i powyginany, a głowę ma zupełnie nieproporcjonalną do nóg. Doprawdy, że czuję już gęsią skórę na całym ciele, niech się tylko odważy zbliżyć, natychmiast pokłuję go cierniami.

— I do tego nosi jeden z najpiękniejszych moich kwiatów! — wykrzyknął krzew białej róży. — Sam go dziś rano dałem infantce, jako podarek na urodziny, a on jej go ukradł. — I na cały głos poczęła wołać: — Złodziej! Złodziej! Złodziej!

Nawet czerwone geranje, które zazwyczaj wcale nie zwykły się pysznić, bo wiadomo przecież, że same posiadają licznych ubogich krewnych, otrząsały się ze wstrętu na jego widok, a kiedy fioletki skromnie zauważyły, że jest wprawdzie strasznie brzydki, ale wszak to nie jego wina, geranje z chłodną powagą odparły, że to właśnie największą jego wadą i nie widzą powodu podziwiania człowieka dlatego, że jest nieuleczalny. I istotnie, nawet niektóre fioletki czuły, że brzydota małego karła jest niemal natrętna i że okazałby znacznie więcej dobrego smaku, gdyby miał minę smutną, lub przy-

najmniej zadumaną, zamiast tak skakać wesoło i przybierać dziwne, a idiotyczne pozycje.

A stary zegar słoneczny, osobistość bardzo wybitna, co ongi samemu cesarzowi Karolowi V anonsował godziny — zegar ów tak był przerażony pojawieniem się małego karła, że długim swym, ciemnym palcem zapomniał wskazać niemal całe dwie minuty, wreszcie nie mogąc się dłużej hamować, zwrócił się do dużego, białomlecznego pawia, co się wygrzewał w słońcu, z sentencją, że każdemu przecież wiadomo, jako dzieci królów są królami, a dzieci węglarzy węglarzami i niedorzecznością byłoby twierdzić inaczej. To stwierdzenie faktu bardzo zadowoliło pawia, który też odkrzyknął: Zapewne! Zapewne! i to głosem tak ostrym i przeraźliwym, że złote rybki mieszkające w chłodnej, szemrzającej studni, wychyliły główki z pod wody, pytając dużych kamiennych trytonów co to u licha się dzieje.

Ptaki jednak kochały małego karła. Często go widywały w lesie, gdy jak elf tańczył po murawie, aż spadłe liście podlatywały do góry, lub też przycupnąwszy w wydrążeniu starego dębu, z wieiórką dzielił uzbierane orzechy. Wcale ich nie obchodziła jego brzydota. Ba! toż sam słowik, co wieczorami tak cudnie śpiewa w gajach pomarańczowych, że nieraz nawet księżyc niżej spływa, by się przysłuchiwać — toż słowik sam wygląda wcale nieszczególnie, przytem... karzeł był dla nich

zawsze taki dobry, a podczas owej strasznie ostrej zimy, gdy na drzewach nie było żadnych jagód, a ziemia twarda była jak żelazo i wilki aż pod bramy miasta zapędzały się za pożywieniem, on nigdy o nich nie zapomniał, lecz zawsze im dawał okruszyny z małej skórki razowego chleba i zawsze się z nimi dzielił, pomimo, że sam miał śniadanie tak bardzo nędzne.

Dlatego też fruwały teraz koło niego, w locie muskając mu policzki delikatnymi skrzydełkami i coś do niego świegocąc, a mały karzeł tak był wesół, że nie mógł się powstrzymać od pokazania im białej róży, przyczem opowiedział, że dała mu ją sama infantka, ponieważ go kocha.

Nie rozumiały wprawdzie ani słowa z tego, co im mówił, ale wcale to nie szkodziło, pochyłały bowiem główki na bok i robiły mądre minki, a to znaczy tyleż, co rozumieć, a znacznie jest łatwiejsze.

Także jaszczurki miały dla niego wiele sympatii i kiedy nie mogąc dłużej biegać, padł znudzony na trawę, aby odpocząć, skakały po nim i igrały, usiłując go zabawić, jak tylko umiały.

— Nie każdy może być tak piękny jak jaszczurka! — wołały — byłoby to żądanie zbyt śmiałe. I jakkolwiek to brzmi niedorzecznie, jednak prawdą jest, że nie taki on znów szkaradny. Tylko należy oczywiście zamknąć oczy i wcale na niego nie patrzeć. Jaszczurki bo miały umysł bardzo filozo-

ficzny i nieraz wysiadywały razem całemi godzinami i rozmyślały — o ile, rozumie się, nie miały innego zajęcia, lub słota nie pozwalała im wyjść na przechadzkę.

Kwiaty natomiast okropnie były oburzone ich zachowaniem się, a także zachowaniem się ptaków.

— To znów dowodzi — mówiły — jak demoralizująco działa to ustawiczne bieganie i latanie tam i napowrót. Kto ma dobre wychowanie, pozostaje zawsze na tem samym miejscu, jak my. Nas nigdy nie widziano, abyśmy skakały po ścieżynach lub uganiały po trawie za jętkami, jak szaleńcy. Jeśli nam potrzeba zmiany powietrza, to posyłamy po ogrodnika, a on nas przenosi na inną grzędę. Tak wypada i tak być powinno. Ale ptaki i jaszczurki nie mają wcale zmysłu dla spokoju. Ptaki nie mają przecież nawet stałego adresu. Istne awanturniki, jak cyganie, i tak samo należałoby je też traktować.

Tak mówiąc, do góry zadzierały nosy, z pychą rozglądając się dokoła i bardzo były zadowolone, gdy ujrzały, że po pewnym czasie karzeł zerwał się z trawy i tarasem pobiegł w stronę pałacu.

— Doprawdy, na resztę życia należałoby go zamknąć — mówiły między sobą. — Spojrzcie no tylko na te zgarbione plecy i te krzywe, pałakowate nogi — zachichotały.

Ale mały karzeł nic o tem wszystkiem nie wiedział. Bardzo mu się podobały ptaki i jaszczurki

i myślał, że na całym świecie niema nic piękniejszego nad kwiaty — oczywiście z wyjątkiem infantki. Ale ona dała mu prócz tego białą różę i kochała go, a to już wielka różnica. Jakże mu było przykro że za nią nie poszedł! Byłaby mu wyznaczyła miejsce po swej prawicy, a on nie byłby od niej odstąpił ani na jeden krok, lecz byłby ją uczynił swą towarzyszką i wyuczył wszystkich tych cudnych sztuczek, które sam umiał. Bo chociaż nigdy przedtem nie był w pałacu, to jednak umiał wiele niezwykłych rzeczy. Umiał z sitowia wyplatać małe klatki, w których skaczą pasikoniki i umiał ze smukłego bambusu wystrugać flet, którego dźwięków tak chętnie słucha — Pan leśny. Znał każdego ptaka i umiał przywabić szpaka ze szczytu drzewa i czaplę z nad brzegu morza. Znał ślad każdego zwierzęcia i po lekkim odcisku stóp umiał wytropić zająca, a po zdeptanych liściach — dzika. Znał każdy taniec wiatru: szalony tan w czerwonej szacie, z jesienią, lekki tan w błękitnych sandałach ponad łanami zboża, tan w białych, śnieżnych wieńcach w zimie i tan kwietni, poprzez ogrody wiośniane. Wiedział, gdzie dzikie gołębie ścielą sobie gniazda, a kiedy raz ptasznik złowił w swe sidła parę starych, on sam wychował pisklęta, usławszy im gniazdo w wydrążeniu strzaskanego przez burzę wiązu. Były całkiem obłaskawione i co ranka jadły mu z ręki. *Jej* spodobałyby się one z pewnością, a także króliki skaczące wśród paproci, i sojki

o twardych jak^o stał piórach i czarnych łebkach, i jeże, zwijające się w iglaste kłębki, i duże, mądre żółwie, co chodzą powoli, potrząsając głowami i obgryzując młode liście. Tak, naturalnie, ona musi pójść z nim do lasu i tam się bawić. Odstąpi jej swe łóżeczko i czuwać będzie pod oknem aż do świtu, by dzikie rogate stworzenia nie zrobiły jej nic złego, a chude wilki^o nie zbliżyły się zbyt do chaty. A o świcie zapuka do okiennic i zbudzi ją, a ona wyjdzie do niego i przez cały dzień będą razem tańczyć. Dalibóg, w lesie wcale nie było samotno. Nieraz przejeżdżał biskup na białym mule czytając z pomalowanej księgi. Innym razem, w zielonych aksamitnych czapkach i kaftanach z wyprawionej skóry, przejeżdżali sokołnicy z zakapturzonemi sokołami na ręku. Porą zimową przychodzili ludzie wyciskający winne grona, z purpurowemi rękami i nogami, uwieńczeni lśniącym bluszczem i niosąc wory, ociekające winem, zaś węglarze siedzieli nocą przy swych fajerkach, patrząc jak suche drwa powoli się zwęglają i piekąc kasztany w gorącym popiele, a zbóje wychodzili ze swych pieczar i żartowali z nimi. Raz widział nawet piękną procesję, powoli wspinającą się po drodze pełnej kurzu ku Toledo. Na czele szli mnichy, wdzięcznie śpiewając i niosąc pstre chorągwie i krzyże złociste, a w pośrodku nich kroczyło trzech mężczyzn bosych, w dziwnych żółtych strojach, pomalowanych w cudowne jakieś figury, a w rę-

kach nieśli płonące świece. O! w lesie będzie miała wiele do oglądania, a gdy uczuje znużenie, on jej wyszuka miękką ławeczkę z mchu, lub weźmie na ręce, ponieważ bardzo jest silny, jakkolwiek sam wie, że dużym nie jest wcale. Naszyjnik jej zrobi z leśnych jagód, a będą równie ładne jak te białe co nosiła na sukni, a gdy się jej uprzykrzą, będzie je mogła odrzucić, bo on jej zaraz wyszuka inne. Będzie jej znosił miseczki z żółodzi i tysiące anemonów i drobne robaczki świętojańskie, by niby gwiazdy świeciły w bładem złocie jej włosów.

Ale gdzież ona? Zwrócił się do białej róży, ale mu nie odpowiedziała. Cały pałac zdawał się być pogrążony we śnie, a nawet tam, gdzie okiennice nie były zamknięte, ciężkie zasłony zwisające u okien, nie przepuszczały żaru słonecznego. Chodził wokoło chcąc znaleźć miejsce, którędy mógłby wejść: aż wreszcie odkrył ukryte drzwiczki, na szczęście stojące otworem. Wsunął się niemi i nagle stanął we wspaniałej komnacie, kto wie, czy nie wspanialszej od samego lasu. Było tu wszędzie znacznie więcej złota, a nawet podłoga była z dużych, kolorowych kamieni, ułożonych w kształt figur geometrycznych. Ale małej infantki nie było i tylko kilka białych figur spoglądało na niego z jaspisowych piedestałów swemi smutnemi, martwemi oczyma i z dziwnym uśmiechem na ustach.

Na drugim końcu sali wisiała bogato haftowana kotara z ciężkiego aksamitu, cała zasiana słońcami

i gwiazdami — najulubieńszymi symbolami króla — i koloru najmilszego oczom monarchy. Może ukryła się za tą kotarą? w każdym razie należy spróbować.

Podkraǳ się ostrożnie i odsunął kotarę. To była tylko ǳalsza komnata i jak mu się zǳało, inna od tej, z której wyszedł. Ściany były okryte przeróżnymi zielonemi *arrazzi*, wykonanemi ręczną robotą dywanową, i przedstawiały polowanie. Było to dzieło kilku artystów flamandzkich, którzy nad niem pracowali przeszło siedm lat. Komnatę tę zajmował ongi *Jean le Fou*, ów szalony król, co tak kochał polowanie, że nieraz w bezprzytomnych delirjach usiłował ǳosiadać olbrzymie rumaki, stawiające dęba, by dopęǳić jelenia, na którego skakały już olbrzymie psy gończe i dmąc w róg myśliwski, sztyletem goǳił w przerażone i co tchu zmykające zwierzę. Teraz komnata ta służyła za salę obrad, a na stole leżały czerwone teki ministerjalne, na których wyciśnięte były złote tulipany hiszpańskie, oraz herb i goǳła domu Habsburgów.

Mały karzeł rozglądał się pełen zdumienia, nie mając odwagi iść dalej. Ci ǳiwni milczący rycerze, tak chyżo przemykający przez rozległe polany, bez najmniejszego szmeru ni szelestu — wydali mu się niby owe straszne upiory, o których słyszał od węglarzy, owe okropne *comprachos*, co tylko nocą urządzają sobie polowanie, a gdy spotykają człowieka, zamieniają go w sarnę, którą następnie ścigają. Ale myśl o infantce nowej mu dodała od-

wagi. Ją tylko pragnie odszukać, by jej powiedzieć że i on ją kocha. Może siedzi w sąsiednim pokoju.

Pomknął przez miękkie dywany maurytańskie i otworzył drzwi, Nie! I tam jej nie było. Komnata wspaniała, lecz całkiem pusta. Była to sala tronowa, służąca do przyjmowania obcych ambasadorów, o ile król — co się już od dawna nie zdarzyło — raczył im udzielić audjencji. Ta sama sala, w której przed wielu laty zjawili się posłowie Anglii dla zawarcia układu, dotyczącego małżeństwa swej królowej — naówczas jednej z nielicznych katolickich księżnych Europy — z najstarszym synem cesarza. Tapety były z wyłacanej skóry kordowańskiej, a ciężki, złożony, wieloramienny świecznik na trzysta świec woskowych zwisał od białoczarnego sufitu. Pod olbrzymim baldachimem ze złotego sukna, na którym perłami wyszyte widniały lwy i wieże Kastylii, ustawiony był sam tron, zasłonięty wspaniałą kotarą z czarnego aksamitu, obramowaną srebrnymi tulipanami i lśniącą frendzlą ze srebra i pereł. Na drugim stopniu wiodącym do tronu, umieszczono klęcznik infantki z poduszką ze srebrzystej tkaniny, a nieco na uboczu, poza baldachimem, stało krzesło nuncjusza papieskiego, który sam jeden tylko zażywał przywileju siedzenia w obecności króla podczas wszystkich ceremonij publicznych; tuż obok na purpurowym taburecie spoczywał kapelusz kardynański z szkarłatnemi, poplątanemi kwastami. Na-

przeciw tronu, na ścianie wisiał naturalnych rozmiarów portret Karola V w stroju myśliwskim, z dużym psem u boku, zaś portret Filipa II przyjmującego hołd Niderlandów zajmował średnią część drugiej ściany. Pomiędzy oknami stała tajemna szafa z czarnego hebanu, wykładana taflami z kości słoniowej, na której wyryty był Taniec Śmierci Holbeina — jak niektórzy powiadają, ręką samego mistrza.

Ale mały karzeł nie troszczył się o wszystkie te wspaniałości. Swęj róży nie oddałby za wszystkie perły, zdobiące baldachim; ba, za tron cały nie oddałby ani jednego jej listeczka. Chciał tylko zobaczyć infantkę przed jej wyjściem do namiotu i poprosić ją, by z nim poszła, skoro ukończy taniec. Tu w pałacu, powietrze było duszne i ciężkie, ale w lesie powiewał świeży wiatr, a promienie słońca migocącemi dłońmi rozdzielały drżące liście. Także kwiaty były w lesie, może nie tak cenne jak te w ogrodzie, ale za to słodsza rozsiewająca woń, wczesną wiosną hjacenty, co falującą purpurą wypełniały chłodne parowy i trawą okryte wzgórza; żółte pierwiosnki, w małych kępkach tulące się do zmurszałych korzeni dębów; pstre jasokółcze ziele i błękitny przetacznik, i irysy złote i liljowe. Na leszczynie wisiały szare kocianki, a naparstnik ugiął się pod ciężarem swego nakrapianego kwiecica, wśród którego tak swobodnie gospodarowały pszczoły. Kasztan miał na sobie całe wieżyce białych gwiazd, a na tarninie lśniły blade

cudowne księżycy. Tak, z pewnością, ona z nim pójdzie — oby ją tylko odszukał. Pójdzie z nim do pięknego lasu, a on będzie dla niej tańczył przez cały dzień — aby jej tylko było przyjemnie. Uśmiech rozświetlił mu oczy na samą tę myśl i odważnie przeszedł do komnaty następnej.

Ze wszystkich które widział, komnata ta była najwspanialsza i najpiękniejsza. Ściany okrywał różowy adamaszek o rzadkim deseniu w ptaki i delikatne kwiaty srebrzyste, urządzenie było z masywnego srebra, zdobne w kwietne girlandy i amorki fruwające, przed dwoma dużemi kominkami stały parawany, całe zahaftowane w papugi i pawie, a posadzka z zielonawego onyksu, zdawała się ciągnąć w dał nieprzejrzaną. I nie był tu sam. Ukryty w cieniu drzwi, dostrzegł na drugim końcu komnaty drobną postać, która mu się przyglądała. Serce mu zadrżało w piersi, a z ust wypadł okrzyk radości. Żywo postąpił na środek jasnej komnaty, ale gdy to uczynił, drobna postać też postąpiła ku środkowi, że ją mógł ujrzeć dokładnie.

Infantka! O, był to potwór, najdziwaczniejsza poczwara, jaką kiedykolwiek widział na oczy. Całkiem inaczej zbudowany od reszty ludzi, zgarbiony, o krzywych nogach, potwór ów miał olbrzymią, na dół zwieszoną głowę, okrytą grzywą czarnych włosów. Karzeł zmarszczył brwi, a potwór również zmarszczył brwi. Zaśmiał się, a tamten natychmiast mu zawtórował, tak samo jak on ujmując się pod

boki. Skłonił mu się szydersko, lecz potwór oddał ukłon równie głęboki. Ruszył ku niemu, a tamten także szedł mu naprzeciw, naśladując każdy jego krok i przystając, gdy on przystawał. Rozbawiony wydał okrzyk radości i biegł naprzód, wyciągnąwszy przed siebie rękę. W tem ręka poczwary dotknęła jego ręki, a zimna była jak lód. Trwogą zdjęty, cofnął rękę, a ten sam ruch z błyskawiczną szybkością, wykonała ręka potwora. Próbował iść dalej, ale powstrzymało go coś gładkiego i twardego. Twarz poczwary dotykała teraz jego twarzy i wydawała się jakby strwożona. Odgarnął sobie włosy z czoła — potwór uczynił to samo. Machnął ręką, chcąc go uderzyć — potwór wykonał ten sam ruch. Począł mu się wykrzywiać, lecz tamten również okropne zaczął stroić miny. Cofnął się więc, a potwór także się oddalił.

Co to jest? Na chwilę się zamyślił, powiódł okiem po całej sali. Dziwne, ale wszystko zdawało się mieć swe odbicie w tej niewidzialnej ścianie z przejrzystej wody. Tak, powtarzał się w niej obraz za obrazem, przedmiot za przedmiotem. Śpiący faun przy drzwiach alkowy miał w niej swego śpiącego brata bliźniaczego, a srebrna Wenera w promieniach słońca wyciągała ramię ku Wenerze równie pięknej jak ona sama. Czyżby to było echo? Raz wywołał je w dolinie, a wtedy odpowiadało mu słowo w słowo, co do niego mówił. Czyżby mogło łudzić wzrok, tak samo jak ludzi

słuch? Czyżby zdolne było wytworzyć świat złudny, całkiem podobny do rzeczywistego? Czyżby cienie rzeczy mogły posiadać barwę i ruch i życie? Czyż podobna aby...

Drgnął. Zerwał z piersi cudną białą różę i przycisnął ją do ust. Potwór także miał różę, listek w listek taką samiuteńką jak jego. Tak samo ją całował i przyciskał do piersi wśród strasznych gestów.

Gdy prawda rozświetliła mu mózg, wydał głośny okrzyk rozpacz i z łkaniem padł na podłogę. Więc to on sam był ułomny i garbaty, wstrętny i śmieszny. On sam był potworem i z niego śmiały się dzieci i mała księżniczka, od której oczekiwał miłości — gdy ona szydziła tylko z jego brzydoty i naśmiewała się z jego powykrzywianych członków. Czemu nie pozostawiono go w lesie, gdzie nie było zwierciadła, mogącego mu powiedzieć, jak jest wstrętny! Czemu go ojciec nie zabił, zamiast wydawać na hańbę? Gorące łzy spływały mu po policzkach. W drobne strzępy rozszarpał białą różę. Czołgając się po ziemi poczwara uczyła to samo, odrzucając precz listki białej róży. Pełzała po ziemi, a gdy na nią spojrział, ona też zwróciła ku niemu swą bólem wykrzywioną twarz. Odsunął się, by jej nie widzieć i rękoma zakrył sobie oczy. Jak zranione zwierzę usunął się w ciemny kąt i tam przycupnął, jęcząc.

W tejsze chwili infantka z towarzyszymi i to-

warzyszkami zabawy weszła do komnaty przez otwarte drzwi balkonu. Ujrawszy na ziemi małego karła, z przesadną gestykulacją wymachującego zaciśniętymi pięściami, wszyscy wybuchnęli głośnym, szczęśliwym śmiechem i otoczywszy go kołem, poczęli mu się przyglądać.

— Taniec jego był zabawny — rzekła infantka — ale ta jego gra jeszcze bardziej zajmująca. Gra niemal tak dobrze jak marionetki, tylko nie tak naturalnie. I chłodząc się dużym wachlarzem, poczęła mu bić brawo.

Ale mały karzeł ani raz na nią nie spojrzał, a łkanie jego stawało się z każdą chwilą słabsze i słabsze, aż nagle w dziwny sposób zaczął chwytać powietrze i ręką przycisnął serce. Poczem padł i leżał całkiem cicho.

— Świetnie — rzekła po chwili infantka — ale teraz musisz już dla mnie tańczyć.

— Tak — zawołały za nią dzieci — musisz wstać i tańczyć, bo jesteś tak samo mądry jak małpki berberyjskie, a znacznie śmieszniejszy.

Ale mały karzeł nie dawał odpowiedzi.

Więc infantka tupnęła nóżką i przywołała wuja który z kanclerzem stał na tarasie, odczytując świeże depesze z Meksyku, gdzie niedawno zaprowadzono Świętą Inkwizycję.

— Mój wesoły karzeł coś spochmurniał — zawołała. — Musisz go zbudzić i powiedzieć, że ma teraz tańczyć dla mnie.

Dostojnicy uśmiechnąwszy się do siebie, weszli do sali, a Don Pedro schylił się i haftowaną rękawicą uderzył króla w twarz.

— Masz tańczyć! — zawołał. — Tańczyć potworku! Infantka Hiszpanji i Indji chce się bawić. Ale mały król leżał bez ruchu.

— Posłać po psiarczyka — rzekł Don Pedro znudzony i znów wyszedł na taras. Ale kanclerz przybrał poważną minę i klękąwszy obok małego króla, przyłożył mu rękę do serca. A po chwili wzruszył ramionami, wstał, i składając infantce głęboki ukłon, rzekł:

— *Mi bella Princessa*, komiczny mały król nigdy już nie będzie tańczył. Szkoda, bo taki szkaradny, że nawet króla pobudziłby do śmiechu.

— Ale czemuż nie będzie już tańczył? zaśmiała się infantka.

— Bo serce mu pękło — odparł kanclerz.

Infantka zmarszczyła brew, a jej delikatne różowe usteczka wydeły się powabnym grymasem wzgardy.

— Na przyszłość rozporządźcie, by ci, co się ze mną bawią, nie mieli serc — zawołała, wybierając się do ogrodu.

RYBAK I JEGO DUSZA.

Co wieczora rybak wypływał na morze i zarzucał sieci.

Gdy wiatr dał od lądu, rybak nie mógł nic ułowić, a przynajmniej bardzo niewiele, bo był to wiatr przykry, czarnoskrzydły i niespokojne fale miały się przeciw niemu. Ale gdy wiatr wiał w stronę wybrzeża, ryby wypływały z głębin i wkiwały się w oczkach jego sieci, a on wynosił je na targ i sprzedawał.

Co wieczora wypływał na morze, a jednego wieczora sieci jego były tak ciężkie, że zaledwie zdołał je przywlec do czółna. I zaśmiał się i rzekł do siebie: Zaiste, albo złowiłem wszystkie ryby, jakie tylko pływają po morzu, albo też schwyciłem okropną potworę, która ludzi zadziwi, albo może inne jakieś straszne stworzenie, którego zapragnie wielka królowa. I zebrał wszystkie siły i pociągnął za szorstkie liny, aż na ramionach jego niby błękitna emalia na bronzie, zarysowały się żyły. Ciągnął więc za liny i coraz bliżej przyplływały szeregi płaskich korków, aż nareszcie sieć wypłynęła na powierzchnię.

Ale nie było w niej ryby, ani potwory, ani

żadnego straszego stworzenia, tylko mała, w głębokim śnie pogrążona wodnica.

Włosy jej były wilgotnem złotem runem, a każdy włos z osobna niby niteczka z delikatnego złota w lśniącej łusce. Ciało wyglądało jak biała kość słoniowa, a ogon był ze srebra i pereł. Ze srebra i pereł był jej ogon, a zielone wstężyce morskie wiły się koło niego, jak muszle morskie były jej uszy, a usta jak morskie korale. Zimne fale bryzgały na jej zimne piersi, a sól świeciła na jej powiekach.

Była tak piękna, że młody rybak zdumiał się na jej widok i wyciągnął rękę i bliżej przyciągnął sieci, a pochyliwszy się nad czołnem, wziął ją w swe ramiona. A ona za jego dotknięciem krzyknęła jak spłoszona mewa i spojrzała nań trwożnemi, ametystowemi oczyma malwy, usiłując mu się wymknąć. Ale on silnie ją przygarnął do siebie i nie chciał uwolnić. Widząc więc, że żadną miarą nie zdoła się wyswobodzić, poczęła płakać i rzekła:

— Proszę cię, pozwól mi odejść, gdyż jestem jedyną córką króla, a ojciec mój stary jest i samotny.

Ale młody rybak odpowiedział:

— Nie puszczę cię, dopóki mi nie dasz przyrzeczenia, że ilekroć cię zawołam, przyjdiesz do mnie i będziesz mi śpiewać, gdyż ryby lubią słuchać śpiewu topielic i będą napływać do moich sieci.

— Czy naprawdę pozwolisz mi odejść, gdy ci to przyrzeknę? zawołała wodnica.

— Naprawdę — odparł młody rybak. Dała mu więc przyrzeczenie, którego żądał i zaprzysięgła je przysięgą wodnic. Wtedy on uwolnił ją z uścisku i padła do wody, drżąc trwogą nieznana.

Co wieczora rybak wypływał na morze i przywoływał wodnicę, a ona wyłaniała się z wody i śpiewała mu. A dokoła niej płynęły delfiny. a dzikie mewy okrężały jej głowę.

I śpiewała pieśń cudowną. Śpiewała bowiem o morskich mieszkańcach, przeganiających swe stada od jaskini do jaskini i noszących na ramionach małe cielęta, i o trytonach z długimi, zielonemi brodami i włochatemi piersiami, co dmą na kręconych muszlach, gdy król przechodzi ze swym orszakiem, i o pałacu królewskim z czystego burztynu, a dachem z przezroczystego szmaragdu i posadzkami z lśniących pereł, i o ogrodach morskich, gdzie olbrzymie wachlarze koralowe cały dzień kołyszą się i falują, ryby przemykają jak srebrne ptaszyny, anemony czepiają się raf podwodnych i gwoździki tkwią w żółtym, wzdętym piasku. Śpiewała o ogromnych wielorybach, co nadpływają od mórz północnych, a u dychawek swych wloką ostre lodowce, i o syrenach śpiewających, a tak cudownych, że kupcy woskiem sobie zatykają uszy, aby nic nie słyszeć i nie wpaść do wody, i o zatopionych galerach z wysokimi

masztami, gdzie zmarznięci marynarze czepiają się lin okrętowych, a makrele swobodnie wpływają i wypływają, o małych kaczenicach, co odbywają dalekie podróże i wrzynają się w tramy okrętu i opływają cały świat daleki, i o pławach morskich, co żyją na ścianach ostrych raf i wyciągają swe długie czarne ramiona, sprowadzając noc, kiedy się im podoba. Śpiewała o Nautylusie i jego złotej łódce, rzeźbionej w opalu, a gnanej srebrnymi falami, o szczęśliwych wodnikach, co grają na harfach i w sen pogrążają potworów; o małych dzieciach, łowiących gładkie świnki morskie, by następnie jeździć na ich grzbietach, o wodnicach, co w białej leżąc pianie, wyciągają ramiona ku podróżnym, i o lwach morskich z wykrzywionymi kłami i hipopotanach o rozwianych grzywach.

A gdy śpiewała, z głębin wypływały wszystkie ryby, by nasłuchiwać, a młody rybak zarzucał sieć i chwycił je, w inne godząc oszczepem. A gdy miał łódź pełną, wodnica zanurzała się w morzu i uśmiechała się do niego.

Nigdy jednak nie zbliżyła się o tyle, aby jej mógł dotknąć. Nieraz wołał i prosił, ale była nieubłagana, a gdy ją usiłował pochwycić, dawała nurka jak pies morski i tego dnia nie ukazywała się więcej. I z każdym dniem dźwięk jej głosu stawał się miłszym. Tak mu był miłym, że przy nim zapominał o sieciach i fortelach, wcale się nie troszcząc o rzemiosło. A ryby o czerwonych ple-

twach i złocistych źrenicach gromadnie koło niego przepływały, ale on na nie nie zważał. Oszczep jego leżał na uboczu nietknięty, a kosze z trzciny wyplatane stały puste. Z otwartemi ustami i szeroko bezprzytomnie rozwartemi źrenicami, pociemniałemi ze zdumienia, siedział w czółnie i słuchał, słuchał, aż go mgły morskie omotały, a płynący po niebie księżyc, srebrem powlókł jego brunatne ciało.

A pewnego wieczora przywołał ją do siebie i rzekł:

— Mała wodnico, mała wodnico, ja cię kocham. Pozwól bym został twym narzeczoną, gdyż cię kocham.

Ale wodnica potrząsnęła głową.

— Masz duszę ludzką — odparła. — Gdybyś tylko zechciał oddalić swą duszę, zaraz bym cię pokochała.

A młody rybak rzekł do siebie: Na co mi potrzebna moja dusza? Nie znam jej. Oddalę ją, a wielka radość przypadnie mi w udziale. I okrzyk radości wyrwał mu się z piersi i zerwawszy się w pomałowanym czółnie na równe nogi, wyciągnął ramiona ku wodnicy.

— Oddalę moją duszę — zawołał — i ty zostaniesz moją narzeczoną, a ja twym narzeczoną i razem zamieszkamy w głębi morza, a ty mi pokażesz wszystko, o czem śpiewałaś, a ja uczynię

wszystko co zechcesz i nie rozłączymy się nigdy w życiu.

A mała wodnica zaśmiała się z radości i w rękach ukryła twarz.

— Ale w jaki sposób mam oddalić moją duszę? zapytał młody rybak. — Powiedz mi, jak to uczynić, a natychmiast się stanie.

— Ach, tego ja nie wiem — rzekła mała wodnica. My, wodnicy, nie mamy dusz. I zanurzyła się w głębinie, tęsknem go ścigając spojrzeniem.

.

A nazajutrz wczesnym rankiem, gdy słońce zaledwie na odległość dłoni odpłynęło od wzgórza, młody rybak ruszył ku mieszkaniu księdza, a stanawszy tam, trzykrotnie zapukał do drzwi.

Wikary wyrzwał przez drzwiczki, a zobaczysz, kto przyszedł, odsunął rygiel i rzekł: Wejdz!

A młody rybak wszedł i uklękawszy na wonnem sitowiu, pokrywającym podłogę, zwrócił się do kapłana, co czytał Pismo Święte i zawołał:

— Ojcze, ja kocham wodnicę, a dusza moja przeszkadza mi w zaspokojeniu mych pragnień. Powiedz, w jaki sposób mam oddalić swą duszę, bo zaiste, nie jest mi ona potrzebną. Jakąż wartość posiada dla mnie moja dusza? Nie mogę jej widzieć. Nie mogę jej dotykać. Nie znam jej.

A ksiądz uderzył się w pierś i krzyknął:

— Biada, biada, jesteś szalony, lub poślknąłeś

trujące ziele. Wszak dusza jest najszlachetniejszą częścią człowieka, daną nam przez Boga i służy nam do celów szlachetnych. Niema nic cenniejszego nad duszę ludzką i nic ziemskiego nie jest w stanie jej dorównać. Warta ona więcej od wszystkiego złota, co jest w ziemi i cenniejszą jest od rubinów królewskich. Dlatego, synu mój, nie myśl więcej o tem, gdyż jestto grzech, za który niema przebaczenia. A wodnicy? Toż to stworzenia zgubione, a kto się z niemi wdaje, również będzie zgubiony. Żyją niby te zwierzęta w polu, nie odróżniające dobrego od złego i dla nich Bóg nie skonał na krzyżu.

Oczy młodego rybaka zasłły łzami, gdy usłyszał gorzkie słowa kapłana i wstał z klęczek i rzekł:

— Ojczy, fauny w lesie żyją i weselą się, a na skałach siedzą wodniki z harfami z czerwonego złota. Pozwól mi, proszę, być takim jak oni, gdyż dni ich płyną jakby dni kwiatów. A moja dusza! Na cóż potrzebna mi dusza, jeśli staję pomiędzy mną, a tem, co kocham?

— Miłość cielesna godna jest pogardy — zawołał ksiądz — a pogardy godne i złe są też owe pogańskie istoty, którym Bóg pozwala chodzić po świecie. Przekłète niech będą fauny leśne i przekłète śpiewaki morza! Słyszałem w nocy ich śpiew, gdy próbowali mnie zwabić ku sobie i oderwać od modłów. Pukają do okien mych i śmieją się. Szepcą mi do ucha baśnie o swych zgubnych

rozkoszach. Wabią mnie swemi pokusami, a gdy się chcę modlić — robią szyderskie miny. Zgubione one są, powiadam, zgubione. Nie masz dla nich nieba ni piekła i ani tam, ani tu nie będą słać imienia bożego.

— Ojcie — zawołał młody rybak — nie wiesz, co mówisz. Niegdyś złowiłem w sieci me córkę króla. Piękniejsza jest od jutrzeńki i bielsza od księżycy. Za ciało jej chętnie oddam moją duszę, a dla jej miłości wyrzeknę się nieba. Powiedz, o co cię pytam i pozwól mi odejść w pokój.

— Precz! precz! krzyknął ksiądz. — Zalotnica twa zgubiona, a ty zgubiony będziesz wraz z nią! I nie dał mu błogosławieństwa, lecz odpędził od swych progów.

A młody rybak ruszył ku miastu i szedł powoli, ze zwieszoną głową, jak człowiek, którego żal głęboki przygniata.

A kupcy zobaczywszy go, poczęli szeptać między sobą, a jeden z nich podszedł ku niemu, i zawoławszy nań po imieniu, spytał:

— Co masz do sprzedania?

— Sprzedam ci moją duszę — odparł. — Proszę cię, odkup ją odemnie, gdyż jestem nią znudzony. Naco potrzebna mi moja dusza? Nie mogę jej widzieć. Nie mogę jej dotykać. Nie znam jej.

A kupcy jęli zeń szydzić i pytali:

— Co nam z duszy człowieczej? Nie warta ani jednej srebrnej monety. Sprzedaj nam swe

ciało jako niewolnik, a ustroimy cię w purpurę morza i pierścień włożymy na twój palec i uczynimy cię ulubieńcem wielkiej królowej. Ale nie mów o swej duszy: dla nas nie ma ona żadnego znaczenia i żadnej nie posiada wartości dla naszego interesu.

A młody rybak rzekł do siebie:

— Jakie to dziwne! Ksiądz mi powiada, że dusza warta więcej od wszystkiego złota ziemi, a kupcy powiadają, że nie warta ani jednej srebrnej monety. I odszedł z miasta i ruszył nad morskie wybrzeże, by rozmyślać, co począć.

A koło południa przypomniał sobie, co mu jeden z towarzyszy, wylawiacz kopru morskiego opowiadał o morskiej czarownicy, mieszkającej na drugim końcu zatoki i znającej się na wielu rzeczach. Więc zebrał się by pójść do niej, żądny pozbycia się swej duszy, a tuman kurzu wznosił się dokoła niego, gdy piaskiem biegł wzdłuż wybrzeża. Po swędzeniu ręki czarownica poznała, że przyszedł i zaśmiała się i rozpuściła swe rude włosy. I z opływającym ją długim rudym włosem stała u wniścia jaskini, w ręku trzymając gałąź rozkwitłego szaleju.

— Czego żądasz? Czego żądasz? zawołała, gdy zadyszany wdarł się na wzgórze i przed nią się pochylił. — Czy może ryb do sieci, gdy wiatr nie sprzyja? Mam małą świstawkę, a gdy na niej świsnę, tępogłowy sterują ku zatoce. Ale kosztuje

ona, piękny chłopcze, kosztuje dużo. Czego żądasz? Czego żądasz? Czy może burzy, by rozbiła okręty i na brzeg wyrzuciła skrzynie bogatych kupców? Mam więcej burz w swej mocy, niż wichur, gdyż służę temu, co silniejszy jest od wichru, a sitem i konwią wody mogę największe galary zepchnąć na dno morza. Ale nałożyłam na to cenę, piękny chłopcze, nałożyłam ja cenę. Czego żądasz? Czego żądasz? Znam piękny kwiat w dolinie, nikt go nie zna prócz mnie. Ma liście purpurowe i gwiazdę w sercu, a sok jego bielszy jest od mleka. Jeśli kwiatem tym dotkniesz twardych ust królowej, pójdzie za tobą na koniec świata. Ale ma on swoją cenę, piękny chłopcze, ma swoją cenę. Czego żądasz? Czego żądasz? Mogę w moździerzu potłuc ropuchę i ugotować z niej rosół, a rosół ten mieszać ręką trupa. Skropisz nim swego wroga, gdy zaśnie, a przemieni się w czarną żmiję, że własna matka go uśmierci. Mogę kołem ściągnąć księżyc z nieba i śmierć ci pokazać w kryształ. Czego żądasz? Czego żądasz? Wyjaw mi swe życzenie, a spełnię je, a ty mi zapłacisz, piękny chłopcze, tylko mi zapłacisz!

— Życzenie moje jest skromne — rzekł młody rybak — ale ksiądz się na mnie rozgniewał i wyprzedził. Życzenie moje jest skromne, ale kupcy mnie wyszydzili i odmówili jego spełnienia. Dlatego przyszedłem do ciebie, pomimo że cię ludzie

za złą uważają i jakąkolwiek jest cena przez ciebie naznaczona, ja się na nią zgadzam.

— Czego chcesz? spytała czarownica podchodząc ku niemu.

— Chcę oddalić od siebie swą duszę — odparł młody rybak.

Czarownica zbladła i wzdrygnęła się i ukryła twarz w swym błękitnym płaszczu.

— Piękny chłopcze, piękny chłopcze — mruknęła — to straszne, co chcesz uczynić.

Odrzucił ciemne pukle włosów i zaśmiał się.

— Moja dusza jest dla mnie niczem — odparł. Nie mogę jej widzieć. Nie mogę jej dotykać. Nie znam jej.

— Co mi dasz, jeśli ci poradzę? spytała czarownica, wpatrując się w niego swemi pięknymi oczyma.

— Pięć sztuk złota — odparł — i moje sieci i mój dom wyplatany, gdzie mieszkam i czółno pomalowane, w którym wyjeżdżam na morze. Powiedz mi tylko, w jaki sposób mogę się pozbyć swej duszy, a dam ci wszystko, co posiadam.

Zaśmiała się drwiąco i z lekka uderzyła go gałązką szaleju.

— Mogę liście jesienne zamienić w złoto — rzekła — a z białych promieni księżyca tkać srebrne pasma, skoro zechcę. Ten, któremu służę, bogatszy jest od wszystkich królów świata i ma moc nad wszystkimi ich krajami.

— Cóż ci więc mam dać? zawołał — skoro ceny przez ciebie wyznaczonej nie można pokryć złotem ni srebrem?

Czarownica białą, cienką ręką przesunęła po swych rozpuszczonych włosach.

— Musisz ze mną tańczyć piękny chłopcze — mruknęła z uśmiechem.

— Nic więcej? zawołał młody rybak zdumiony i zerwał się na równe nogi.

— Nic więcej — odparła, znów się doń uśmiechając.

— Więc potańczymy na jakim ustronnem miejscu, po zachodzie słońca — rzekł — a gdy skończymy, powiesz mi, co wiedzieć pragnę.

Potrząsnęła głową.

— Gdy księżyc stanie w pełni, gdy księżyc stanie w pełni — mamrotała. Poczem rozglądnęła się w okół, nadśłuchując. Błękitny ptak z krzykiem zerwał się z gniazda i krążył ponad wydymami piasku, a trzy płamiste ptaki zaszeleściły w twardej, szarej trawie, pogwizdując do siebie. Poza tem żadnego głosu, prócz szmeru fal, toczących się po gładkim żwirze. A ona wyciągnęła rękę, i przygarnęła go do siebie i cienkie wargi zbliżyła do jego ucha.

— Dzisiejszej nocy musisz ze mną pójść na grzbiet wzgórza — szepnęła. — Tam się odbywa sabbat i On przybędzie.

Młody rybak drgnął i spojrzał na nią, a ona pokazała mu białe zęby i zaśmiała się.

— Kto jest ów On, o którym mówisz? spytał.

— To obojętne — odparła. — Przyjdź dzisiejszej nocy i stań pod grabem i czekaj aż przyjdę. Gdy do ciebie przybieży czarny pies, uderz go róższczką czarnoksięską, a odejdzie. Gdy cię zagadnie sowa, nie odpowiadaj. Skoro księżyc stanie w pełni, będę przy tobie i potańczymy na trawie.

— Ale czy przysięgasz, że mi powiesz, w jaki sposób mam oddalić od siebie swą duszę? spytał.

Stała w blaskach słońca, a wiatr igrał w jej rudych włosach.

— Na kopyto kozła przysięgam — odparła.

— Jesteś najlepszą z czarownic — zawołał młody rybak — i dzisiejszej nocy będę z tobą tańczył na grzbiecie wzgórza. Wolałbym wprawdzie, byś była odemnie zażądała złota lub srebra. Ale jakakolwiek jest twa cena, zgadzam się na nią, gdyż jest nieznaczna.

I zdjął przed nią czapkę i głęboko pochylił głowę i napowrót pobiegł do miasta, pełen wielkiej radości.

A czarownica spoglądała za odchodzącym, a gdy jej zniknął z oczu, wróciła do jaskini i z szafki z drzewa cedrowego wyjęła zwierciadło i ustawiła je na sztalugach i spaliła przed niem ziele gołębie, wpatrując się w ulatujące dymy. Po chwili gniewnie zacisnęła pięści.

— Moim być powinien — mruknęła. — Jestem równie piękna, jak ona.

A wieczorem, gdy księżyc wypłynął na niebie, młody rybak ruszył na grzbiet wzgórza i stanął pod gałęziami grabu. Niby tarcza polerowanego srebra świeciła u jego stóp okrągła zatoka morska, a cienie czółen rybackich ustawicznie po niej prze-
mykały. Duża sowa o żółtych oczach koloru siarki, zawołała nań po imieniu, ale jej nie odpowiedział. Czarny pies przybiegł doń, warcząc. Uderzył go róższczęką czarnoksięską i pies uciekł skomląc.

O północy, niby nietoperze olbrzymie, czarownice zatrzepotały w powietrzu. Phun! krzy-
czały, osuwając się na ziemię — jest tu ktoś, kogo nie znamy. I węszyły dokoła, szepcząc między sobą i dając sobie znaki. Ostatnia przyleciała młoda czarownica, a czerwone jej włosy wiatr rozwiewał. Nosila szatę ze złotej tkaniny, haftowaną w pawie oczy, a na głowie miała czapeczkę z zielonego aksamitu.

— Gdzie on? gdzie on? wrzasnęły czarownice, zobaczywszy ją. Ale ona zaśmiała się tylko i po-
biegła w stronę grabu i ujawszy rybaka za rękę, stanęła z nim w promieniach księżyca i poczęła tańczyć.

Wirowali i wirowali wciąż dokoła, a młoda czarownica podskakiwała tak wysoko, że widział szkarłatne obcasy jej trzewików. Wtem w pośród

tańczących rozległ się odgłos galopującego konia, ale konia widać nie było i rybak uczuł trwogę.

— Prędzaj — wołała czarownica, zarzucając mu ramiona na szyję, a oddech jej palił mu twarz. — Prędzaj, prędzaj! wołała, a jemu zdawało się, że ziemia mu wiruje pod stopami i w głowie mu pociemniało, a pierś ścisnęła się trwogą wielką, jakby na niego patrzył jakiś zły duch... Aż wreszcie ujrzał, że w cieniu skały stoi postać, której poprzednio nie było.

Był to mężczyzna, w stroju czarnym aksamitnym, skrojonym podług mody hiszpańskiej. Twarz miał dziwnie bladą, ale usta jego były niby pyszny kwiat purpurowy. Wyglądał na znużonego i wsparłszy się niedbale o zrąb skały, bawił się rękojęścią sztyletu. Obok niego, na trawie, leżał kapelusz zdobny w pióra i para rajtarskich rękawic, obramowanych złotym sznurem i wyszytych perłami w kształt jakiegoś symbolu. Krótki, sobolami podbity płaszczyk opadał mu z ramion, a delikatne, białe ręce świeciły pierścieniami. Ciężkie powieki zsuwały mu się na oczy. Młody rybak wpatrywał się weń, jakby czarem opętany. Wreszcie spojrzenia ich się spotkały i gdziekolwiek później tańczył, zdawało mu się, że spoczywa na nim wzrok tego mężczyzny. Słyszał jak czarownica się zaśmiała, i ująwszy ją w pól, począł z nią wirować jak szalony.

Nagle pies zaszczekał w lesie, a tańczący przy-

stanęli i, parami podszedłszy do mężczyzny, klękali przed nim i całowali go w rękę. A wówczas lekki uśmiech przemykał po jego dumnych ustach, jak skrzydło ptaka muska wodę, wywołując śmiech fali. Ale w tym jego uśmiechu była wzgarda. Ustawicznie wpatrywał się w młodego rybaka.

— Pójdź, złożymy mu hołd — szepnęła czarownica ciągnąc go za rękę, a on uczuł gorącą chęć spełnienia jej życzenia i poszedł za nią. Ale zbliżywszy się do nieznajomego, bezwiednie uczynił na piersi znak krzyża, wymawiając przytem Imię Świete.

A zaledwie to uczynił, czarownice wrzasnęły jak sokoły i rozbiegły się, a blada twarz wpatrnego weń mężczyzny drgnęła skurczem bólu. Odszedł w stronę zarośli i świsnął. W tejże chwili przybiegł doń mały hiszpański konik w srebrnej uprzęży. Wskoczywszy na siodło, odwrócił się i smutne spojrzenie rzucił na młodego rybaka. A czarownica rudowłosa również usiłowała się wymknąć, ale rybak silnie ją pochwycił za rękę i powstrzymał.

— Puść mnie — krzyknęła — i pozwól mi odejść. Wymieniłeś bowiem, czego wymieniać nie należało, i uczyniłeś znak, na który patrzeć nie wolno.

— Nie — odparł. — Nie puszczę cię, dopóki mi nie wyjawisz tajemnicy.

— Jakiej tajemnicy? spytała czarownica, mo-

cując się z nim jak dzika kocica i zagryzając pianą okryte usta.

— Ty wiesz — odparł.

Jej jak trawa zielone źrenice zaciemniły się łzami i rzekła do młodego rybaka:

— Wszystkiego odemnie żądaj, tylko nie tego!

Zaśmiał się i jeszcze silniej chwycił ją za rękę.

A ona widząc, że mu się nie wymknie, szepnęła:

— Jestem równie piękna jak córy morza i tak samo czarująca jak te, co w błękitnej mieszkają toni. I tuląc się doń, przyłożyła swą twarz do jego twarzy.

Ale on gniewnie ją odepchnął i zmarszczywszy brwi rzekł:

— Jeśli nie dotrzymasz obietnicy, którą mi dałaś, zamorduję cię jak fałszywą czarownicę.

Posiniała jak kwiat drzewa Judaszowego i dreszcz ją przebiegł.

— Niechże więc będzie — mruknęła. — Wszak to twoja dusza, a nie moja. Zrób z nią co chcesz. I wyjęła z za paska nożyk oprawny w skórę z zielonej żmiji i podała mu go.

— Do czego mi to ma służyć? spytał zdziwiony.

Milczała parę chwil, a wyraz przestachu odmalował się na jej twarzy. Następnie odgarnęła włosy i z dziwnym uśmiechem mówiła:

— To, co ludzie nazywają cieniem ciała, nie

jest wcale cieniem ciała, lecz ciałem duszy. Stań nad brzegiem zatoki, plecyma zwrócony do księżyca, i dokoła nóg swoich odetnij cień, będący ciałem twojej duszy, poczem rozkaż duszy swej, by cię opuściła, a ona posłucha.

Młody rybak drżał.

— Czy to prawda? mamrotał.

— Prawda, i lepiej byłoby, gdybym ci tego nie była powiedziała — rzekła z płaczem, obejmując jego kolana.

Odsunął ją na bujną trawę i poszedł na skraj wzgórza i, zatknąwszy nóż za pas, począł zstępować ku zatoce.

A dusza, co w nim mieszkała, zawołała nań i rzekła:

— Patrz, byłam u ciebie przez wszystkie te lata i służyłam ci. Nie oddalaj mnie teraz. Bo i cóż ci uczyniłam złego?

A młody rybak się zaśmiał.

— Nic mi nie uczyniłaś złego, ale jesteś mi niepotrzebna. Świat jest wielki i szeroki, i jest na nim niebo i ziemia i ów mroczny dom w pośrodku. Idź, gdzie chcesz, ale mi nie przeszkadzaj, gdyż moja ukochana przywołuje mnie do siebie.

A dusza poczęła go błagać rozpacznie, lecz on, nie zważając na to, skakał ze skały na skałę, bo miał skok pewny jak dzika kozica, aż wreszcie stanął na równinie, nad żółtą zatoką morską.

O brązowych kształtach i jędrnem ciele, niby

statua ręką greka odlana, stał na piasku, plecami do księżyca zwrócony, a z piany morskiej wyłoniły się białe ramiona, wabiąc ku sobie, i z fal wyszły ciemne postacie, hołd mu składając, a poza nim zawisł w powietrzu księżyc barwy miodowej.

A wtedy dusza rzekła doń:

— Jeśli mnie istotnie chcesz od siebie oddalić, to nie wypędzaj mnie bez serca swego. Świat jest okrutny — daj mi serce swe na drogę.

Odrzucił w tył głowę i zaśmiał się.

— Czem kochałbym moją ukochaną, gdybym tobie oddał serce? odparł.

— Ach, miej litość nademną — prosiła dusza. — Daj mi swe serce, bo świat jest okrutny, a ja się boję.

— Serce moje należy do mej ukochanej — odparł — nie zwlekaj przeto i oddał się.

— Czyż ja nie mogę kochać również? spytała dusza.

— Oddał się, gdyż jesteś mi niepotrzebna — krzyknął młody rybak i wyjąwszy nóż oprawny w zieloną skórę żmiji, odciął cień dokoła swych nóg, a cień wstał i stanął przed nim. Wtedy rybak spojrzał nań i zobaczył, że był całkiem podobny do niego.

Cofnął się i wetknął nóż za pas i ogarnęło go uczucie lęku i trwogi.

— Oddał się — mamrotał — i nigdy już nie ukazuj mi swego oblicza.

— Nie, musimy się jeszcze spotkać — rzekła dusza. Głos jej był cichy jak dźwięki fletni, a usta zaledwie się poruszały, gdy mówiła.

— Jakżebyśmy się mieli spotkać? krzyknął młody rybak. — Nie pójdziesz wszak ze mną w morskie głębiny?

— Raz do roku będę tutaj przychodzić i wołać cię po imieniu — rzekła dusza. — Być może, że będę ci potrzebna.

— Nacóż byłabyś mi potrzebna? — Niech jednak będzie, jak powiedziałaś.

I zanurzył się w wodzie, trytony zadęły na swych rogach, a mała wodnica wypłynęła ku niemu na powierzchnię, i objąwszy go ramionami ucałowała w same usta.

A dusza stała na samotnem wybrzeżu i przyglądała się im z daleka. A gdy pogrążyli się w fałach morza, z płaczem odeszła przez bagna.

.....

A gdy rok minął, dusza przyszła nad brzeg morza i zawołała na młodego rybaka, a on wynurzył się z głębin i spytał:

— Czemu mnie wołasz?

A dusza rzekła:

— Przyjdź bliżej, bym mogła z tobą pomówić, gdyż cudowne widziałam rzeczy.

A on przybliżył się i usiadł w płytkiej wodzie i, głowę wsparłszy na rękę, słuchał.

A dusza mówiła doń:

— Kiedy cię opuściłam, ruszyłam w drogę i powędrowałam w stronę Wschodu. Ze Wschodu przychodzi wszystko, co mądre. Sześć dni wędrowałam, a siódmego dnia rankiem, doszłam do wzgórza, leżącego w kraju tatarów. Usiadłam w cieniu tamaryska, by się schronić przed słońcem. Ziemia była wyschła i spalona żarem słonecznym. Ludzie chodzili po równinie tu i owdzie, niby muchy łąjące po płycie gładkiej miedzi.

Koło południa, na skraju płaskowzgórza wzbił się tuman kurzu. Gdy tatarzy to ujrzeni, napięli swe łuki kolorowe, wskoczyli na małe koniki i popędzili w stronę, gdzie się wznosił tuman kurzu. Kobiety z wrzaskiem uciekały na wozy, kryjąc się poza zasłonami ze skór.

O zmierzchu tatarzy wrócili, ale pięciu z nich brakowało, a z tych co wrócili, wielu było rannych. Przyprzęgli konie do wozów i spieszenie odjechali. Trzy szakale wybiegły z jaskini i spoglądały za nimi. Poczem nozdrzami chciwie wciągnęły powietrze i pomknęły w kierunku przeciwnym.

Gdy księżyc wypłynął na niebo, ujrzałam na równinie płonące ognisko i podeszłam ku niemu. Gromada kupców siedziała dokoła, na miękkich kobiercach. Wielbłądy stały przywiązane do pali, a murzyni pełniący służbę rozkładali na piaskach namioty z wygarbowanych skór i wznosili płot wysoki z krzaków ciernistych.

Gdy się do nich zbliżyłam, dowódca karawany powstał, wyciągnął miecz z pochwy i spytał, czego żądam.

Odpowiedziałam, że jestem księciem w mej krainie i właśnie umknęłam tatarom, którzy mnie w jasyr zabrać usiłowali. Dowódca się uśmiechnął, ukazując mi pięć głów, zatkniętych na długich źerdziach bambusowych.

Następnie zapytał, kto jest prorokiem bożym, a ja odparłam, że Mahomet.

Usłyszawszy imię fałszywego proroka, pochylił się, ujął mnie za rękę i posadził obok siebie. Jeden z murzynów przyniósł mi końskiego mleka w misie drewnianej i kawał pieczonej baraniny.

Świtem ruszyliśmy w dalszą drogę. Ja jechałam na dużym wielbłądzie obok dowódcy, a ciura biegł przed nami, niosąc oszczep. Po obu stronach drogi kroczyli zbrojni mężowie, a za nimi muły ciągnęły wozy z towarami. W karawanie było czterdzieści wielbłądów, a liczba mułów wynosiła dwa razy po czterdzieści sztuk.

Z kraju tatarów przyszliśmy do ziemi tych, co złorzeczą księżycowi. Widzieliśmy gryfy na białych skałach, jak strzegły swego złota, i łuską okryte węże, śpiące w swych pieczarach. Przechodząc przez góry wstrzymywaliśmy oddech, aby śnieg na nas nie runął, i każdy z nas zasłoną gazową przesłaniał sobie oczy. Przechodząc przez doliny, widzieliśmy skierowane na nas strzały pigmejczy-

ków, co ukryci w wydrążonych drzewach powoli w nas celowali, a. w nocy słyszeliśmy, jak dzicy bili w bębny. A przyszedłszy do wieży małp, uraczyliśmy je owocami, i nie uczyniły nam nic złego. Przybywszy do wieży węzów, podaliśmy im ciepłego mleka w ciepłych czarach, i pozwoliły nam przejść spokojnie. Trzykrotnie w ciągu podróży doszliśmy do brzegów Oxosu. Przeprawiliśmy się na drewnianych tratwach z dużemi, powietrzem napełnionemi pęcherzami ze skór. Hipopotamy rzuciły się z wściekłością i chciały nas zabić. Na ich widok wielbłądy drżały ze strachu.

Królowie wszystkich miast nakładali nam wysokie cła, ale nie pozwalali nam przekroczyć bram swych grodów. Przez mury rzucali nam chleb, małe pierniki z kukurydzy pieczone z miodem i ciastka z białej mąki, napełniane daktylami. Za sto koszy żywności dawaliśmy jeden koral bursztynu.

Mieszkańcy wsi, widząc nas nadchodzących, zatruwali studnie i uciekali w góry. Walczyliśmy z Magadami, co rodząc się starcami, z roku na rok młodzieją i umierają jako dzieci, i z Laktami uważającymi się za synów tygrysów i malującymi swe ciało na żółto i czarno, i z Durantami, co zmarłych swych chowają na wierzchołkach drzew, a mieszkają w ciemnych jaskiniach, z obawy aby słońce, będące ich bóstwem, nie uśmierciło ich swym gromem, i z Krymnejczykami, co ubóstwiają

krokodyla i karmią go masłem i żywym drobiem, i z Agazombami o psich mordach, i z Sybirami co mają końskie kopyta i szybciej biegną niż konie, Trzecia część naszego orszaku padła w walce, a trzecia zginęła z niedostatku. Pozostali szemrali przeciwko mnie, twierdząc, że ja im przyniosłam nieszczęście. Wyjęłam tedy z pod kamienia żmiję i pozwoliłam się jej ukąsić. A gdy ujrzeli, że nie zachorowałam, zdjęło ich przerażenie.

Czwartego miesiąca dotarliśmy do miasta Illetu. Noc była, gdy stanęliśmy koło gaju, otaczającego miasto. Powietrze było duszne, gdyż księżyc stał w znaku skorpiona. Zrywaliśmy z drzew owoce granatu, rozłamywaliśmy je i pili ich słodki sok. Następnie ułożyliśmy się na kobiercach, czekając świtu.

O świcie powstawszy, zapukaliśmy do bram miasta. Były z czerwonego bronzu, a morskie potwory i ptaki skrzydlate odlane były na ich powierzchni. Straże, czuwające na wałach, zapytały, czego żądamy. Tłómacz karawany odpowiedział, że przybywamy z wyspy syryjskiej i przywozimy mnóstwo towarów. Zabrali zakładników i kazali nam czekać do południa, przyrzekając, że wtedy otworzą nam bramy.

W południe istotnie otworzono nam bramy, a gdy je przekroczyliśmy, ludność tłumnie wybiegła z domów, a wywoływacz przebiegał całe miasto, trąbiąc na muszli. Stanęliśmy na targowi-

sku, a murzyni poczęli odwiązywać paki pstrych chust i otwierać rzeźbione skrzynie z drzewa sykomy. A gdy się z tem załatwili, kupcy jęli wydobywać swe egzotyczne towary, woskowane płótna egipskie i malowane płótna z kraju Etjopów. Purpurowe gąbki z Tyru i błękitne tapety z Sydonu, czary z chłodnej kości słoniowej i delikatne naczynia ze szkła i rzadkie wyroby z gliny. Z dachu jednego z domostw obserwowała nas gromada kobiet. Jedna z nich nosiła maskę z wyzłacanej skóry.

I pierwszego dnia przyszli kapłani i zamienili się z nami na towary, a drugiego dnia przyszli szlachcice, a trzeciego przyszli rzemieślnicy i niewolnicy. Bo taki jest zwyczaj i tak postępuje się z wszystkimi kupcami, dopóki bawią w mieście.

I pozostaliśmy tam przez cały miesiąc, a gdy księżyc zaczął ubywać, uczułam się znużoną i, ruszywszy przez ulice miasta, zaszłam do ogrodu ich boga. Kapłani w żółtych szatach w milczeniu przechadzali się pośród zieleni drzew, a na podmurowaniu z czarnego marmuru stał różowy dom, w którym bóg miał swą siedzibę. Drzwi jego okryte były pyłem laku, a na nich błyszczącym złotem wyryte widniały byki i pawie. Cegła na dachu była z zielonej porcelany koloru morza, a w okół biegnące rynny obwieszane były dzwoneczkami. Białe gołębie przelatując, skrzydłami muskały dzwoneczki i wydobywały z nich srebrne dźwięki.

Przed świątynią lśnił basen czystej wody, wyłożony żyłkowanym onyksiem. Położyłam się obok niego i blademi palcami dotknęłam szerokich liści z onyksu. Jeden z kapłanów zbliżył się i stanął za mną. Na nogach miał sandały, jeden z miękkiej skóry węża, drugi z piór ptasich. A na głowie nosił czapkę z miękkiego filcu, ozdobioną srebrnymi księżycami. Siedmiu żółtymi odcieniami mieniła się jego szata, a kędzierzawe włosy posypane były antymonem.

Po chwili przemówił do mnie, pytając, czego żądam.

Odpowiedziałam, że pragnę zobaczyć boga.

— Bóg jest na polowaniu — rzekł kapłan, bystro na mnie spoglądając swemi małemi skośnemi oczkami.

— Powiedz mi, w którym lesie poluje, a przyłączę się do niego — odparłam.

Długimi, spiczastemi paznogciami cesał miękkie frendzle swej szaty. — Bóg śpi — mruknął.

— Powiedz mi, na którym łożu, a będę przy nim czuwać — odparłam.

— Bóg jest przy uczcie — zawołał.

— Jeśli wino jest słodkie, napiję się z nim, a jeśli jest kwaśne, to również się z nim napiję — brzmiała moja odpowiedź.

Pochylił głowę zdziwiony i, ujawszy mnie za rękę, zaprowadził do świątyni.

I w pierwszej komnacie zobaczyłam bóstwo,

siedzące na tronie z jaspisu, wysadzany perłami ze Wschodu. Bóstwo było wyrzeźbione z hebanu i miało postać mężczyzny. Na czole jego płonął rubin, a gęsta oliwa kroplami spływała mu z włosów na nogi. Stopy miał czerwone od krwi świeżo zabitego jagnięcia, a lędźwie opasywał pas miedziany, błyszczący siedmiu beryłami.

I zapytałam kapłana: — Czy to jest bóg? A on odparł. — Tak, to jest bóg.

— Pokaż mi boga — krzyknęłam — inaczej zabiję cię, zaprawdę. I dotknęłam jego ręki która zwisała bezwładnie.

A kapłan począł błagać: — Niechaj pan mój uzdrowi sługę swego, a natychmiast pokażę mu boga.

Tedy oddechem swym wionęłam mu na rękę, która znów odzyskała władzę, a on drżąc wprowadził mnie do drugiej komnaty, gdzie ujrzałam bóstwo na cokóle z nefrytów, zdobnym w olbrzymie szmaragdy. Bóstwo było wyrzeźbione z kości słoniowej, a postacią dwa razy przewyższało zwykłego człowieka. Na czole jego błyszczał chryzolit, a piersi miał natarte myszką i cynamonem. Jedną ręką bóg ujmował krzywe berło z nefrytów, a drugą krągły kryształ. Obuwie miał ze spiżu, a dokoła grubej szyi girlandę z salenitów.

A ja spytałam kapłana: — Czy to jest Bóg? A on odparł. — Tak, to jest bóg.

— Pokaż mi boga — krzyknęłam — inaczej zabiję cię, zaprawdę.

I dotknęłam jego oczu, a one oślepy. Zás kapłan począł błagać. — Niechaj pan mój uzdrowi swego sługę, a natychmiast pokażę mu boga.

Wtedy oddechem swym wionęłam mu na oczy, które znów przejrzały, a on zadrżał i wprowadził mnie do trzeciej komnaty, i patrz! nie było tam żadnego bóstwa, ni obrazu, tylko krągłe zwierciadło metalowe na ołtarzu kamiennym.

A ja spytałam kapłana: — Gdzież jest bóg?

A on odparł: — Nie mamy innego boga, prócz tego zwierciadła, które widzisz, gdyż jest to zwierciadło Mądrości. I odzwierciedla wszystkie przedmioty na ziemi i w niebie, z wyjątkiem twarzy człowieka, który w nie spogląda. Tej nie odzwierciedla, zatem ten, kto w nie spogląda, może być mądrym. Istnieje mnóstwo innych zwierciadeł, ale są to zwierciadła sądów ludzkich. To jedno tylko jest zwierciadłem mądrości. A ci, co zwierciadło to posiadają, wiedzą wszystko, i nic nie jest dla nich ukrytem. A ci, co go nie posiadają, nie znają też Mądrości. Dlatego jest ono naszym bogiem, i cześć mu oddajemy.

A ja spojrzałam w zwierciadło i przekonałam się, że jest tak, jak powiedział.

I zrobiłam coś dziwnego, ale co zrobiłam jest obojętne, gdyż w dolinie, oddalonej stąd tylko o jeden dzień podróży, ukryłam zwierciadło Mą-

drości. Wpuść mnie tylko napowrót i pozwól bym ci nadal służyła, a będziesz mędrszy od wszystkich mędrców i wszystka Mądrość stanie się twoją. Tylko mnie przyjm napowrót, a nikt nie będzie tak mądry, jak ty.

Ale młody rybak się zaśmiał.

— Miłość lepsza jest od Mądrości — zawołał — a młoda wodnica mnie kocha.

— Nie, nie masz nic lepszego nad Mądrość — rzekła dusza.

— Miłość jest lepsza — odparł młody rybak i zanurzył się w morskich głębiach, a dusza płacząc odeszła poprzez bagna.

.
A gdy drugi rok minął, dusza przybyła nad wybrzeże i zawołała na młodego rybaka, a on wynurzył się na powierzchnię i rzekł:

— Czemu mnie przywołujesz?

A dusza odparła:

— Zbliź się, bym mogła z tobą pomówić, gdyż cudowne widziałam rzeczy.

A on zbliżył się i usiadł w płytkiej wodzie i głowę wsparłszy na rękę, słuchał.

A dusza mówiła:

— Gdy się z tobą rozstałam. zwróciłam się ku Południowi, wędrując dniem i nocą. Z południa pochodzi wszystko, co jest cenne. Sześć dni wędrowałam drogami wiodącymi do miasta Aster,

czerwonemi, pełnemi kurzu drogami, któremi zwykli chadzać pielgrzymi, dążyłam tamże, a siódmego dnia, rankiem, podniosłam wzrok, i patrz! u stóp mych leżało miasto, górujące nad doliną.

Dziewięć bram wiedzie do tego miasta, a przed każdą z bram stoi koń bronzowy, który rży, gdy beduini z gór zbliżają się do grodu. Mury, okryte są miedzią, a wieże strażnicze na murach — spiżem. W każdej wieży stoi łucznik z łukiem w ręku. O wschodzie słońca uderza strzałą w cymbały, a o zachodzie dmie w róg.

Gdy chciałam wejść, strażę mnie powstrzymały, pytając kim jestem. Odpowiedziałam, że jestem derwiszem, zdążającym do Mekki, gdzie znajduje się zielona zasłona, na której ręką anioła srebrnemi literami wyszyty widnieje ustęp z Koranu. Zdumienie ich ogarnęło i poprosili mnie, bym weszła.

A wewnątrz wyglądało jak w bazarze. Szkoda, że nie byłeś tam ze mną. W wąskich uliczkach fruwają różnokolorowe latarnie papierowe, niby duże motyle. Gdy wiatr wieje ponad dachami, unoszą się i opadają, jak pstre bańki mydlane. Przed swemi budkami kupcy siedzą na jedwabnych kobiercach. Mają długie, czarne brody, a turbany ich okryte są złotemi cekinami. Długie łańcuchy z rżniętych pestek brzoskwiniowych i bursztynu przesuwają się przez ich chłodne palce. Niektórzy z nich sprzedają galbanum i narduszeki i rzadkie wonności z wysp morza indyjskiego i gęste olejki

różane i mirty i małe gwoździki. Gdy się na chwilę przystaje, by z nimi mówić, rzucają na fajerki drobne kawałki kadzidła i słodkim aromatem napełniają powietrze. Widziałam syryjczyka, który w rękę trzymał cienką różeczkę w kształcie trzciny. Unosiły się z niej szare pasemka dymu, a w miarę jak się spalała, wydawała woń oszałamiającą, podobną do woni kwiecia migdałowego na wiosnę. Inni sprzedają srebrne branzolety, wysadzone dookoła mleczno-błękitnymi turkusami, i spiżowe pierścienie na nogi, obszyte drobnymi perełkami, i pazury tygrysie oprawne w złoto, jak również pazury złoto-żółtego kota, lamparta, i kolczyki z wydrążonych szmaragdów i naparstki z nefrytów. Z herbaciarni dochodzą tony gitary, a palacze opjum białymi uśmiechniętymi twarzami patrzą na przechodniów.

Zaprawdę, szkoda, że ty nie byłeś ze mną. Winiarze z ogromnemi czarnemi worami na ramionach, torują sobie drogę przez tłumy. Po największej części sprzedają oni wino z Sziraz, słodkie jak miód. Podają je w małych czarkach metalowych, sypiąc na wierzch płateczki różane. Na targowicy handlarze sprzedawali wszelkiego rodzaju owoce: dojrzałe figi o miękkim miąższu purpurowym, melony, co wonią przypominają piżmo i żółte są jak topazy, cytryny i różowe jabłuszka i grona białe i ciemne, krągłe, czerwono-żółte pomarańcze i podługne cytryny z zielonawego złota. Raz wi-

działam przechodzącego ulicą słoniu. Trąbę miał pomalowaną na żółto i czerwono, a nad uszami nosił siatkę z czerwonego jedwabnego sznurka. Zatrzymał się przed jedną z budek i zaczął zjadać pomarańcze, a obecni śmiali się w głos. Nie możesz sobie wyobrazić, co to za dziwny naród. Gdy są weseli, idą do ptasznika i kupują ptaka w klatce, którego następnie puszczaają na wolność, gwoli zwiększeniu swej radości, a gdy są smutni, biczą się cierniami, by nie umniejszać bólu.

Pewnego wieczora napotkałam murzynów, niosących ciężką lektykę. Była ze złożonego bambusa, o drążkach z czerwonego laku, wyłożonych pawiami ze spiżu. Okna były przesłonięte przezroczystymi firankami z muszlinu, na których, drobnymi perełkami wyszyte, lśniły skrzydła chrabąszczy. Gdy przechodzili koło mnie, z wnętrza wyrzała blada czerkieska, darząc mnie uśmiechem. Ruszyłam za nimi, a murzyni przyspieszyli kroku, rzucając mi ponure spojrzenia. Ale ja nie zwracałam na to uwagi. Zdjęła mnie ogromna ciekawość.

Nareszcie zatrzymali się przed białym czworokątnym domem. Dom ten nie miał wcale okien, tylko małe drzwiczki, niby otwór grobu. Postawili lektykę na ziemi i trzykrotnie zapukali mosiężnym młotkiem. Armeńczyk w kaftanie z zielonej skóry wyrzwał z wnętrza, a zobaczywszy ich, otworzył drzwi i dywan rozłożył na ziemi, a wtedy kobieta wysiadła z lektyki. Wchodząc do domu, obejrzała

się, znów mnie darząc uśmiechem. Nigdy nie widziałam twarzy równie bladej.

Gdy księżyc wypłynął na niebo, wróciłam na to samo miejsce, by odszukać ów dom. Ale go już nie było. Zobaczywszy to, domyśliłam się już, kto była ta kobieta, i dlaczego się do mnie uśmiechała. Zaprawdę, szkoda, że nie byłeś wtedy ze mną.

W święto nowiu młody cesarz przybył ze swego pałacu do meczetu, by odmówić modlitwy. Włosy i brodę miał pomalowane liściem różanym, a policzki obsypane drobnym pyłkiem złotym. Dłonie i stopy żółte były od szafranu.

O wschodzie słońca wychodził ze swego pałacu w szacie srebrzystej, a o zachodzie wracał w szacie ze złota. Lud padał przed nim na ziemię, kryjąc twarze w dłoniach, ale ja tego nie czyniłam. Stałam koło budki z daktylami, czekając. Cesarz zobaczywszy mnie, ściągnął swe pomalowane brwi i przystanął. Pozostałam całkiem spokojna i nie złożyłam mu hołdu. Obecni, zdumieni moją śmiałością, radzili mi, bym coprędzej umknęła z miasta. Ale ja, nie zwracając na nich uwagi, siadłam koło przekupniów obcych bogów, pogardzanych z powodu swego rzemiosła. Gdy im opowiedziałam, co zrobiłam, każdy z nich dał mi jednego boga, prosząc, bym odeszła.

W nocy leżałam na poduszkach w herbaciarni na rogu ulicy granatów, w tem weszły strażę cesarskie i zabrały mnie do pałacu. Gdy weszłam,

zamknęli za mną wszystkie drzwi i obwiedli je łańcuchami. W pośrodku było wielkie podwórze otoczone kolumnadą. Mury były z białego alabastru, wykładanego tu i owdzie zielonemi i błękitnemi ceglami. Słupy z zielonego marmuru, a posadzka z brzoskwiniowego. Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś równie wspaniałego.

Gdy przechodziłam przez podwórze, z balkonu spoglądały dwie kobiety w zasłonach, złorzecząc mi. Straże biegły naprzód, a końce ich lanc dzwoniły o lśniący bruk. Otworzyli drzwi z rzeźbionej kości słoniowej, i znalazłam się w obficie nawodnionym ogrodzie o siedmiu tarasach. Zasadzony był tulipanami i makami i srebrzystymi aloesami. Niby smukła trzcina z kryształu, zawisł w mrocznej atmosferze promień wodospadu. Cyprysy robiły wrażenie zgastych pochodni. Na jednym z nich śpiewał słowik.

U końca ogrodu wznosił się mały namiot. Gdyśmy się zbliżyli, podeszło ku nam dwóch eunuchów. Tłuste ich cielska kołysały się za każdym krokiem, a małe oczka o żółtych powiekach przyglądały mi się z ciekawością. Jeden z nich, odprowadziwszy na bok kapitana straży, szeptał z nim tajemniczo. Drugi tymczasem spożywał pachnące pastylki, przesadnym ruchem wydobywając je z dłużnego emaljowanego pudełeczka, koloru fiołków.

Po kilku chwilach kapitan oddalił żołnierzy. Wrócili do pałacu, za nimi powoli ruszyli eunuchy,

zrywając po drodze słodkie morwy. Raz starszy z nich obejrzał się za mną, złośliwie się uśmiechając.

A kapitan straży skinął, bym się zbliżyła do wnijscia namiotu. Podeszłam bez trwogi, odchyliłam ciężką zasłonę i weszłam.

Młody cesarz leżał na posłaniu z lwich skór farbowanych, a sokół siedział na jego w pięść ściśniętej ręce. Za nim stał nubijczyk w turbanie ze spiżu, obnażony aż po lędźwie, a ciężkie kolczyki zwisały mu od przeciętych uszu. Na stole, obok łoża leżała olbrzymia krzywa szabla ze stali.

Zobaczywszy mnie, cesarz zmarszczył czoło i spytał:

— Kto jesteś? Czy nie wiesz, że jestem monarchą tego miasta?

Nie dawałam odpowiedzi.

Palcem wskazał szablę, a nubijczyk chwycił ją i ugodził we mnie z wielkim rozmachem. Klinga przeszła nawskroś, nie zadawszy mi najłżejszej rany. Nubijczyk drżąc całym ciałem, padł na ziemię, a gdy się podniósł, zęby mu szczękały ze strachu, i ukrył się za posłaniem.

Cesarz zerwał się i, chwyciwszy stojącą obok lancę, rzucił nią za mną. Pochwyciłam ją w locie i przełamalam na dwie części. Godził we mnie strzałą, lecz podniosłam ręce do góry, i strzała zawisała w powietrzu. Wtedy z za pasa z białej skóry wyciągnął sztylet i wbił go w szyję nubij-

czyka, by nie opowiadał o jego hańbie. Niewolnik wił się jak wąż zdeптany i czerwona piana okryła mu usta.

Gdy skonał, cesarz zwrócił się do mnie, a otarłszy chusteczką z haftowanej purpury kroplisty pot z czoła, rzekł:

— Żali jesteś prorokiem, że cię nie mogę zabić? Proszę cię, opuść miasto moje nocą, bo dopóki ty w niem bawisz, ja nie mogę być jego władcą.

A ja odpowiedziałam:

— Odejdę stąd za połowę twego skarbcza. Oddaj mi połowę twego skarbcza, a odejdę.

Ujął mnie za rękę i wyprowadził do ogrodu. Kapitan straży zobaczywszy mnie, osłupiał. A eunuchom na mój widok ugięły się kolana, i padli na ziemię, pełni trwogi.

W pałacu cesarskim jest komnata o ośmiu ścianach z czerwonego porfiru i suficie z łuski spiżowej, od którego zwisają lampy. Cesarz dotknął jednej z ścian, i otworzyła się, a my wyszliśmy na korytarz, oświetlony mnóstwem pochodni. W niszach po obu stronach stały duże puławy, aż po brzegi napełnione srebrną monetą. Gdy stanęliśmy na środku korytarza, cesarz wymówił słowo, którego wymawiać nie należy, a wtedy, tajemną sprężyną poruszane, rozwarły się drzwi z granitu, a on dłońmi przesłonił oczy, by go nie raził nadmiar blasku.

Nie możesz sobie wyobrazić, jak cudowną była owa komnata. Dokoła migotały duże muszle napełnione perłami i wydrążone kamienie księżycowe, pełne czerwonych rubinów. Złoto przechowane było w kufrach ze skór słoni, a złoty pyłek w worach skórzanych. To znów lśniły opale i szafiry, jedne w czarach kryształowych, drugie w wazach z nefrytów. Kragłe, zielone szmaragdy były ułożone na przezroczystych tablicach z kości słoniowej, a po kątach piętrzyły się torby jedwabne pełne turkusów i beryli. Rogi z kości słoniowej błyszczały i płonęły purpurą ametystów, a rogi z kruszcu — chalcedonami i sardami. Kolumny z drzewa cedrowego skowane były łańcuchami z żółtych bursztynów. W płaskich, owalnych sztytach płonęły karbunkuły koloru wina lub trawy. A to wszystko stanowi zaledwie dziesiątą część tego, co tam widziałam.

A cesarz, odjąwszy ręce od oczu, rzekł do mnie:

— Oto mój skarbiec, a połowa z niego należy do ciebie, jak ci przyobiecałem. I dam ci całe stado wielbłądów i poganiaczy, co usłuchają twego rozkazu i odwiozą ci twoją część skarbcza, dokądkolwiek zechcesz. Tylko niech się to stanie dzisiejszego wieczora, gdyż nie chcę, aby słońce, będące mym ojcem, widziało, że w mieście mojem bawi człowiek, którego nie mogę zabić.

Ale ja odparłam:

— To złoto tu nagromadzone należy do ciebie, a także srebro i kosztowne klejnoty i wszystkie te drogocenne przedmioty tobie pozostawię. Ja — ja nic z nich nie potrzebuję. I nic nie przyjmę od ciebie prócz małego pierścionka, który nosisz na palcu.

A cesarz zmarszczył czoło i rzekł:

— Wszak to pierścionek z ołowiu i żadnej niema wartości. Weź przeto połowę skarbca i opuść moje miasto.

— Nie — odparłam — niczego bowiem nie pragnę oprócz tego pierścionka z ołowiu, bo wiem, co na nim napisane i do jakiego służy celu.

A cesarz drżąc, mówił błagalnie:

— Zabierz cały mój skarbiec i opuść to miasto. Połowa, która do mnie należy, niech także będzie twoją.

I uczyniłam wtedy coś dziwnego, ale co uczyniłam jest obojętnem, gdyż w jaskini oddalonej stąd tylko o jeden dzień drogi, ukryłam pierścień bogactwa. Jaskinia oddalona tylko o jeden dzień drogi, i pierścień czeka na ciebie. Kto pierścień ten posiada, bogatszym jest od wszystkich królów świata. Chodź więc ze mną i weź go, a skarby całego świata staną się twemi.

Ale młody rybak się zaśmiał.

— Miłość lepsza jest od bogactwa — zawołał — a mała wodnica mnie kocha.

— Nie, niemasz nic lepszego nad bogactwo — odparła dusza.

— Miłość jest lepsza — rzekł młody rybak, zanurzając się w morskich głębinach, a dusza z płaczem odeszła poprzez bagna.

.....
A gdy trzeci rok minął, dusza przyszła nad wybrzeże i zawołała na młodego rybaka, a on wynurzył się na powierzchnię i spytał:

— Czemu mnie wołasz?

A dusza odparła:

— Przybliź się, bym mogła z tobą mówić, gdyż cudowne widziałam rzeczy.

A on zbliżył się i usiadł w płytkiej wodzie i, wsparłszy głowę na rękę, słuchał.

A dusza mówiła doń:

— W mieście, o którym wiem, stoi hotel nad brzegiem rzeki. Siedziałam tam z marynarzami którzy pili wina dwojakie, odmiennego koloru i jedli chleb jęczmienny i słone rybki z octem, podawane na listkach laurowych. A kiedy siedzieliśmy, weseląc się wzajem, podszedł ku nam starzec, niosąc dywan skórzany i lutnię o dwóch rogach z bursztynu. A rozścieliwszy dywan na podłodze, sprężyną poruszył struny lutni, a wtedy wbiegła dziewczyna z zasłoniętą twarzą i zaczęła przed nami tańczyć. Twarz miała szczelnie osłoniętą welonem gazowym, ale nogi jej były całkiem obnażone. Obnażone były jej nogi, poruszające się po dywanie

jak białe gołąbki. Nigdy nie widziałam czegoś równie cudownego. a miasto, gdzie ona tańczy, oddalone jest stąd tylko o jeden dzień drogi.

A rybak wsłuchując się w opowiadanie swej duszy, myślał, że wodnica niema nóg i nie umie tańczyć. I gorące uczuł pragnienie i rzekł do siebie: — Wszak to tylko jeden dzień drogi, i mogę wrócić do mej ukochanej. I zaśmiał się i powstał w płytkiej wodzie i wyszedł na brzeg.

A stanąwszy na lądzie, znów się zaśmiał i wyciągnął ramiona ku swej duszy. A ona wydała okrzyk radości i podbiegła i weszła w niego, a rybak ujrzał na piasku cień ciała, będącego ciałem duszy.

A dusza rzekła doń:

— Nie zwlekajmy, lecz zaraz ruszajmy w drogę, albowiem bogowie morza są zawistni i mają potwory, posłuszne ich rozkazom.

Więc pospieszyli się i wędrowali całą noc w blaskach księżyca i wędrowali dzień cały w żarze słonecznym, a wieczorem przybyli do miasta.

A młody rybak rzekł do swej duszy:

— Czy to jest owe miasto, gdzie tańczy dziewczyna, o której mi mówiłaś?

A dusza odparła:

— Nie owe to miasto, lecz inne. Mimo to, wejdźmy.

I weszli do miasta i szli ulicami, a gdy weszli w ulicę jubilerską, młody rybak ujrzał na wystawie

piękną czarę srebrną. A dusza rzekła doń: — Weź srebrną czarę i ukryj ją. I wziął srebrną czarę i ukrył ją w fałdach swej szaty, poczem spiesźnie uciekli z miasta.

A gdy uszli całą milę, młody rybak zmarszczył czoło i rzekł do swej duszy: — Czemu kazałaś mi wziąć tę czarę i ukryć? To był czyn zły.

Ale dusza odparła: — Bądź spokojny, bądź spokojny.

A wieczorem dnia następnego przyszli do miasta i młody rybak zwrócił się do swej duszy:

— Czy to jest owe miasto, gdzie tańczy dziewczyna, o której mi mówiłaś?

A dusza odparła:

— Nie owe to miasto, lecz inne. Mimo to, wejdźmy.

I weszli do miasta i szli ulicami, a gdy weszli w ulicę, gdzie sprzedają sandały, młody rybak zobaczył dziecko, stojące obok dzbana z wodą. A dusza rzekła do niego: — Uderz to dziecko. I uderzył dziecko, które zaczęło płakać, poczem spiesźnie uciekli z miasta.

A gdy uszli całą milę, młody rybak rozgniewał się i rzekł do swej duszy: — Czemu kazałaś mi bić to dziecko? To był czyn zły.

Ale dusza odparła: — Bądź spokojny, bądź spokojny.

A wieczorem dnia trzeciego przybyli do miasta, i młody rybak zwrócił się do swej duszy:

— Czy to jest owe miasto, gdzie tańczy dziewczyna, o której mi mówiłaś?

A dusza odparła:

— Być może, że to jest owe miasto: wejdźmy przeto.

I weszli do miasta i szli ulicami, ale nigdzie młody rybak nie mógł znaleźć rzeki, ni hotelu, położonego nad jej brzegiem. A mieszkańcy miasta przyglądali mu się z ciekawością, a on uczuł trwogę i rzekł do swej duszy: — Odejdźmy stąd, gdyż niema tu tej, co tańczy białemi nóżkami.

Ale dusza odparła:

— Nie, zostanmy, gdyż noc jest ciemna i zbóje mogą czyhać na drodze.

Usiadł więc na placu targowym i wypoczywał, a po chwili nadszedł kupiec w płaszczu z sukna tatarskiego, niosąc na sękatej trzcinie latarnię z wydrażonego rogu. I kupiec rzekł doń: — Czemu tu siedzisz na targowicy, skoro kramy zamknięte, a towary zapakowane?

A młody rybak odparł:

— Nie mogę w mieście tem znaleźć hotelu, a nie mam krewnego, któryby mi użyczył gościny.

— Czyż nie jesteśmy wszyscy braćmi? spytał kupiec. — I czy nie stworzył nas jeden Bóg? Chodź przeto ze mną, gdyż ja mam pokój dla gości.

I młody rybak wstał i poszedł z kupcem do jego domu. A gdy przez ogród pełen drzew granatowych dostali się do domu, kupiec przyniósł

mu w miedzianej misie wody różanej do obmycia rąk, i dojrzałych melonów by zaspokoił pragnienie, poczem uraczył go pełną czarą ryżu i kawałem pieczeni baraniej.

A po spożyciu wieczerzy, kupiec zaprowadził go do izby gościnnej, życząc dobrej nocy i miłego snu. A młody rybak podziękował mu, całując pierścień, który ten nosił, poczem rzucił się na dywan z farbowanej wełny owieczek. A nakrywszy się kocem z czarnej wełny, zaśnął.

A trzy godziny przed świtem, gdy w okół panował jeszcze spokój nocy, dusza zbudziła go, mówiąc: — Wstań i idź do pokoju kupca, do pokoju, w którym on śpi, i zabij go i zabierz mu złoto, gdyż jest nam potrzebne.

A młody rybak wstał i na palcach wszedł do pokoju kupca. A u nóg kupca leżał miecz zakrzywiony, a na stole, obok niego, dziewięć woreczków złota. I rybak wyciągnął rękę i dotknął miecza, a w tejże chwili kupiec się zerwał, skoczył z posłania i, sam ująwszy miecz, zawołał: — Więc złem odpłacasz mi za dobre i rozlewem krwi odwzięczasz się za gościnność, której ci użyczyłem?

A dusza rzekła do młodego rybaka: — Uderz weń! I uderzył kupca tak silnie, że ten zemdłał, poczem chwycił dziewięć woreczków złota i spiesźnie umknął przez ogród, pełen drzew granatowych i zwrócił oblicze ku gwieździe porannej ..

A gdy uszli całą milę, rybak uderzył się w pierś i rzekł do swej duszy.

— Czemu kazałaś mi zabić kupca i zabrać jego złoto? Zaprawdę, jesteś złą.

Ale dusza odparła: — Bądź spokojny, bądź spokojny.

— Nie! krzyknął młody rybak — nie chcę być spokojnym, gdyż wszystko, co mi czynić rozkazałaś, jest mi wstrętne. I ty mi jesteś wstrętna, i nienawidzę cię i chcę byś mi powiedziała, czemu ze mną tak postępujesz.

A dusza odpowiedziała: — Gdy mnie wysłałeś w świat, nie dałeś mi serca, przeto nauczyłam się wszystkich tych czynów i pokochałam je.

— Co mówisz? mamrotał młody rybak.

— Wiesz dobrze — odparła dusza — dobrze to wiesz. Alboż zapomniałeś, że mi nie dałeś serca? Nie sądzę, abyś tego nie pamiętał. Nie troszcz się więc o mnie, lecz bądź spokojny, gdyż niema bólu, którego nie zadasz i niema rozkoszy, której byś nie miał zaznać.

A młody rybak, usłyszawszy te słowa, zadrżał i rzekł do swej duszy: — Nie! ty jesteś złą, gdyż pozwoliłaś mi zapomnieć o mej ukochanej i wystawiłaś na pokusę i sprowadziłaś stopy me na drogę grzechu.

A dusza odpowiedziała: — Zapomniałeś, że mi nie dałeś serca, kiedy mnie wysłałeś w świat. Chodź, pójdziemy do innego miasta i będziemy

się weselić, gdyż mamy dziewięć woreczków złota.

Ale młody rybak wziął dziewięć woreczków złota i rzucił je na ziemię i podeptał nogami.

— Nie! krzyknął. — Nie chcę już z tobą mieć nic więcej do czynienia i nie chcę z tobą dłużej wędrować, lecz oddałę cię, jak cię wpierw oddałem, gdyż nie przyniosłaś mi nic dobrego.

I zwrócił się plecyma do księżycy i nożykiem o trzonku z zielonej skóry żmiji próbował dokoła nóg swych odciąć cień ciała, będący ciałem duszy. Ale dusza nie odchodziła od niego i, nie słuchając jego rozkazu, te doń wyrzekła słowa:

— Czar, udzielony ci przez czarownicę, na nic się już nie przyda. Albowiem nie mogę cię opuścić, ani ty mnie odpędzić już nie zdołasz. Raz w życiu człowiek może odpędzić swą duszę, ale kto ją przyjmie napowrót, musi ją też zachować na wieki, i to jest jego karą i nagrodą.

A młody rybak zbłądł i zacisnąwszy pięści krzyknął:

— Fałszywa była czarownica, że mi tego nie powiedziała.

— Nie — odparła dusza — gdyż była wierna temu, kogo ubóstwia i komu służyć będzie na wieki.

A gdy młody rybak pojął, że nigdy już nie pozbędzie się swej duszy, i że ta dusza jest złą i wiecznie w nim będzie mieszkać, padł na ziemię i gorzko zapłakał.

A gdy dzień nastał, młody rybak wstał i rzekł do swej duszy: Zwiążę sobie ręce, bym nie mógł robić tego, co mi rozkażesz i zamknę usta, bym nie powtarzał słów twoich i powrócę tam, gdzie mieszka moja ukochana. Do morza wrócę, do małej zatoki, gdzie ona zwykła śpiewać i przywołam ją i powiem, co złego uczyniłem i co ty mi uczyniłaś złego.

A dusza poczęła go kusić, mówiąc:

— Któż jest ta twoja ukochana, byś miał do niej powracać? Znajdziesz na świecie niejedną piękniejszą od niej. Tancerki w Samaris tańczą wszystkie jak ptaki i zwierzęta, mają nóżki pomalowane, a w rękach trzymają małe miedziane dzwoneczki. Śmieją się, tańcząc, a śmiech ich jest srebrzysty, jak śmiech wody. Chodź ze mną, a pokażę ci je. Bo cóż się masz troszczyć z powodu grzechu? Alboż to, co smaczne, nie jest stworzone do jedzenia? Czy w słodkim napoju niema Boga? Nie dręcz się przeto, lecz pójdz ze mną do innego miasta. Tu, w pobliżu, leży małe miasteczko i ogród pełen tulipanów. A w pięknym tym ogrodzie są białe pawie i pawie o błękitnych piersiach. Gdy w słońcu roztoczą ogony, wyglądają jak płyty z kości słoniowej lub złota. A dziewczyna, co je karmi, tańczy gwoli ich zabawie, i tańczy czasem na rękach, a czasem znów na nogach. Oczy jej mają kolor antymonu, a nozdrza ruchliwe jak lotki jaskółki. Na haczyku, po jednej stronie nosa mi-

goce kwiat, rzeźbiony z perły. Tańcząc, śmieje się, a srebrne branzolety na jej nóżkach dźwięczą jak srebrne dzwoneczki. Nie dręcz się więc dłużej, lecz choć ze mną do tego miasta.

Młody rybak jednak nie odpowiadał swej duszy, lecz zamknął usta swe pieczęcią milczenia i ręce skrępował sobie mocnym sznurem, poczem skierował kroki swe ku stronie, skąd był wyszedł, i ku małej zatoce, gdzie ongi śpiewała jego ukochana. A dusza raz po raz kusila go w ciągu drogi, lecz on jej nie odpowiadał i nie czynił nic złego, do czego go namawiała, tak wielką była w nim potęga miłości. A przybywszy nad wybrzeże morza, zerwał sznur ze swych rąk i zdjawszy z ust swych pieczęć milczenia, począł wołać na wodnicę. Ale ona nie przybywała, pomimo że przez cały dzień wołał ją do siebie i błagał.

A dusza szydziła z niego, mówiąc:

— Zaprawdę, niewiele radości sprawia ci twa ukochana. Przypominasz mi człowieka, który w czasie posuchy wlewa wodę do pryśniętego naczynia. Rozdajesz, co masz, a nic nie odbierasz w zamian. Lepiej uczyniłbyś, idąc ze mną, gdyż ja wiem, gdzie leży dolina rozkoszy i czego się tam zaznaje.

Ale młody rybak nie odpowiadał swej duszy, lecz, wybudowawszy sobie w skalnej rozpadlinie domek z trzciny, mieszkał w nim przez rok cały. I co ranka przywoływał wodnicę i przyzywał ją co południa i co wieczora powtarzał jej imię nad

brzegiem zatoki, Ale nigdy nie wyłoniła się z morza i nigdy nie znalazł jej w falach morza, pomimo że szukał w ciemnych wirach i na powierzchni modrej toni i w głębinach fal i w studniach, co zieją na dnie morskich głębi.

I ciągle dusza kusiła go do złego, podszeptując rzeczy straszne. Ale nie miała nad nim żadnej władzy, tak wielką była w nim moc miłości.

A gdy rok minął, dusza pomyślała:

— Kusiłam pana mego do złego, ale miłość jego silniejsza jest odemnie. Spróbuję go teraz skusić do dobrego, a może prędzej mi ulegnie.

I rzekła do młodego rybaka:

— Mówiłam ci o rozkoszach świata, lecz byłeś głuchy na moje słowa. Teraz opowiem ci o bólach tego świata, a może posłuchasz. Bo zaprawdę, ból jest panem świata, i nikt mu nie ujdzie. Jedni nie mają odzienia, a inni nie mają chleba. Wdowy płaczą zarówno w purpurze, jak w łachmanach. Tu i owdzie poprzez bagna przeciągają trędowaci i okrutni są dla siebie. Żebracy włóczą się ulicami, tam i napowrót, a kieszenie ich pozostają puste. Przez ulice miasta wlecze się nędza głodu, a u bram jego przycupnęła zaraza. Pójdź ze mną nieść pomoc ludziom i zmienić ten stan rzeczy. Pocóż miałbyś tu czas trawić, przywołując ukochanej, gdy ona nie zważa na twe wołanie? i czemuż jest miłość, byś do niej tyle przywiązywał wagi?

Ale młody rybak nie dawał jej odpowiedzi, tak

wielką była w nim moc miłości. I co ranka przywoływał wodnicę i przyzywał ją co południa i co wieczora powtarzał jej imię nad brzegiem zatoki. Ale nigdy nie wyłoniła się z głębin i nigdy jej nie znalazł w morzu, pomimo że szukał w prądach zawrotnych i w dolinach, cicho leżących pod fałami morza, co w nocy okrywa się purpurą a szarem się staje o zmroku.

A gdy minął rok drugi, rzekła dusza do rybaka, gdy pewnej nocy siedział samotny w domku ze trzciny: — Patrz oto cię kusiłam do złego i kusiłam cię do dobrego, ale miłość twoja silniejszą jest odemnie. Dlatego nie chcę cię kusić dłużej, lecz proszę cię tylko, pozwól mi wejść napowrót do twego serca, bym się z tobą zjednoczyła jak dawniej.

— Zaprawdę, możesz wejść do niego — rzekł młody rybak — bo wiele zapewne przecierpieć musiałaś, gdy bez serca chodziłaś po świecie.

— Ach! rzekła dusza — nie mogę znaleźć wejścia, tak bardzo serce twe wypełnione jest miłością.

— A jednak pragnąłbym ci przyjść z pomocą — odparł młody rybak. I zaledwie wyrzekł te słowa, od strony morza rozległ się krzyk żałosny, przenikliwy, towarzyszący zwykle śmierci wodników. A młody rybak zerwał się i wybiegł z domku trzcinowego nad wybrzeże. A właśnie nadpłynęły czarne fale, niosąc na grzywie swej ciężar bielszy od srebra. Biały był, jak biała piana morska i, jak

kwiat, kołysał się na fali. A prąd rwący odebrał go fali, a spieniona toń wyrwała go prądowi i zanosła na wybrzeże, i młody rybak ujrzał u stóp swoich zwłoki małej wodnicy. U stóp jego leżała umarła.

I bólem złamany padł obok niej, łkając i całując zimny karmin jej ust i pieszcząc wilgotny bursztyn jej włosów. Padł obok niej na piasku i płakał, jak człowiek zmożony zbyt wielką radością, i do piersi cisnął ją swemi ogorzałemi ramionami. Zimne były jej usta, lecz on je całował. Słonym był miód jej włosów, lecz on go wchłaniał z gorzką rozkoszą. Całował przymknięte powieki, a biała piana, co się na nich sperliła, mniej była słoną od jego łez.

I złożył spowiedź przed zimnemi jej zwłokami. Do muszelek uszu wlewał ostre wino swych opowieści. Drobnemi jej rączynami oplótł sobie szyję, a swemi palcami objął delikatną trzcinę jej szyjki. Gorzka, gorzka była jego radość, a ból jego pełen dziwnej rozkoszy.

Czarne fale podpływały coraz bliżej, a biała piana jęczała, jak człowiek okryty trądem. Białemi szponami z piany morze sięgało ku wybrzeżu. Z pałacu króla morza rozległ się nowy krzyk żałobny, a daleko na morzu trytony chrapliwie zagrzmiwały na rogach.

— Uciekaj — rzekła dusza — gdyż morze podchodzi coraz bliżej i, jeśli będziesz zwlekał, uśmierci cię. Uciekaj, gdyż się boję, a do serca twego wejść

nie mogę, z powodu twojej wielkiej miłości. Uciekam na jakieś bezpieczne miejsce. Zaprawdę nie powinieneś mnie wyprawiać na drugi świat bez serca!

Młody rybak nie zważał jednak na swą duszę, lecz ciągle przyzywał małą wodnicę, mówiąc:

— Miłość lepsza jest od mądrości i cenniejsza od majątku i piękniejsza, niż nóżki cór człowieczych. Ogień jej nie zniszczy i woda nie zatopi. Przyzywałem cię o zmroku, lecz nie przyszłaś na moje wołanie. Księżyc słyszał, jak powtarzałem twe imię, ale ty nie zważałaś na mnie. Bo nikczemnie cię porzuciłem i odeszłem na własną swą zgubę. Ale miłość twa zawsze była przy mnie i zawsze była silna, i nic nie mogło jej przeciężyć, pomimo że patrzyłem na złe i dobre na świecie. A teraz, skoro nie żyjesz, i ja chcę umrzeć z tobą.

A dusza błagała go, by uciekł, lecz on nie chciał — tak wielką była moc jego miłości. A morze nadpływało coraz bliżej, usiłując go nakryć swemi falami, a on czując, że koniec się zbliża, płonącemi ustami namiętnie całował zimne usta wodnicy dopóty, aż serce w nim pękło. A kiedy serce w nim pękło z nadmiaru miłości, dusza zdołała w nie wejść i zjednoczyć się z niem, jak dawniej. A morze falami swemi nakryło młodego rybaka.

A rano ksiądz wyszedł pokropić morze święconą wodą, gdyż było wzburzone i niespokojne.

A z nim szli mnichy i muzykanci i wielkie tłumy udzi, i chłopcy niosący świece i kadzidła.

A stanąwszy nad brzegiem morza, ksiądz ujrzał w zatoce zwłoki młodego rybaka, a w jego ramionach spoczywały zwłoki małej wodnicy. Więc, zmarszczywszy brwi, cofnął się i, czyniąc znak krzyża, zawołał:

— Nie poświęcę morza, ani niczego, co się w niem znajduje. Przeklęty niechaj będzie ród wodników i przekłęci wszyscy, co się z nimi wdają. A zwłoki tego, co dla miłości porzucił Boga i teraz z dziewczką swą leży tutaj, palcem bożym tknięty, i zwłoki jego dziewczki, zabierzcie i pochowajcie je na pogańskim uroczysku, i nie kładźcie na grobie ich kamienia, ni żadnego innego znaku, by nikt nie znał miejsca ich spoczynku. Bo przekłęci byli w życiu i przekłęci niech będą po śmierci.

A lud uczynił, jak ksiądz rozkazał, i pochował ich na uroczysku, gdzie nie rosło żadne słodkie ziele. Wykopano dół głęboki i zagrzebano w nim zwłoki obojga.

A gdy trzeci rok minął, pewnego dnia, który był dniem świątecznym, ksiądz udał się do kaplicy, by ludowi pokazać rany Chrystusa i mówić o gniewie Pańskim. A kiedy włożył swe szaty i, wszedłszy do kaplicy, pochylił głowę przed ołtarzem, ujrzał, że ołtarz przystrojony jest egzotycznym kwieciem, jakiego nigdy jeszcze nie widział. Dziwnie wyglądały owe kwiaty, a piękność ich barw

go oszałamiała, a zapach słodko drażnił powonienie. I był wesół i nie wiedział, skąd wesołość ta pochodzi.

A gdy otworzył sanctuary i, podniósłszy monstrancję, ludowi zgromadzonemu pokazał chleb święty, który następnie ukrył za zasłoną zasłon — rozpoczął kazanie, mając zamiar mówić o gniewie bożym. Ale piękność białych kwiatów tak oszałamiała, a zapach ich tak słodko drażnił mu powonienie, że inne słowa wybiegły mu na usta i zamiast o gniewie bożym, mówił o Bogu, którego Imię jest: Miłość. I nie wiedział sam, czemu w ten sposób mówi.

A gdy skończył, ludzie się rozeszli; ksiądz zaś poszedł do zakrystji, a oczy jego były pełne łez i weszli diakoni i zdjęli z niego szaty i zdjęli komżę i pas i albę i stułę. A on ciągle stał nieruchomy, jakby w ekstazie.

A gdy zdjęli z niego szaty, spojrzął na nich i spytał:

— Jakie to kwiaty są na ołtarzu i gdzie one urosły?

A oni odparli:

— Jakie są te kwiaty, nie wiemy, ale urosły na pogańskim uroczysku.

A ksiądz zadrżał i poszedł do mieszkania swego, by się tam modlić.

A rano, wczesnym świtem, z mnichami i muzykantami i chłopcami, niosącymi świece i kadzi-

dła i z wielkim tłumem ludzi poszedł w stronę morza, a stanąwszy na wybrzeżu, błogosławił morze i wszystkie dzikie istoty, co w niem żyją. I błogosławił fauny i drobne istotki, co w lesie tańczą, i stworzonka o błyszczących oczach, co zerkają z poza gęstwiny listowia. Błogosławił wszystkie istoty na bożym świecie, a lud zgromadzony słuchał pełen radości i zdumienia. Ale nigdy już nie wyrosły kwiaty na pogańskim uroczysku, lecz pole pozostało puste, jak dawniej. A także nikt z rodu wodników nie ukazał się odtąd w zatoce, gdyż wszyscy przenieśli się w inne strony morza.

DZIECKO GWIAZDY.

Razu pewnego przed dawnymi laty dwaj biedni drwale wracali do domu przez wielki las jodłowy. Była zima, a noc strasznie mroźna. Śnieg grubą warstwą okrywał ziemię i gałęzie drzew: mróz bezustannie ścinał gałązki po obu stronach drogi, którą przechodzili, a doszedłszy do górskiego potoka, drwale ujrzeni, że zawisł on w powietrzu znieruchomiały, gdyż ucałował go król lodu.

Było tak zimno, że nawet zwierzęta i ptaki nie wiedziały co począć.

— Hu! wył wilk, gdy z ogonem wtulonym pomiędzy nogi chyłkiem przekradał się przez krzewinę — to powietrze jest wprost straszne. Czemu rząd nie przedsięwzięmie jakich środków?

— Pit! pit! pit! świegotały zielone makolągwy — stara ziemia umarła, i oto pokazują ją w białej kożuli śmiertelnej.

— Ziemia gotuje się do ślubu, a to jej szata weselna — szeptały do siebie turkawki. Ich drobne różowe nóżki były mocno pokąsane przez mróz, niemniej poczuwały się do obowiązku idealizowania sytuacji.

— Głupstwo! warknął wilk. — Ja wam powiadam, że wszystkiemu winien rząd, a jeśli mi nie wierzycie, to was pożrę. Wilk miał umysł wybitnie praktyczny i nigdy mu nie zbywało na argumentach przekonujących.

— Co do mnie — ozwał się dzięcioł, który był urodzonym filozofem — to nic a nic nie troszczę się o wyjaśnienie. Jeśli coś jest, to jest, a teraz jest potwornie zimno i tyle.

A potwornie zimno było w istocie. Małe wieńcówki żyjące na wysokiej jodle, ocierały się wzajem swemi uszkami, by się jako tako rozgrzać, a zajęczki zwijały się w kłębki w swych dziurach, nie śmiejąc wyrzeć na pole. Jedyne istoty, które zdawały się radować z tego stanu rzeczy, były sowy o dużych uszach. Pióra ich były prawie całkiem sztywne od szronu, ale one na to nie zważały, bo przewracając swemi krąglami, żółtymi oczami, wołały do siebie skroś lasu: Uhu! uhu! uhu! Jakże piękną mamy pogodę!

Drwale szli przed siebie raz po raz chuchając w palce i tupiąc ciężkimi, podkutymi butami po twardym śniegu. Raz wpadli w głęboką zaspę śnieżną, a wygramoliwszy się z niej, wyglądali jak młynarze, gdy kamienie są w ruchu; raz znów poślizgnęli się na twardej, gładkiej powierzchni zamrzniętego bagna, a chróst rozleciał im się z wiązkiem, że musieli go zbierać i wiązać ponownie; to znów myśleli, że pomylili drogę i wielką ich zdjęła

trwoga, bo wiedzieli, że śnieg jest okrutnym dla tych, co zasypiają w jego objęciach. Pokładali jednak ufność w dobrym świętym Marcinie, czuwającym nad wędrowcami i zawróciwszy na dawne ślady, szli znów przed siebie, aż wreszcie dotarli do skraju lasu i zobaczyli w oddali, wśród rozpościerającej się u ich stóp doliny, światła płonące we wsi, gdzie mieszkali.

Tak ogromnie uradowali się tem swoim ocaleniem, że w głos się zaśmiali, a ziemia wydała się im w jednej chwili kwiatem srebrzystym, a księżyc kwiatem ze złota.

Ale zaśmiawszy się radośnie, rychło znów posmutnieli, gdyż przypomnieli sobie swe ubóstwo, a jeden z nich ozwał się do drugiego: — Czemuśmy się tak uradowali, skoro przecie wiemy, że życie należy do bogatych, a nie do takich jak my? Lepiej byłoby, gdybyśmy byli umarзли w lesie, lub gdyby jakiś dziki zwierz napadł nas był i pożarł.

— Zaprawdę — odparł towarzysz — jednym dano dużo a innym mało. niesprawiedliwość dokonana na świecie podziału, bo tylko troskę na równe podzieliła części.

Gdy jednak wzajem nad nędzą swą biadali, w oczach ich wydarzył się cud. Oto z nieba spadła gwiazda promienna i bardzo piękna. Ześlizgnęła się po nieboskłonie, w biegu trącając inne gwiazdy, a kowalom, ścigającym ją zdumionemi oczyma, wydało się, że spadła za gęszczem wikliny tuż

obok jurty pasterskiej o kilkanaście kroków od nich oddalonej.

— Hurra! oto garnek złota dla tego, co je znajdzie — zawołali i poczęli biec na wyścigi, pragnąc posiąść złoto.

A jeden z nich biegnąc szybciej, wyprzedził swego towarzysza i przedarłszy się przez wiklinę na drugą stronę ujrzał, o dziwo, coś złotego, leżącego na białym śniegu. Więc rzucił się na błyszczący przedmiot i położył na nim ręce i zobaczył, że był to płaszcz złotolity, przetykany gwiazdami i ułożony w mnóstwo fałdów. Tedy krzyknął do towarzysza, że znalazł skarb, który spadł był z nieba, a gdy tamten się zbliżył, usiedli obaj na śniegu i rozluźnili fałdy płaszcza, by się podzielić złotem. Ale niestety! nie było w nim ani złota, ani srebra, ani żadnego skarbu, tylko małe dziecko, pograżone we śnie.

Wtedy rzekł jeden do drugiego: — Gorzkie to zakończenie naszej nadziei, nie mamy widać szczęścia, bo cóż nam z dziecka? Zostawmy je przeto i ruszajmy w dalszą drogę, bo jesteśmy biedni i mamy własne dzieci, których chleba nie możemy dawać obcemu.

Ale towarzysz jego odpowiedział: — Nie! dopuściłbym się złego czynu, gdybym dziecku temu pozwolił zginąć na śniegu, a jakkolwiek jestem tak samo biedny jak ty i mam dość gęb do wyży-

wienia, a niewiele strawy w garnku, to jednak zabiorę to dziecko, a żona musi się niem zająć.

Ostrożnie tedy podniósł dziecko: a otuliwszy płaszczem, by je osłonić przed ostrem technieniem mrozu, ruszył ze wzgórza ku wsi, gdy towarzyszy jego nie mógł się dość nadziwić jego głupocie i nadmiernej czułości serca.

A gdy doszli do wsi, towarzysz jego rzekł: — Ty bierzesz dziecko, więc mnie daj płaszcz, bo słusznem jest, byśmy się podzielili.

On jednak odparł: — Nie, bo płaszcz nie jest ani mój, ani twój, lecz dziecka. Pożegnał go życząc szczęśliwej drogi i skierował się do swej chaty.

Zapukał do drzwi, a żona otworzyła i ujrawszy męża wracającego zdrowo i cało, zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała, poczem zdjęła mu z pleców wiązkę chrustu, otrzepała śnieg z jego butów i rozwarła izbę, by wszedł.

On jednak, nie ruszając się od progu, rzekł: — Znalazłem coś w lesie i przyniosłem ci, byś o to dbała.

— Co to jest? zawołała. — Pokaż mi, bo dom nasz jest pusty i wielu nam potrzeba rzeczy.

A on rozchylił fałdy płaszcza i pokazał jej śpiące dziecko.

— Wielkie nieba! szepnęła. — Człowieku, alboż nie mamy dość własnych dzieci, że przynosisz jeszcze jakiegoś podrzutka? A kto wie, czy nam

nie przyniesie nieszczęścia? I czymże go będziemy żywić? I rozgniewała się na swego męża.

— Ale to przecie dziecko gwiazdy — odrzekł, poczem opowiedział jej całą dziwną przygodę.

Nie pozwoliła się jednak uspokoić, lecz szydząc z niego, wołała w gniewnem unięsieniu: — Nasze własne dzieci nie mają chleba, i mamy żywić obce dziecko? A kto się o nas stara? Kto nam daje pożywienie?

— Bóg stara się nawet o wróble i daje im pożywienie — odparł.

— Alboż to wróble nie giną w zimie z głodu? pytała. — A czy teraz nie zima? Mąż nic nie odpowiedział, lecz nie ruszył się z progu.

A przenikliwy wiatr z lasu wtargnął przez otwarte drzwi, przejmując ją dreszczem. Rzekła tedy: — Czemu nie zamykasz drzwi? Wiatr ostry wieje do izby, a mnie zimno.

— Alboż wiatr estry nie zawsze wieje do domu, w którym jest twarde serce? spytał. A żona nic nie odpowiedziała, lecz bliżej przysunęła się do ogniska.

A po chwili odwróciła się i spojrzała na niego, a w oczach jej błyszczały łzy. Wtedy szybko się zbliżył i złożył dziecko w jej objęcia, a ona je ucałowała i położyła na łóżeczko, obok swego najmłodszego dziecka. A nazajutrz rano drwał wziął dziwny płaszcz złotolity i włożył go do skrzyni,

a żona jego odwiązała sznurek bursztynów ze szyi dziecka, i również zamknęła w skrzyni.

*

*

*

Tak tedy dziecko gwiazdy chowało się wraz z dziećmi drwala i do wspólnego z nimi zasiadało stołu i było towarzyszem ich zabaw. A z każdym rokiem stawało się piękniejsze, że wszyscy mieszkańcy wsi zdumiewali się jego urodą, bo gdy wszyscy byli smagli na twarzy i czarnowłosi, ono było białe i delikatne jak rzeźba z kości słoniowej, a pukle jego włosów wyglądały jak kiście złocieni. Usta jego były niby płateczki czerwonego kwiatu, a oczy jak fiołki nad przejrzystym strumieniem, a ciało jego jak narcyz polny, którego nie dosięgła kosa.

Ale piękność ta przyniosła mu nieszczęście. Albowiem stało się zarozumiałe i okrutne i samolubne. Gardziło dziećmi drwala i innemi dziećmi ze wsi, mówiąc, że są niskiego pochodzenia, gdy ono pochodzi od gwiazdy. I uczyniło się ich panem, nazywając je swemi sługami. Nie miało litości dla ubogich, ani dla tych, co byli ślepi, czy chromi, czy w inny sposób ułomni, lecz rzucało na nich kamieniami i wypędzało ich na gościniec, by gdzieś indziej zebrali chleba, że po pewnym czasie nikt, prócz banitów, nie zachodził do wsi prosić o jałmużnę. Zaiste było ono jakby opętane pięknnością i szydziło z upośledzonych i wyśmiewało ich bez-

litośnie. W sobie zaś było zakochane, i w lecie, gdy żaden wietrzyk się nie poruszał, leżało nad strumieniem w ogrodzie księdza i wpatrywało się w cud swej twarzy, głośno śmiejąc się z radości.

Nieraz upominali go drwał i jego żona, mówiąc: — My nie postąpiliśmy wobec ciebie tak, jak ty postępujesz wobec tych, co opuszczeni i nie mają nikogo, by im dopomógł. Dlaczego jesteś tak okrutny dla tych, co potrzebują współczucia?

Nieraz sędziwy ksiądz wzywał go do siebie, i pragnąc rozbudzić w nim miłość dla wszystkiego, co żyje, nauczał: — Mucha jest twą siostrzyczką. Nie czyn jej nic złego. Dzikie ptaki fruwające po lesie, są wolne. Nie czyn z nich więźniów, aby się zabawić. Bóg stworzył padalca i kreta i każdemu wyznaczył udział w życiu. Kimże ty jesteś, by w świat boży wnosić cierpienie? Nawet zwierzęta w polu sławią Jego dzieło.

Ale dziecko gwiazdy nie zważało na słowa upomnienia, lecz strojąc szyderskie miny, biegło z powrotem do towarzyszy zabawy, by nad nimi przewodzić. A one go słuchały, gdyż było piękne i zwinne w ruchach i umiało tańczyć i gwizdać i grać i śpiewać. I dokądkolwiek ich dziecko gwiazdy prowadziło, szły za niem posłuszne i cokolwiek dziecko gwiazdy kazało im robić, spełniały jego zlecenie. A gdy ostrem sitowiem wykłubało mętne oczy kreta, śmiały się tylko, a gdy kamieniami obrzucało trędowatego, również się śmiały. I rzą-

dziło niemi samowolnie, aż stały się taksamo zatwardziałe i złe, jak ono samo.

* * *

Aż tu pewnego dnia żebraczka jakaś przechodziła przez wieś. Suknie jej były podarte i obszarpane, a nogi pokrwawione od kamienistej drogi, którą wędrowała, a cały jej wygląd świadczył o wielkiej męce. A będąc znużoną, usiadła pod kasztanem, by wypocząć.

Zaledwie ją jednak dostrzegło dziecko gwiazdy, natychmiast rzekło do swych towarzyszy: — Spójrzcie! Oto wstrętna żebraczka usiadła pod tem pięknem, zielonem drzewem. Chodźcie, a odpędzimy ją stąd, gdyż brudna jest i szpetna.

I podeszło do niej i zaczęło ją obrzucać kamieniami i naigrawać się z niej, a ona wpatrywała się w nie z przerażeniem, ani na chwilę nie odwracając od niego wzroku. A drwał, który w pobliżu obrabiając kłocę, widział, co robi dziecko gwiazdy, przybiegł doń i strofując je, rzekł: — Prawdziwie, masz serce zatwardziałe i nie znasz litości, bo cóż ci złego zrobiła ta biedna kobieta, że w ten sposób się z nią obchodzisz?

A dziecko gwiazdy poczerwieniało od gniewu i tupiąc nogą, rzekło: — Kim jesteś, bym się miał przed tobą tłumaczyć? Nie jestem twym synem i nie potrzebuję cię słuchać.

— Prawdę mówisz — odparł drwał — ja ci jednak okazałem litość, kiedy cię znalazłem w lesie.

A kobieta usłyszawszy te słowa wydała głośny okrzyk i zemdląła. A drwał zaniósł ją do swego domu, gdzie się nią zajęła jego żona, a gdy odzyskała przytomność, postawili przed nią jadło i picie, prosząc, by się pokrzepiła i uspokoiła.

Ale ona nie tknęła jedzenia ni napoju, tylko zwracając się do drwala, spytała: — Czy nie powiedziałeś, że dziecko to znalazłeś w lesie? I czy nie dziesięć lat upłynęło od owego dnia?

A drwał odpowiedział: — Tak, znalazłem dziecko w lesie, dziesięć lat temu.

— A jakie przy niem znalazłeś oznaki? zawołała. — Czy nie miało na szyi sznurka bursztynów? A otulone było w płaszcz złotolity, cały za haftowany gwiazdami?

— Prawda — odparł drwał — tak było, jako rzekłaś. I wydobył ze skrzyni płaszcz i sznurek bursztynów i pokazał kobiecie.

Ona zaś zobaczywszy je, zapłakała z radości i rzekła: — Więc on jest moim synkiem, którego zgubiłam w lesie. Proszę cię, poślij po niego jak najprędzej, bo szukając go, przewędrowałam kawał świata.

Tedy drwał z żoną wyszli oboje i przywołali dziecko gwiazdy i rzekli: — Wejdź do domu, a zobaczysz swą matkę, która na ciebie czeka!

Pobiegło szybko, zdumione i wielce uradowane.

Ale zobaczywszy, kto na nie czeka, zaśmiało się pogardliwie i rzekło: — Gdzie jest moja matka? Bo nikogo tu nie widzę oprócz tej nędznej żebraczki.

A kobieta rzekła: — Jestem twoją matką.

— Jesteś szaloną, mówiąc coś podobnego — gniewnie krzyknęło dziecko gwiazdy. — Ja nie jestem twym synem, gdyż jesteś żebraczką i szkaradną i w łachmanach. Więc odejdz precz, abym już nie widział twej wstrętnej twarzy.

— A jednak jesteś moim synkiem, którego urodziłam w lesie — zawołała i padłszy na kolana, wyciągnęła ku niemu obydwie ręce. — Rabusie mi cię skradli i wydali na śmierć — mamrotała — ale ja cię poznałam, skoro cię tylko zobaczyłam i poznałam też znaki: płaszcz złotolity i sznurek bursztynów. Tedy proszę cię, chodź teraz ze mną, bo szukając cię, przewędrowałam świat cały. Chodź ze mną, mój synu, bo bardzo potrzebuję twej miłości.

Ale dziecko gwiazdy nie poruszyło się z miejsca, lecz zamknęło przed nią podwoje swego serca i cisza zapanowała w izbie, wśród której słychać było tylko bolesny płacz kobiety.

Wreszcie ozwało się do niej, a głos jego był twardy i gorzki: — Jeśli naprawdę jesteś moją matką, to lepiej byłabyś zrobiła, nie przychodząc tutaj, zamiast przyjść poto, aby mnie okryć hańbą. Myślałam, że jestem dzieckiem gwiazdy, a nie że-

braczki, jak mi to mówisz. Przeto odejdz stąd, i niech cię już nigdy nie zobaczę.

— Biada mi, synu mój! jęknęła. — Czy mnie nie pocałujesz, zanim odejdę? Tyle wszak wycierpiałam, zanim cię odnalazłam.

— Nie — odparło dziecko gwiazdy — zbyt jesteś szkaradna, wołałbym pocałować żmiję lub ropuchę niżli ciebie.

Wtedy kobieta powstała i poszła w las, gorzko płacząc, a dziecko gwiazdy zobaczywszy, że odeszła, uradowało się i napowrót pobiegło do swych towarzyszy, aby się z nimi bawić.

Gdy je jednak zobaczyli podchodzące ku nim, poczęli się naigrawać i rzekli: — Cóż to, jesteś szkaradny jak ropucha, a wstrętny jak żmija. Wy-
noś się stąd, bo my się z tobą bawić nie będziemy! poczem wypędzili go z ogrodu.

A dziecko gwiazdy zachmurzyło się i rzekło do siebie: — Co oni mówią? Pójdę zaraz do strumyka i przegładnę się a ono mi zaraz ukaże moją pięknosć.

I poszło do strumyka i spojrzało w wodne zwierciadło i biada! twarz jego była podobna do ropuchy, a ciało okryte łuskami jak żmija. Zobaczywszy to, rzuciło się na trawę i płakało, mówiąc do siebie: — To mnie spotkało za mój grzech. Bo wyparłem się matki i wypędziłem ją i dumny byłem wobec niej i okrutny. Dlatego muszę teraz iść

i szukać jej po całym świecie i nie spocznę dopóki jej nie odnajdę.

W tejże chwili podeszła do niego córeczka drwala i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekła: — Cóż to szkodzi, że straciłeś swą urodę? Zostań z nami, a ja z ciebie szydzić nie będę.

Ale chłopiec odrzekł: — Dziękuję ci, ale byłem okrutny dla mojej matki i za to mnie spotkała kara. Dlatego muszę stąd odejść i wędrować po świecie dopóki jej nie odnajdę i nie otrzymam od niej wybaczenia.

Pobiegł tedy w las i począł wołać na matkę, by do niego przyszła, ale żadnej nie otrzymał odpowiedzi. Wołał na nią przez cały dzień, a gdy słońce zaszło, położył się na łóżku z liści, a ptaki i zwierzęta uciekały od niego, bo pamiętały jak był okrutnym i pozostał całkiem sam, bo tylko ropucha mu się przyglądała, a powolna żmija przepelzała koło niego.

A rano wstał i zerwał kilka gorzkich jagód i zjadł je, poczem ruszył w świat daleki, płacząc żałością. A jakie tylko stworzenie napotykał po drodze, każde zapytywał, czy nie widziało przypadkiem jego matki.

I zwrócił się do kreta: — Możesz wszak wejść pod ziemię. Powiedz, czy niema tam mojej matki?

A kret odparł: — Przecież mnie oślepiłeś. Jakże mam widzieć?

I zwrócił się do makolągwy: — Umiesz się

wzbijać ponad wierzchołki wysokich drzew i możesz stamtąd widzieć cały świat. Powiedz, czy nie widzisz mojej matki?

A makolągwa odparła: — Obciąłeś mi skrzydełka, aby się zabawić. Jakże się mam wzbić wysoko?

A małą wiewiórkę, samotnie żyjącą na jodle, zapytał: — Gdzie moja matka?

A wiewiórka odrzekła: — Zabiłeś moją. Czy teraz szukasz swojej, by również ją zabić?

A dziecko gwiazdy zapłakało i zwiesiło głowę na piersi i stworzenia boże prosiło o przebaczenie i dalej powędrowało lasem, szukając żebraczki. A trzeciego dnia wydostało się na drugi skraj lasu i wyszło na równinę.

A gdy przechodziło przez rozmaite wsi przydrożne, dzieci naigrawały się z niego i obrzucały je kamieniami, a wieśniacy nie pozwalali mu nawet spać w stodole, aby zboże nie zapleśniało od jego brzydoty. Nawet najemnicy wypędzali je z pola i nie było nikogo, co by się nad niem zlitował. Nigdzie też nie dowiedziało się o żebraczce, która była jego matką, pomimo że od trzech już lat wędrowało po świecie i nieraz mu się zdawało, że widzi ją idącą przed niem, a wtedy wołało i biegło za nią, aż krew mu spływała z nóg, po kaleczonych ostrym żwirem. Ale nigdy nie udało mu się jej dopędzić, a ludzie mieszkający wzdłuż drogi mówili, że nigdy jej nie widzieli przechodzącej i drwili tylko z jego cierpienia.

Przez trzy lata chłopiec wędrował po świecie i nigdzie nie spotkał się z miłością, ni dobrocią, ni współczuciem, bo wszędzie był świat taki, jakim go sobie stworzył w dniach swojej wielkiej pychy.

A pewnego wieczora stanął u bram wielkiego warownego miasta, wznoszącego się nad rzeką i jakkolwiek zmęczony strasznie i z krwawiącymi stopami, postanowił tam wejść. Ale żołnierze stojący na straży, skrzyżowali swe halabardy, zamykając mu wnijsie i krzyknęli. — Czego szukasz w tem mieście?

— Szukam swej matki — odparł — i bardzo was proszę, byście mi pozwolili wejść, bo może ona jest w tem mieście.

Ale oni poczęli z niego szydzić, a jeden z nich potrząsnął swą czarną brodą i odstawiając tarczę, zawołał: — Dalibóg, matka twoja nie ucieszy się twym widokiem, bo jesteś szpetniejszy od ropuchy i od żmiji pełzającej po bagnie. Wynoś się! Matka twoja nie mieszka w tem mieście.

A inny trzymający w ręku złotą chorągiew spytał: — Kto jest twoja matka i dlaczego jej szukasz?

A on odparł: — Moja matka żebrze taksamo jak ja, ale byłem dla niej zły i dlatego proszę was, pozwólcie mi wejść do tego miasta, abym uzyskał jej przebaczenie, jeśli ją tu odnajdę. Ale oni nie pozwolili mu wejść, kłując go swemi lancami.

A gdy się od nich odwrócił płacząc, nadszedł

mężczyzna w zbroji wykładanej złotemi kwiatami i w hełmie z lwem skrzydlatym i spytał żołnierzy, kto chciał wejść do miasta. A oni rzekli: — To był żebrak i syn żebraczki, więc odpędziliśmy go od bram miasta.

— Poco! zaśmiał się przybyły. — Sprzedajmy raczej to szkaradne stworzenie jako niewolnika, a za pieniądze uzyskane kupimy sobie gąsior słodkiego wina.

A jakiś stary człowiek o złowróżbnej twarzy, przechodząc, usłyszał jego słowa i rzekł: — Zapłacę cenę wyznaczoną, a zrobiwszy to, ujął dziecko gwiazdy za rękę i wprowadził je do miasta.

A przeszedłszy mnóstwo ulic, stanęli u małych drzwi wybitych w murze, osłoniętym drzewem granatu. A starzec dotknął drzwi pierścieniem ze rżniętego jaspisu i otworzył, i po pięciu schodkach spiżowych weszli do ogrodu pełnego czarnych masek i zielonych dzbanów glinianych. I starzec zdjął ze swego turbanu szarfę z wzorzystego jedwabiu i zawiązawszy nią oczy dziecka gwiazdy, pędził je przed siebie. A gdy zdjęto mu szarfę z oczu, dziecko gwiazd ujrzało się w więzieniu, oświetlonym latarnią z rogu.

A starzec położył mu na desce kawał spleśniałego chleba i rzekł: »jedz!« i nalał mu do kubka wody cuchnącej i rzekł: »pij!«, a gdy zjadło chleb i wypilo wodę, starzec wyszedł, zamykając za sobą drzwi i zakładając jeszcze ciężki żelazny łańcuch.

*

*

*

A następnego dnia starzec, który był najchytrzejszym czarnoksiężnikiem w Libji, a sztuki swej wyuczył się był od jednego, co mieszkał w grobowcach Nilu, przyszedł do więzienia i zmarszczywszy brwi, rzekł: — W lesie położonym tuż za bramami tego miasta gjaurów, znajdują się trzy bryłki złota. Jedna jest z białego złota, druga z żółtego, a złoto trzeciej bryłki jest czerwone. Dziś musisz mi przynieść bryłkę białego złota, a jeśli tego nie uczynisz, wymierzę ci sto batów. Idź szybko, a o zachodzie słońca będę na ciebie czekał u furtki ogrodowej. Staraj się przynieść to białe złoto, inaczej źle z tobą będzie, gdyż jesteś moim niewolnikiem i zapłaciłem za ciebie gąsior słodkiego wina. I zawiązał oczy dziecka gwiazdy szarfą z wozzystego jedwabiu i wyprowadził je z domu, przez ogród pełen maków i po pięciu schodkach spiżowych. A otworzywszy drzwi swym pierścieniem, wypuścił dziecko na ulicę.

I dziecko gwiazdy wyszło bramą miasta i podążyło ku lasowi, o którym mu mówił czarnoksiężnik.

Otóż las ten wyglądał z zewnątrz bardzo ładnie i zdawał się być pełen ptaków śpiewających i wonnych kwiatów, więc dziecko gwiazdy weszło uradowane. Na nic mu się jednak nie przydała jego piękność, bo gdziekolwiek stąpiło, wyrastały z ziemi ostre głogi i ciernie, opasując je zewsząd, a złe pokrzywy parzyły je boleśnie, a osty kłuły je swemi

mieczami, że w ciężkiem się znalazło położeniu. I nigdzie też nie mogło znaleźć bryłki białego złota, o której mówił czarnoksiężnik, pomimo że szukał jej od rana do południa, a od południa do zachodu słońca. A o zachodzie słońca zwróciło się ku domowi, gorzkiemi zalewając się łzami, gdyż wiedziało, jaki je los czeka.

Wyszedłszy jednak na skraj lasu, usłyszało z gęstwiny jakiś krzyk bolesny. I zapominając o własnej trosce, pobiegło z powrotem do tego miejsca i zobaczyło małego zajączka, który złapał się w si-
dła, nastawione przez myśliwego.

I dziecko gwiazdy ulitowało się nad nim i uwolniło go, mówiąc: — Ja sam jestem niewolnikiem, lecz chętnie obdarzam cię wolnością.

— A zajączek odpowiedział mu, mówiąc: — Tak, obdarzyłeś mnie wolnością, a czemuże ja ci się odwzajemnię?

A dziecko gwiazdy rzekło: — Szukam bryłki białego złota i nigdzie jej nie mogę znaleźć, a gdy jej nie przyniosę swemu panu, będzie mnie bił.

— Chodź ze mną — rzekł zajączek — a ja cię zaprowadzę na to miejsce, bo wiem, gdzie to złoto jest ukryte i w jakim celu.

Tedy dziecko gwiazdy poszło ze zajączkiem i patrzcie! W pniu dużego dębu zobaczyło bryłkę białego złota, którego poszukiwało. I pełne radości pochwyciło je, mówiąc do zajączka: — Usługę, którą ci wyświadczyłem, odpłaciłeś mi wielokrotnie,

a dobroć jaką ci okazałem, stokrotnie mi wynagrodziłeś.

— Wcale nie — odparł zajączek — ja tylko tak postąpiłem z tobą, jak ty ze mną. To rzekłszy, odbiegł szybko, a dziecko gwiazdy ruszyło ku miastu.

Aż tu przed bramą miasta siedział trędowaty. Szara szmata zasłaniała mu twarz, a przez otwory na oczy płonęła para oczu czerwonych, jak węgle rozżarzone. Dostrzegłszy zbliżające się dziecko gwiazdy, uderzył w drewnianą misę i zabrzączał dzwonkiem i począł na nie wołać, mówiąc: — Daj mi sztukę pieniędzy, inaczej umrę z głodu. Bo wyrzucili mnie z miasta i niema nikogo coby się nademną ulitował.

— Biada! zawołało dziecko gwiazdy — ja mam tylko jedną sztukę złota w mej torebce, a jeśli jej nie przyniosę memu panu, to mnie zbije, gdyż jestem jego niewolnikiem.

Ale trędowaty prosił je i błagał, aż dziecko ulitowało się nad nim i oddało mu bryłkę białego złota.

A gdy przyszło do czarnoksiężnika domu, czarnoksiężnik mu otworzył i wprowadził je i spytał: — Czy masz bryłkę białego złota? A dziecko gwiazdy odpowiedziało: — Nie mam. Wtedy czarnoksiężnik rzucił się na nie i wychłostał, a potem postawił przed niem pusty talerz drewniany i rzekł: »Jedz« i pusty postawił kubek i rzekł: »pij«, po czem je znów zamknął do więzienia.

A nazajutrz rano czarnoksiężnik przyszedł do niego i rzekł: — Jeśli mi dziś nie przyniesiesz bryłki żółtego złota, to postąpię z tobą, jak się postępuje z niewolnikiem i wymierzę ci trzysta batów.

Tedy dziecko gwiazdy poszło do lasu i przez cały dzień szukało bryłki żółtego złota, ale jej nigdzie nie mogło znaleźć. A o zachodzie słońca usiadło w lesie i zaczęło płakać, a kiedy tak płakało, przybiegł do niego zajączek, którego uwolnił był z siideł.

I zajączek spytał: — Dlaczego płaczesz? I czego tu szukasz w lesie?

A dziecko gwiazdy odrzekło: — Szukam bryłki żółtego złota, które tu jest gdzieś ukryte, a jeśli go nie znajdę, to pan mój mnie zbije i postąpi ze mną jak z niewolnikiem.

— Chodź za mną! zawołał zajączek i szybko począł biec lasem, nie zatrzymując się ani na chwilę, dopóki nie stanął nad małą sadzawką. A na dnie tej sadzawki leżała bryłka żółtego złota.

— Jakżeż ci mam dziękować? rzekło dziecko gwiazdy — bo po raz drugi już przychodzisz mi z pomocą.

— Ale ty pierwszy się nademną ulitowałeś! odrzekł zajączek i szybko pobiegł w las.

A dziecko gwiazdy wzięło bryłkę żółtego złota i włożyło je do torebki i pospieszyło w kierunku miasta. Ale trędowaty widział je nadchodzące

i wyszedł naprzeciw i uklęknawszy przed niem zawołał: — Daj mi pieniędzy, inaczej umrę z głodu.

A dziecko gwiazdy odrzekło: — Mam w mej torebce tylko jedną sztukę żółtego złota, a jeśli go nie przyniosę memu panu, to mnie zbije i postąpi ze mną jak z niewolnikiem.

Ale trędowaty błagał tak boleśnie, że dziecko gwiazdy ulitowało się nad nim i oddało mu bryłkę żółtego złota.

* * *

A gdy przyszło do czarnoksiężnika domu, czarnoksiężnik mu otworzył i spytał: — Czy masz bryłkę żółtego złota? A dziecko gwiazdy odpowiedziało: — Nie mam. Wtedy czarnoksiężnik rzucił się na nie i zbił je i zakuł w łańcuchy i znów wtrącił do więzienia.

A nazajutrz rano czarnoksiężnik przyszedł do niego i rzekł: — Jeśli mi dziś przyniesiesz bryłkę czerwonego złota, wrócę ci wolność, ale jeśli jej nie przyniesiesz, to cię zabiję.

Tedy dziecko gwiazdy poszło do lasu i przez cały dzień szukało bryłki czerwonego złota, ale nigdzie nie mogło znaleźć. A wieczorem usiadło i zaczęło płakać, a kiedy tak płakało, przybiegł do niego zajączek.

I zajączek rzekł: — Bryłka czerwonego złota, której szukasz; znajduje się w jaskini, koło której siedzisz. Nie płacz przeto, lecz rozwesel się.

— Jakżeż ci odpłacę? spytało dziecko gwiazdy, bo po raz trzeci już przychodzisz mi z pomocą.

— Ale ty pierwszy się nademną ulitowałeś! odrzekł zajączek i szybko pobiegł w las.

I dziecko gwiazdy weszło do jaskini i w najdalszym jej kącie znalazło bryłkę czerwonego złota. Włożyło ją więc do torebki i pospieszyło do miasta. A trędowaty, widząc że nadchodzi, ustawił się w pośrodku drogi i począł na nie wołać i rzekł: — Daj mi bryłkę czerwonego złota, inaczej umrę! A dziecko gwiazdy znów się nad nim ulitowało i oddało mu sztukę czerwonego złota, mówiąc: — Twoja niedola większa jest od mojej. Ale ciężko mu było na sercu, gdyż wiedziało, jaki los je czeka.

* * *

Ale patrzcie! Gdy wchodził w bramy miasta, strażnicy głęboko się przed nim pochylili i oddali mu honory, mówiąc: — Jakże pięknym jest nasz władca! a tłumy ludności szły za nim, wołając: — Zaprawdę, na całym świecie niemasz równie pięknego. Tedy dziecko gwiazdy zaczęło płakać, mówiąc do siebie: — Naigrawają się ze mnie i szydzą z mojej nędzy. A zbiegowisko było tak wielkie, że dziecko pobłądziło i nagle znalazło się na wielkim placu, na którym wznosił się pałac króla.

A bramy pałacu się rozwarły i kapłani i dostojnicy miasta wybiegli mu naprzeciw i głęboko się pochylając, rzekli: — Jesteś naszym władcą, na którego czekaliśmy i synem naszego króla,

A dziecko gwiazdy odpowiedziało i rzekło: — Nie jestem synem króla, lecz dzieckiem biednej żebraczki. I jak możecie mówić że jestem piękny, skoro wiem, że przykro na mnie spojrzeć, tak jestem szpetny? Wtedy ten, którego zbroja wykładana była złotemi kwiatami, a na hełmie widniał lew skrzydlaty, podstawił mu tarczę i rzekł: — Czemu władca mój rzecze, że nie jest pięknym?

A dziecko gwiazdy spojrzało w błyszczącą tarczę i nieba! twarz jego była taka jak dawniej i wróciła mu cała dawna uroda, a w oczach swych widział coś, czego wpierw nie widział.

A kapłani i dostojnicy uklękli i rzekli: — Przepowiadano od dawna, że dziś nadejdzie ten, kto ma nad nami panować. Przyjm tedy panie nasz tę koronę i berło i panuj nam jako król w łasce swej i sprawiedliwości.

Ale on odrzekł: — Nie jestem godny, albo wiem wyparłem się matki, która mnie urodziła i nie znajdę spokoju, dopóki jej nie odnajdę i nie uzyskam jej przebaczenia. Pozwólcie mi przeto odejść, gdyż muszę znów wędrować po świecie i nie wolno mi się tu zatrzymać, pomimo że mi ofiarujecie koronę i berło. A mówiąc te słowa, odwrócił od nich wzrok w kierunku ulicy, wiodącej ku bramom miasta i patrzcie! wśród tłumu cisnącego się dokoła żołnierzy, ujrzał żebraczkę, która była jego matką, a obok niej stał trędowaty, który siedział był przy drodze,

I okrzyk radości wyrwał mu się z ust i rzucił się ku niej i uklękawszy, całował rany na nogach matki, obmywając je swemi łzami. W prochu pochylił głowę i łkając, jak gdyby mu serce miało pęknąć, rzekł: — Matko, wyparłem się ciebie w chwili pychy. Przyjm mnie w chwili pokory. Matko, nienawiścią cię darzyłem. Obdarz ty mnie miłością. Matko, odepchnąłem cię. Przyjm teraz swoje dziecko. Ale żebraczka nie odpowiedziała mu ani słowa.

I wyciągnawszy ręce, objął bezkrwiste nogi trędowatego i rzekł: — Trzykrotnie się nad tobą ulitowałem. Poproś ty moją matkę, by do mnie przemówiła. Ale trędowaty nie odpowiedział mu ani słowa.

I znów zaczął łkać i rzekł: — Matko, cierpię ponad siły. Użycz mi swego wybaczenia i pozwól wrócić do lasu. Wtedy żebraczka położyła mu rękę na głowie i rzekła: — wstań, a trędowaty położył mu rękę na głowie i również rzekł: — wstań!

I wstał z klęczek i spojrzał na nich, a oto stali przed nim: król i królowa.

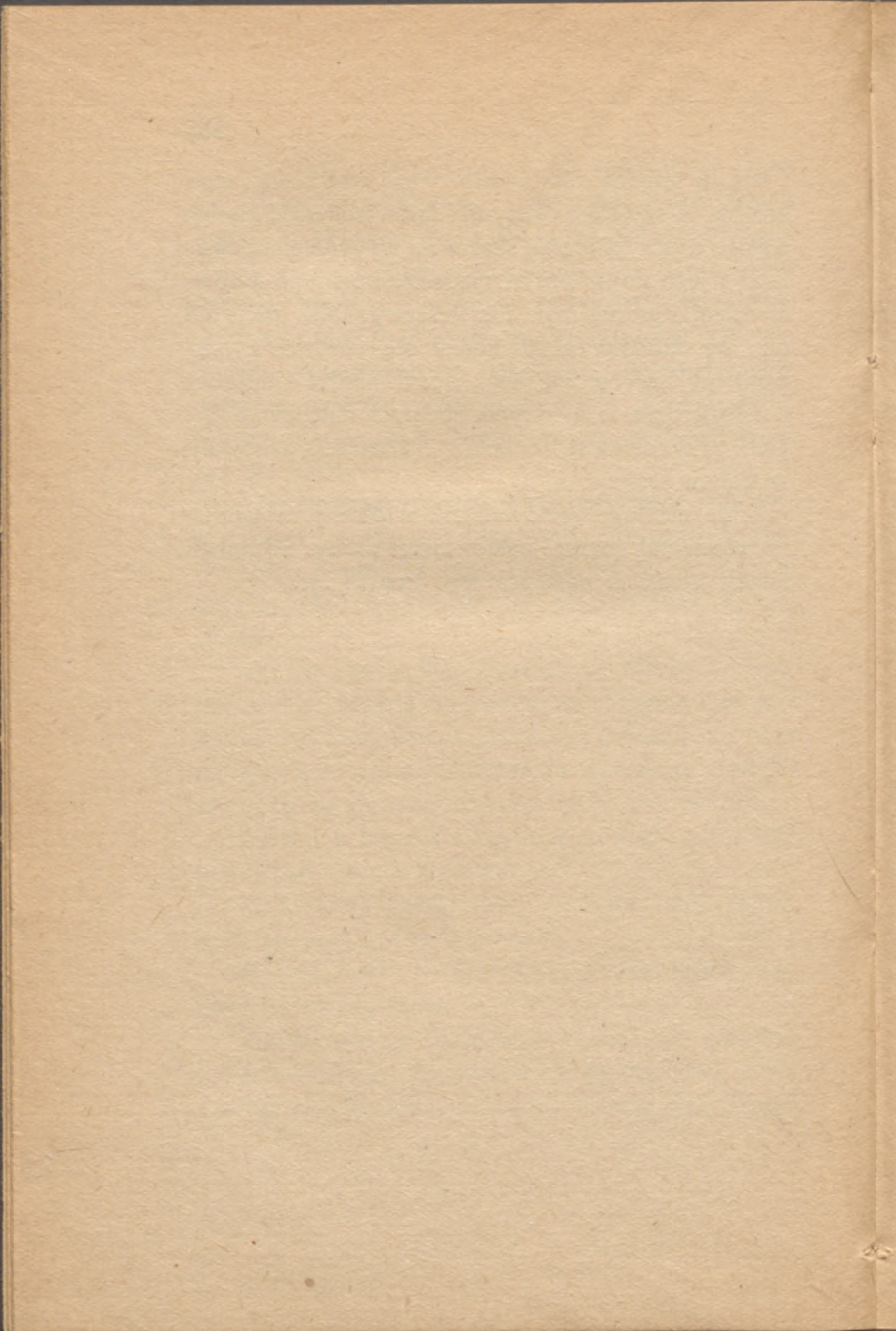
A królowa rzekła doń: — Oto twój ojciec, któremu przyszedłeś z pomocą.

A król rzekł: — Oto twoja matka, której nogi obmyłeś swemi łzami.

I padli mu w objęcia i zaczęli go całować i wprowadzili go do pałacu i w piękne ubrali szaty i na głowę włożyli mu koronę i berło dali do ręki

i stał się władcą miasta położonego nad rzeką i jego królem. Wszystkim okazywał sprawiedliwość i łaskę, a złego czarnoksiężnika skazał na wygnanie, a drwalowi i jego żonie posłał mnóstwo bogatych darów, a dzieci ich obsypał dostojenstwami. Nie pozwolił też, by ktokolwiek obchodził się okrutnie z ptakami lub zwierzętami, lecz uczył miłości i dobroci i miłosierdzia, a biednych obdarzał chlebem, a nędzych przyodziewał, i pokój i dostatek panowały w całym kraju.

Ale niedługo panował, tak wielkie przebywszy cierpienie, tak gorzki i palący okres próby. Po trzech latach umarł, a następcą jego rządził źle.



S P I S R Z E C Z Y

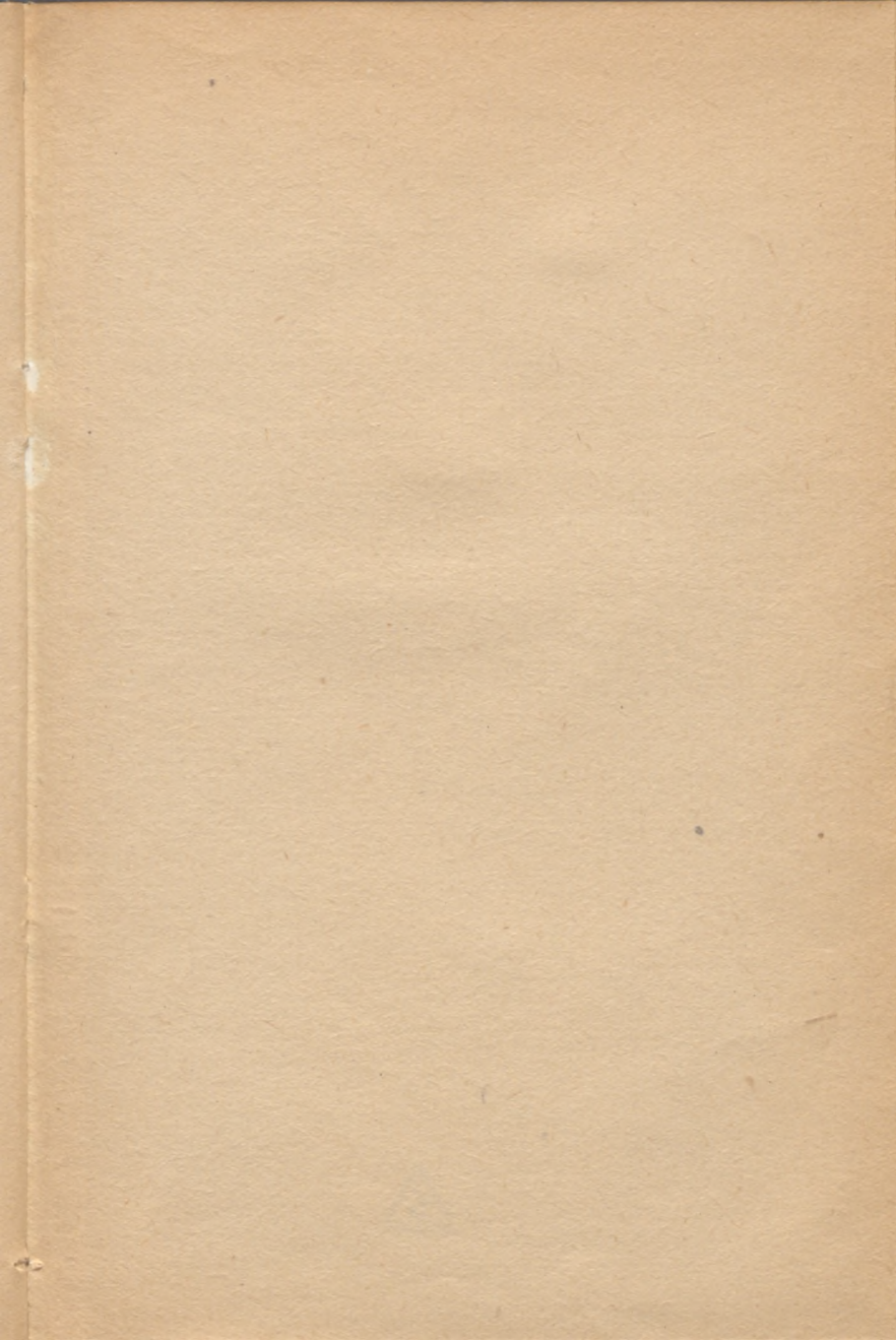
	Str.
SZCZĘŚLIWY KSIAŻĘ	5
SŁOWIK I RÓŻA	21
SAMOLUBNY OLBRZYM	31
PRAWDZIWY PRZYJACIEL	38
NADZWYCZAJNA RAKIETA	57
URODZINY INFANTKI	96
RYBAK I JEGO DUSZA	125
DZIECKO GWIAZDY	179



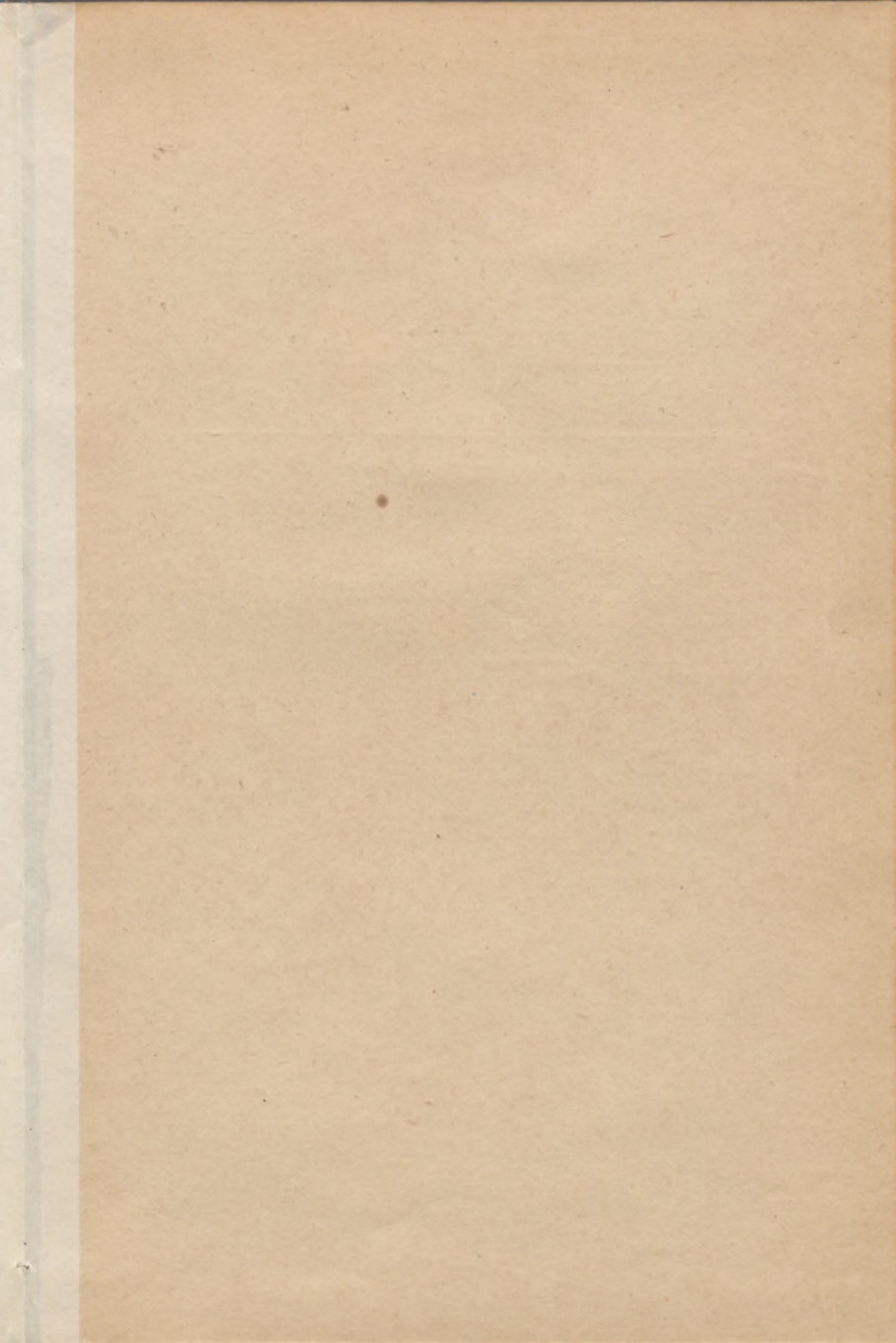
Biblioteka Główna UMK



300000795587







163221

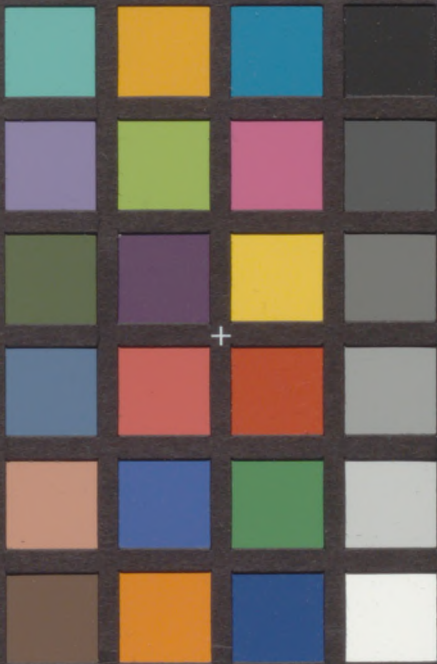
P I S M A Z E B R A N E
OSKARA WILDE'A

W PRZEKŁADZIE LEONA CHOROMAŃSKIEGO,
MARJI FELDMANOWEJ I MARJI MARKOWSKIEJ

- I. OBRAZ DORJANA GRAY'A
- II. DE PROFUNDIS
- III. ZAMIERZENIA
- IV. SZCZĘŚLIWY KSIĄŻĘ I INNE
OPOWIADANIA
- V. ZBRODNIA LORDA ARTURA
SAVILE'A I INNE NOWELE
- VI. TRAGEDJE
- VII. KOMEDJE
- VIII. POEZJE

x-rite

colorchecker CLASSIC



mm